

Śmierć
bywa
lekarstwem



DIAGNOZA

Alicja Horn

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

Alicja Horn
DIAGNOZA



ROZDZIAŁ 1

W tłumie wyłowił ofiarę. Blondynka w okularach przeciwsłonecznych jedną ręką trzymała poręcz, drugą zajmowała się smartfonem. Przesuwała ekran kciukiem, nie widząc świata poza tym, co wyskakiwało przed jej oczami. Telefon był drogi, jak szybko zauważył. Podobnie zresztą torebka, którą blondynka niedbale przewiesiła przez ramię tak, że dotykała jej pośladka. Daleko poza zasięgiem wzroku. To będzie łatwa robota, ocenił. W autobusie linii 175 panował tłok, jak zawsze o tej porze. Sto siedemdziesiątka piątka kursowała z lotniska, dlatego sporą część podłogi zajmowały bagaże podróżnych, ograniczając powierzchnię do stania i w naturalny sposób zmuszając pasażerów do większego ścisku. Dyskretnie skinął głową łysemu czterdziestolatkowi przy drzwiach i ruszył w stronę blondynki. Łysy dotarł przed nim i zwinnie wsunął się w mały tłumek otaczający kobietę. Niektórzy ze wstrętem zaczęli odwracać głowę – zgodnie z planem łysy najadł się przed akcją czosnku i teraz zionął smrodem, pogłębiając chaos. Mężczyzna tylko na to czekał. Sprawnie rozpiął zapięcie wypatrzonej torebki i wsunął dłoń do środka. Na szczęście wewnątrz było prawie puste. Nienawidził bałaganiar, które trzymały w torebkach arsenał „przydasiów” – od śrubokrętu po zszywacz do papieru. I tony zużytych chusteczek higienicznych, które budziły w nim największe obrzydzenie. Wsunął dłoń głębiej, opuszki jego palców natknęły się na coś twardego. Drewno? Metal? Nie zdążył się zdziwić, gdy usłyszał cichy trzask. Równocześnie przeszył go ogromny ból, wprost nie do opisanego. Krzyknął i wyjął dłoń z torebki. Była zakrwawiona. Krew cienkimi strumykami spływała w stronę nadgarstka, przykuwając jego uwagę, dlatego dopiero po chwili zauważył, że brakuje fragmentów dwóch palców – wskazującego i środkowego. Usłyszał, jak ktoś obok głośno krzyczy. Pasażerów zaczęła ogarniać panika i teraz brutalnie pchali się, byle stanąć jak najdalej od niego. Nie rozumiejąc, co się dzieje, spojrzął na blondynkę. Patrzyła mu prosto w oczy i przysięgłby, że się uśmiechała. Nie pamiętał, co było dalej, bo stracił przytomność.

* * *

Marta Wolska wysiadła z autobusu na najbliższym przystanku. Kierowca, zaalarmowany krzykami pasażerów, wyszedł ze swojej kabiny sprawdzić, co było przyczyną poruszenia. Marta wykorzystała zamieszanie, by dopchać się do drzwi i wydostać na zewnątrz. Nikt nie zwracał na nią uwagi, nawet ludzie czekający na przystanku skupieni byli na akcji wewnątrz autobusu. Spojrzała na torebkę i skrzywiła

się z niesmakiem – była cała we krwi złodzieja. Zdjęła ją i wrzuciła do wielkiego kontenera ze śmieciami, obok którego właśnie przechodziła. Rozejrzała się wokół – była przy ulicy Żwirki i Wigury na wysokości Pruszkowskiej, niedaleko Pola Mokotowskiego, około czterech kilometrów od swojego mieszkania. Pomimo późnej jesieni było ciepło i słonecznie, dlatego zdecydowała, że wróci do domu piechotą, przez park. Czuła, że potrzebuje tego spaceru, żeby ochłonać po ostatnich wydarzeniach. Nie żeby przejęła się tym, co zrobiła złodziejowi. Całą operację planowała od dawna, zresztą był to już drugi raz. Za pierwszym akcja przebiegła podobnie, tyle że tamten nie zemdłał. I stracił tylko jeden palec. Na szczęście wyciągnęła wnioski i kolejną pułapkę skonstruowała staranniej.

Wszystko zaczęło się miesiąc temu w dniu, w którym skończyła pracę po wyjątkowo ciężkim dyżurze. Była bardzo zmęczona, być może dlatego nie zachowała czujności w tramwaju, choć dobrze wiedziała, że kieszonkowcy są zmorą Warszawy. Dopiero w mieszkaniu zorientowała się, że nie ma portfela. Straciła dokumenty, karty i trochę gotówki. Ale nie to stanowiło największy problem. Karty zablokowała, a nowe dokumenty mogła otrzymać w ciągu dwóch tygodni. Niestety, w portfelu trzymała coś jeszcze – złoty medalik, który dostała od babci i który zawsze przynosił jej szczęście. Był jej talizmanem i pamiątką po kimś, kogo dawno już przy niej nie było. Nie nosiła go na szyi – tuż przed kradzieżą uszkodziła zawieszkę i miała oddać ją do naprawy. Nie zdążyła. Po wszystkim przeklęła własną opieszałość i wieczne odkładanie wszystkiego na później. Zaraz potem przyszła refleksja, że przeklinać powinna kogo innego – tego, kto naprawdę zawinił. Aż wreszcie kolejna, że należałoby go ukarać. Tylko jak go odnaleźć? Policja od razu pozbawiła ją złudzeń – złapani kieszonkowcy praktycznie zawsze wychodzą na wolność. Najczęściej trudno im cokolwiek udowodnić, a jeśli nawet się uda, to ze względu na znikomą szkodliwość społeczną czynu otrzymują śmiesznie niskie kary. Znikoma szkodliwość czynu! Wzburzyła ją ta informacja. Po wyjściu z komisariatu odwiedziła pobliski sklep z artykułami metalowymi. Kupiła w nim kilka pułapek na myszy oraz żyłtkowy drut kolczasty. Plan przyszedł jej do głowy pod wpływem słów jednego z policjantów: „Osobiście uważam, że powinno im się wszystkim palce obcinać. Tak prewencyjnie. Tyle że wie pani, mnie o zdanie nikt nie pyta. Poza tym prawa człowieka”. – Skrzywił się.

W domu, na kuchennym stole, rozłożyła swoje zakupy oraz narzędzia wyjęte z szuflady w przedpokoju. Operując obcęgi z wielką ostrożnością, by samej nie stracić palców, owinęła drut wokół metalowej ramki pułapki na myszy. Był ostry jak brzytwa. Kiedy pułapka była gotowa, nastawiła mechanizm sprężynowy i umieściła ją w pustej torebce – chciała mieć pewność, że drut zatrzaśnie się na dłoni złodzieja, a nie na jakimś zabłąkanym długopisie. W wolnym czasie, przez kilka następnych dni, jeździła autobusem numer 175 na lotnisko i z powrotem. Od policjantów dowiedziała się, że jest to linia, w której do kradzieży dochodzi najczęściej, ponieważ kursuje między lotniskiem, Dworcem Centralnym i Starym Miastem, a pasażerami są często turyści, również zagraniczni. Podczas swoich przejazdów gapiła się w okno, stała w największym tłumie, trzymała torebkę poza zasięgiem wzroku, słowem – robiła wszystko, czego nie powinien robić żaden rozsądny pasażer. O dziwo, czekała dłużej, niż się tego spodziewała. Dopiero trzeciego dnia trafiła na ludzi, których szukała. Podobnie jak dziś, uważnie obserwowała całą akcję zza ciemnych okularów. Bawiło ją potajemne przekazywanie sobie sygnałów przez bandę kieszonkowców. Rozpoznała ich bez trudu i dziwiła się, że inni tego nie potrafią. Od razu dostrzegła „tycera”, który miał za zadanie wytypować ofiarę i stworzyć sztuczny tłok. Doskonale wiedziała, że zwrócił na nią uwagę, w końcu była idealnym jeleniem, proszącym się o odstrzał. Z niecierpliwością czekała chwili, kiedy ręka „robotnika” rozsunie zamek jej torebki i sięgnie głębiej, po portfel. To był sprawdzian jej umiejętności technicznych i wprost nie mogła doczekać się wyniku. A ten był niezły, chociaż nie idealny – pierwszy złodziej stracił część palca wskazującego. To mogło zmusić go do zmiany ścieżki zawodowej. Ale nie musiało. Zawsze mógł przejść rehabilitację i nauczyć się pracować pozostałymi palcami. Dlatego zmodyfikowała mechanizm pułapek i... bingo! Dziś była świadkiem prawdziwego sukcesu. Przy dwóch uszkodzonych palcach kieszonkowiec mógł pożegnać się z dotychczasową karierą. Co prawda żałowała torebki, w końcu była droga i miała posłużyć jej nieco dłużej, ale dla uczucia satysfakcji, które właśnie ją przepełniało – było warto, uznała.

Na Polu Mokotowskim zatrzymała się przez chwilę pod wielkim kasztanowcem. Jakimś cudem o tej porze roku znalazła cztery dorodne kasztany. Schowała je do wewnętrznej kieszeni kurtki, obok komórki i portfela. Zamierzała wsadzić je do doniczki i sprawdzić, czy coś z nich wyrośnie. A jeśli tak, to czy uda się małe rośliny

utrzymać przy życiu i zamienić w drzewka bonsai. Czytała o tym w jakimś poradniku, ale podchodziła do tych rewelacji sceptycznie. Z drugiej strony, nie mogła tego nie sprawdzić – co jeśli autor poradnika napisał prawdę? Posiadanie bonsai od zawsze było jej marzeniem. Najlepiej takiego wysianego samodzielnie. Kwestia tego, gdzie bonsai miałyby rosnać, była drugorzędna, choć wszystkie parapety w jej mieszkaniu były zastawione roślinami i nawet w przybliżeniu nie była w stanie podać ich liczby. Ale kupowanie nowych odmian i rozmnażanie tych, które już miała, było jak nałóg, nie mogła się powstrzymać. Zresztą był to jej jedyny nałóg, więc nawet nie próbowała.

Myśl o drzewku bonsai odciągnęła na chwilę jej uwagę od obciętych palców kieszonkowca. Ale tylko na chwilę. Gdy wróciła pamięcią do wydarzenia sprzed kilkunastu minut, satysfakcja z zemsty ponownie przyjemnie ją rozgrzała, niczym kubek herbaty z sokiem malinowym.

Dotarła do drzwi i wsadziła klucz do zamka. Dał się przekręcić tylko raz, co oznaczało, że Michał był w środku. Znalazła go w kuchni – siedział przy drewnianym stole i pracował na laptopie. Uniósł głowę na jej widok.

– Wyjątkowo późno wróciłaś. – Przyjrzał się jej baczniej.

– Byłam u Doroty – skłamała. Miała nadzieję, że nie dowie się, co stało się dzisiaj w autobusie numer 175. Po ostatniej kłótni dokładniej chowała swój mały warsztat pułapkarski i wyciągała go tylko wtedy, gdy miała pewność, że Michał nie przyjdzie.

Michał Łazowski był policjantem, z którym spotykała się od wielu miesięcy. W ostatnich tygodniach ich związek nabrał rozpędu do tego stopnia, że teraz prawie ze sobą mieszkali. Kiedy opowiedziała mu o dłoni pierwszego kieszonkowca, Michał wpadł w szal.

– Nie możesz obcinać ludziom palców, przecież to jakiś obłęd. Naprawdę tego nie widzisz? – prawie krzyczał.

– Od kiedy to stoisz po ich stronie? Dranie dostają to, na co zasłużyli. Wiesz, ilu ludzi wpadło przez nich w kłopoty? Nie tylko finansowe. Powinno się im obcinać ręce, a nie palce! – Nie była dłużna.

– W dupie mam ich braki anatomiczne. Wkurzasz mnie, bo za dużo ryzykujesz. Co jeśli cię złapią?

– Pokaż mi paragraf, który zabrania przewożenia pułapek na myszy w środkach transportu publicznego. No pokaż!

– Zachowujesz się jak dziecko. Miałaś nie zwracać na siebie uwagi, a ty robisz coś wręcz przeciwnego. Najpierw ameba, a teraz to. Narażasz na niebezpieczeństwo wszystko, nad czym ciężko przez ostatnie lata pracowałem. Przestań!

Marta przewróciła oczami, choć dobrze wiedziała, dlaczego się tak wściekał.

Oboje byli częścią nieformalnej organizacji, która zajmowała się likwidacją niebezpiecznych przestępców, takich, z którymi nie radził sobie system sprawiedliwości. Robili to po cichu, stwarzając pozory przypadkowości lub zgonów z przyczyn naturalnych. Michał „zwerbował” ją po akcji z seryjnym mordercą, nazwanym przez dziennikarzy „Bestią z Mokotowa”. Doskonale pamiętała jego słowa: „Wielu z tych przestępców miało już procesy i siedziało w więzieniach, ale zostało wypuszczonych. Na przykład za dobre sprawowanie. Wychodzą i są jeszcze gorsi. Więzienie ich degeneruje. Uczy nowych technik, dostarcza współników i daje większe możliwości. Niektórych po prostu nie da się zresocjalizować. Urodzili się, by szkodzić. To zwyrodnialcy i sadyści. W imię czego mamy to tolerować? Patrząc na cierpienie rodziców, którzy tracą przez nich dzieci? Na krzywdę dzieci pozbawionych rodziców? Włóż jedno zgniłe jabłko do skrzynki, a za chwilę pogniją i inne. Dlatego szukamy tych zgniłych jabłek i pozbywamy się ich, zanim zaszkodzą reszcie. Znajdziesz wśród nas ludzi w każdym wieku i różnych zawodów. Większość nie uczestniczy aktywnie w tropieniu przestępców. Tym zajmujemy się my, policjanci. Kiedy znajdziemy kogoś takiego, szkodnika, uruchamiamy naszą sieć. Pamiętaj, że przestępcy również muszą jakoś funkcjonować – kupują jedzenie, naprawiają samochody, leczą się... Jesteśmy porozumieniem ludzi, którzy wyleczyli się ze złudzeń, że prawo, policja i sądy są w stanie skutecznie eliminować i rozliczać zło. Dlatego sami wymierzamy sprawiedliwość i przywracamy porządek”.

Od słów Łazowskiego nazwała członków organizacji Wyleczonymi, choć ten upierał się, by nie używać żadnych nazw – w jego opinii powinni pozostać bezimienni. I niewidzialni.

– Co słyszeć u Doroty? – Michał ciągle się jej przyglądał. Czasami miała wrażenie, że czyta w jej myślach.

– Jak to u Doroty. Dziecko, pies, Leszek. Myślę, że w takiej właśnie kolejności. – Już od tygodnia nie rozmawiała z przyjaciółką, ale życie Doroty było spokojne

i poukładane. A o każdej rewolucji miała w zwyczaju natychmiast ją informować. No, prawie każdej.

Michał przestał jej ufać, czuła to. Co gorsza, miał ku temu powody. Pierwszy nazywał się Daniel Schulz i był mordercą gwałcicielem, hospitalizowanym kilka miesięcy temu na jej oddziale. Marta zaraziła go śmiertelnie niebezpiecznym i rzadkim gatunkiem ameby o nazwie *Naegleria fowleri*. Tak rzadkim, że nikomu nie przyszłoby do głowy przeprowadzać badań w kierunku jego obecności w organizmie. Powód zgonu Schulza miał na zawsze pozostać tajemnicą. Taki był plan. Ale Marta zmieniła ustalenia, rozpoznając przyczynę zapalenia mózgu Schulza i pisząc na temat negleriozy artykuł naukowy. Artykuł zdobył rozgłos i sporo cytowań, przybliżając Martę do upragnionej habilitacji. Schulz, zwany Niuchaczem, zmarł i wydawało się, że upiekła dwie pieczenie przy jednym ogniu. Do czasu. Pewnego dnia policja otrzymała anonim z informacją, że Niuchacz został amebą zarażony celowo przez Martę. Autor nie podawał żadnych szczegółów, zarzuty były absurdalne, a fakt, że list był niepodpisany, nie dodawał mu wiarygodności. Dlatego Michałowi łatwo przyszło zniszczenie go, bez nadawania sprawie biegu. Ale tak naprawdę oboje wiedzieli, że siedzą na minie – ktoś podejrzewał Wolską i mógł w nią uderzyć po raz kolejny. To była tylko kwestia czasu.

Teraz znowu zachowywała się nierozsądnie, obcinając palce kieszonkowcom. Jeśli jej nazwisko zacznie przewijać się w policyjnych dokumentach zbyt często, nawet Michał nie będzie w stanie jej pomóc. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie potrafiła się powstrzymać. Wymierzanie sprawiedliwości uzależniało jak narkotyk. Zaczęła naprawiać świat i przywracać go do pożądanego stanu. Takiego, w którym to źli boją się dobrych, a nie odwrotnie. Szkoda, że Michał tego nie rozumiał.

Podeszła do niego i przytuliła się do jego pleców. Odwrócił głowę i pocałował ją w policzek. W policzek?! Urażona zmrużyła oczy, a jej ręce zaczęły schodzić coraz niżej i niżej. Poczowała, jak jego mięśnie naprężają się pod bluzą. Zadowolona z efektu nadała dłoniom nowy kierunek. Jęknął.

– Marta, naprawdę muszę dokończyć ten syf. – Delikatnie odsunął jej dłoń i wskazał głową otwarty arkusz Excela. – Ale zostało mi już niewiele. Obiecuję, że za chwilę skończę i wyciągnę od ciebie, co tak naprawdę robiłaś. Wypróbuję na tobie moje nowe metody śledcze – ostrzegł.

– Wszystkie? – Ugryzła go delikatnie w ucho.

– Większość.

– Kajdanki też? – spytała z szelmowskim uśmiechem.

– Od tego zaczniemy – roześmiał się.

– No skoro tak, to zgoda. – Zachowała powagę i pogłaskała go po głowie. Od kiedy awansował, pracował jeszcze więcej, choć wcześniej już i tak ocierał się o pracoholizm. Nie narzekała, sama zwolniła tempo pracy dopiero kilka tygodni temu. Na dodatek w sposób wymuszony przez okoliczności.

Wzięła prysznic i otworzyła swój laptop. Tak jak się spodziewała, w skrzynce mailowej znalazła kilkanaście nowych wiadomości. Od czasu, kiedy opublikowała artykuł na temat negleriozy, jej elektroniczna skrzynka pękała w szwach. Otrzymywała e-maile nie tylko od kolegów naukowców, ale również od dziennikarzy i zwykłych ludzi, zaniepokojonych groźbą zarażenia amebą zjadającą mózg.

I nic dziwnego. *Naegleria fowleri* to pierwotniak wolno żyjący w słodkich i ciepłych wodach jezior. Do zarażenia dochodzi wówczas, gdy pasożyt zostanie wciągnięty przez nos – zwykle przypadkowo, podczas pływania lub zabawy w wodzie. Zakażenie kończy się najczęściej śmiercią – nie istnieją leki, które mogłyby skutecznie leczyć negleriozę. Na szczęście w Polsce obecność *Naeglerii* udokumentowano wyłącznie w jeziorach w pobliżu Konina, podgrzewanych przez pobliskie elektrownie. Na dodatek nigdy nie stwierdzono żadnych zachorowań wśród ludzi. Aż do lipca tego roku, kiedy zachorował Schulz.

Miesiące poprzedzające chorobę, i w rezultacie zgon, mężczyzna spędził w więzieniu oddalonym o setki kilometrów od Konina. Dlatego wszyscy zachodzili teraz w głowę, w jaki sposób pasożyt znalazł się w jego organizmie. Rozgorzała dyskusja na temat tego, czy problem mógł być poważniejszy, niż dotąd przypuszczano, i czy pasożyt mógł zasiedlać instalacje sanitarne w domach, urzędach czy szpitalach. Marta wraz z pozostałymi współautorami artykułu otrzymała pokaźny grant na prowadzenie badań z tym związanych, ale jak dotąd, wnioski z nich płynące były bardzo optymistyczne – w żadnych z badanych miejsc nie stwierdzono obecności *Naeglerii*.

Być może wynikało to z faktu, że Schulz zaraził się *Naeglerią*, inhalując steryd donosowy z butelki, w której zawieszono były pasożyty. Umieszczone tam przez Martę z premedytacją i specjalnie w tym celu wyłowione z Jeziora Gosławskiego.

Odpisała na wiadomości. Zdążyła również podsumować i zamknąć kolejny z raportów, dotyczący badania instalacji wodnej w jednej z dzielnic Konina. Raporty kończyła zdaniami, które zawsze brzmiały podobnie: „Nie znaleziono dowodów na obecność pasożyta *Naegleria fowleri*, ale ze względu na realne i poważne zagrożenie zdrowia i życia osób korzystających z instalacji wodno-kanalizacyjnych wskazane jest poszerzenie zakresu geograficznego badań”. Grant był całkiem przyzwoity i pozwalał jej wyrównać domowy budżet po tym, jak ograniczyła liczbę dyżurów w szpitalu. Miała nadzieję, że dzięki umiejętnemu podsycaniu poczucia zagrożenia źródło grantowe nieprędko wyschnie.

Przerwała pracę dopiero wówczas, gdy usłyszała znaczące chrząknięcie. Podniosła głowę. W progu stał Michał, huśtając kajdankami zawieszonymi na dwóch palcach. Wybuchnęła śmiechem i zamknęła komputer.

ROZDZIAŁ 2

W dyżurce lekarskiej oddziału chorób zakaźnych Warszawskiego Szpitala Klinicznego im. Wandy Błęńskiej panowała duszna atmosfera. I to bynajmniej nie jedynie za sprawą popsutych kaloryferów, których od kilku tygodni nie sposób było wyregulować.

Wszystko zaczęło się od odejścia ze szpitala doktor Zawady, która zmieniła pracę i przyjmowała teraz prywatnych pacjentów w niepublicznej przychodni. Praca i dyżury zostały rozdzielone między pozostałych lekarzy, zatrudnionych na oddziale. Oznaczało to, że pracy, której zawsze było dużo, zaczęło być jeszcze więcej. Po Zawadzie z pracy w szpitalu zrezygnował doktor Nowacki. Już dawno osiągnął wiek emerytalny i któregoś dnia po prostu oznajmił wszystkim, że ma dość wojen o to, kto weźmie którego pacjenta lub jaki dyżur, i że chce sobie wreszcie trochę pożyć. Tym sposobem pracy zrobiło się zdecydowanie za dużo.

Początkowo nic nie zapowiadało katastrofy. Po wakacyjnej aferze z Volandą, lekiem stosowanym w profilaktyce zakażenia HIV, w obowiązkach ordynatora zawieszono Tomasza Czechowskiego, zwanego przez wszystkich Starym. Zastąpił go właśnie Adam Nowacki, bardzo doświadczony lekarz, który świetnie radził sobie również w funkcjach administracyjnych. Przez chwilę relacje między pracownikami oddziału stały się życzliwe, a praca całkiem znośna. Jednak Staremu nie udowodniono przyjmowania łąpówek ani żadnych innych nielegalnych działań, o które był oskarżany, więc decyzją pani dyrektora Kujawiak-Pachciarz został przywrócony na dotychczasowe stanowisko. Dla Bogu ducha winnego Nowackiego, na którym Stary zaczął odgrywać się za „kradzież stanowiska”, był to dodatkowy bodziec do tego, by pójść wreszcie na zasłużoną emeryturę.

Po jego odejściu Stary próbował rozdzielać dyżury „sprawiedliwie”, to znaczy tym, których nie znosił, przydzielał ich znacznie więcej niż reszcie. Tym sposobem „obdzielona” została Marta Wolska, na którą Stary reagował wręcz alergicznie po tym, jak nie dopisała jego nazwiska do autorów artykułu o pierwszym przypadku negleriozy w Polsce. Marta już wcześniej dyżurowała więcej, niż powinna, ale kiedy w październiku liczba przepracowanych przez nią godzin przekroczyła trzysta, powiedziała dość. Któregoś dnia po prostu poszła do biura kadr i wypowiedziała klauzulę opt-out. Zgodnie z prawem lekarz w Polsce może pracować maksymalnie 48 godzin tygodniowo, wliczając w to dyżury. Jeśli chce pracować więcej, musi podpisać

specjalną zgodę, zwaną właśnie klauzulą opt-out. Choć „chce” bywa w tym przypadku pojęciem bardzo względnym. W praktyce takie zgody wymuszane są przez przełożonych na rozmaite sposoby: nagrodami, karami, zachętami czy wreszcie – zwykłym mobbingiem. W przypadku Marty nie działał już żaden z nich. Była na skraju wytrzymałości fizycznej i po prostu było jej wszystko jedno. Dla kolegów z oddziału ta wiadomość oznaczała jednak, że muszą rozdzielić między siebie ponad sto dodatkowych godzin pracy miesięcznie. Koleżeńskie, do tej pory, układy zaczęły nagle sypać się i pruć. Starzy znajomi patrzyli na siebie wilkiem, a kłótnie potrafiły wybuchnąć o każdy szczegół. Najczarniejszą owcą była jednak Marta, której starano się „przemówić do rozumu” argumentami w rodzaju: „przecież sytuacja jest ciężka, musi pani wspomóc kolegów”, „jeśli nie podpisze pani opt-out, będziemy musieli zamknąć oddział” czy też „przecież składała pani przysięgę Hipokratesa, czy pacjenci nic dla pani nie znaczą?”. To ostatnie bardzo ją rozbawiło. Nie omieszkała przypomnieć pani dyrektor Kujawiak-Pachciarz, że przysięgę Hipokratesa składano w starożytności, a współczesnych polskich lekarzy obowiązuje Przymierzenie Lekarskie. I nie było w nim ani słowa na temat pracy ponad siły. Po tylu latach dyrektorowania szpitalowi mogła nauczyć się chociaż tego. Nauczycielka matematyki ze szkoły podstawowej w Grójcu swoją synekurę zawdzięczała mężowi politykowi, który zmieniał partie jak rękawiczki, w zależności od bieżącej sytuacji politycznej. Dzięki temu żona była „nie do ruszenia”, choć na zarządzaniu szpitalem znała się tak, jak Marta na gramatyce języka hindi.

A pacjenci znaczyli dla niej wiele. Tyle że „dobry lekarz to żywy lekarz”, więc Marta zamierzała zacząć wreszcie dbać o własne zdrowie. Opt-out był krokiem właśnie w tę stronę. W ubiegłym roku była na pogrzebie kolegi ze studiów, kardiologa, który zmarł na zawał serca, osierocając dwójkę małych dzieci. Jego grafik pracy przypominał grafik Marty. Nie zamierzała skończyć jak on.

Tego ranka temperatura w dyżurce wyniosła trzydzieści dwa stopnie. Ktoś przyniósł z domu termometr pokojowy, żeby mierzyć ją i zapisywać. Lekarze mieli nadzieję, że dokumentowanie awarii wpłynie na Biuro BHP, a to z kolei przyspieszy tempo usuwania usterki. Mylili się. Kaloryfery zepsuły się na amen i technicy szpitalni nie potrafili sobie z nimi poradzić. Czekano na jakieś specjalne części z Francji, potem na firmę, która zna się na takich sprawach, aż wreszcie nie wiadomo na co – prawdopodobnie na wiosnę i koniec sezonu grzewczego. Tymczasem w dyżurce było gorąco jak w szklarni

i odpowiadało to wyłącznie storczykom rosnącym na parapetach. Spoceni lekarze pościągali fartuchy i siedzieli teraz w bawełnianych podkoszulkach. Normalnie otwarto by okna, ale jakiś czas temu niektóre z nich zaczęły szwankować i nie udawało się ich domknąć. Rozwiązaniem, zamiast wymiany, okazało się zabicie ich gwoździami. Przy okazji zamknięto na amen również sprawne okna – tak na wszelki wypadek, gdyby lekarzom wpadły do głowy jakieś głupie pomysły typu wietrzenie.

– Na miłość boską, niech ktoś wybije szybę, nie wytrzymam tego dłużej! – płaczącym głosem zawołała doktor Makowska. Siedzący najbliżej doktor Hołowacz otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo do dyżurki wkroczyły dwie dziarskie kobiety po sześćdziesiątce.

– My do pana. – Skierowały się w stronę Hołowacza. – O mamę chciałyśmy zapytać. Kiedy będzie wychodzić?

– Przecież wczoraj z paniami rozmawiałem, mama jest w ciężkim stanie. Ma rzekomobłoniaste zapalenie jelit, sprawdzamy, czy nie wystąpiła niedrożność. Włączyliśmy wankomycynę. Na dodatek przestały pracować nerki i mama prawie wcale nie oddaje moczu. Musimy pomyśleć o dializach...

– Czyli jest nadzieja, że nie wróci na święta do domu? Bo planujemy wyjazd.

Kiedy kobiety wyszły z dyżurki, do środka zaczęły napływać tabuny kolejnych krewnych. Normalnie drzwi pozostawały zamknięte, ale ze względu na temperaturę dziś pozostawiono je otwarte na oścież. Były jak zaproszenie do wejścia.

– Proszę państwa, informacji o pacjentach udzielamy od godziny trzynastej, na zewnątrz przecież wisi karteczka. Dajcie nam pracować. – Doktor Makowska bezceremonialnie wyprosiła wszystkich za drzwi i zamknęła je na zamek magnetyczny.

– Noż kurwa, pierdolę taką robotę. Do wyboru mam albo się roztopić, albo zamienić w rzecznika prasowego, bo nikt nie rozumie, że nie mogę jednocześnie opowiadać o stanie mamusi, sprawdzać jej wyników w systemie, modyfikować jej zleceń i dzwonić po kardiologa, żeby ubłagać go o konsultację. A takich mamusi mam trzynaście.

Po zamknięciu drzwi powietrze stężało jak stal, niezmaćcone żadnym powiewem z korytarza. Lekarze starali się nie zapaść w hibernację podczas przeglądania wyników badań i czytania informacji dyżurowych przed odprawą z ordynatorem. Ciszę przerwał nieprzyjemny brzdęk klamki, a do środka wbiegł doktor Kurek.

– Słyszeliście? Jaką Ukrainkę będą nam na oddziale zatrudniać! – wykrzyknął podekscytowany.

– Jaką Ukrainkę? – zdziwiła się doktor Korecka.

– Normalną, z Ukrainy. Właśnie się od Ireny dowiedziałem. – Doktor Kurek miał „potajemny” romans z Ireną Kowalską, która pracowała w sekretariacie dyrektorki. Potajemny, bo wiedzieli o nim wszyscy z wyjątkiem pani dyrektor. Dzięki Irenie Jerzy Kurek był najlepiej poinformowanym lekarzem w szpitalu.

– Ale że z Ukrainy... – zachnął się doktor Hołowacz.

– Masz coś do Ukraińców, Łukasz? – z ostrzeżeniem w głosie spytała doktor Olszewska.

– Nie, ale u nich wszystko można na bazarze dostać. Dyplom lekarza też.

– Nie opowiadaj głupot!

– Poważnie. W poradni mam takiego jednego pacjenta, który bardzo mnie polubił. Powiedział, że ma firmę zajmującą się kupowaniem ukraińskich praw jazdy dla Polaków, którzy nie mogą egzaminu z prawka zdać. I jeżeli mam dzieciaka, który będzie starał się o prawo jazdy, to żeby mi nawet głowy nie zawracał kursami, tylko od razu do niego uderzył. Lewe ukraińskie prawko kosztuje niecałe tysiąc euro, a ile stresu na egzaminie oszczędza. Zniżkę mi obiecał. Z takim ukraińskim dokumentem dzieciak pojeździ parę miesięcy po Polsce, a potem automatycznie wymienia się je na polskie prawo jazdy.

– Przecież to jakieś bzdury! – zaprotestowała doktor Olszewska.

– Też tak pomyślałem, ale okazuje się, że prawda. Gwarantuje to Konwencja Wiedeńska o ruchu drogowym, która nakazuje wzajemne respektowanie dokumentów.

Lekarze wyjęli telefony i zaczęli sprawdzać te sensacje w Internecie. Faktycznie, była to prawda. Na dodatek firm, które oferowały podobne usługi, było w sieci na pęczki. Przez moment w dyżurce zapanowała cisza.

– Ale że dyplom lekarza też... W to nie uwierzę... – Doktor Olszewska w zadumie pokiwała głową, ale nikt nie podjął tematu.

Marta była pewna, że do godziny trzynastej wszyscy w szpitalu będą już wiedzieć, że na oddziale zakaźnym rozpocznie pracę Ukrainka, która swój dyplom kupiła na bazarze w Żytomierzu. W końcu nic nie podróżuje szybciej niż plotka, zwłaszcza w takich mikrokosmosach jak „Błęńska”.

Atmosferę skupienia przerwało wejście ordynatora.

– O Boże, jak tu gorąco macie. Weźcie wreszcie coś z tym zróbcie. Tu się nie da pracować! – Powachlował się scenicznie połą fartucha. Posłali mu niechętnie spojrzenia, ale nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy się go bali. Stary był jak karaluch, potrafił uciec z każdego tonącego okrętu, a jednocześnie utopić swoich wrogów. Sądził, że afera z lekiem Volanda pogrzebie go raz na zawsze – został przecież nagrany, a nagranie publicznie ujawniono. Z jakiegoś powodu wrócił jednak na dawną pozycję ordynatora i konsultanta wojewódzkiego. Odwołano go jedynie z funkcji przewodniczącego Towarzystwa Naukowego Chorób Zakaźnych, ale wyłącznie dlatego, że na nagraniu obraził pozostałych członków, nazywając ich idiotami.

Rozpoczęli odprawę, ale jej nie dokończyli. Stary oznajmił, że nie jest w stanie skupić się na tym, co jest czytane, kiedy pot zalewa mu oczy. Powiedział, że zawiesza poranne odprawy do czasu, kiedy „naprawicie te pieprzone kaloryfery”.

Kiedy wyszedł, Marta ruszyła na samotny obchód. Rozpoczęła go od sali numer osiem. Leżał tam Łukasz Żabkowski, dwudziestodwulatek ze świnką – chorobą wirusową, która w normalnych okolicznościach nie wymaga hospitalizacji. Ale nic, co miało związek z Żabkowskim, nie było normalne. Przyjęto go na oddział zakaźny z obustronnym powiększeniem ślinianek: były tak bolesne i nabrzmiałe, że pacjent nie mógł przyjmować żadnych pokarmów doustnie. Do tego, co było niepokojące, trafił do szpitala z zapaleniem obu jąder i wysoką gorączką. Na dodatek porozumiewanie się z nim przypominało próby komunikacji międzygatunkowej albo nawet międzygalaktycznej. Marta wolała upewnić się, że nie ma do czynienia z infekcją ośrodkowego układu nerwowego. Na szczęście płyn mózgowo-rdzeniowy, który pobrała, wrócił czysty – oryginalność Łukasza Żabkowskiego wynikała z faktu bycia sobą, a nie ze zmian wywołanych wirusem świnki.

Leczenie zaczęło wreszcie przynosić efekty, co widać było również po tym, że w ostatnich dniach pacjent zgłaszał litanię skarg, miał mnóstwo pytań i zrobił się naprawdę nie do wytrzymania. Marta oceniła, że był gotowy do wypisu.

– Dzień dobry, jak się pan dzisiaj czuje? – spytała na powitanie.

– To pani powinna wiedzieć. Tyle już tu leżę... – odpowiedział z pretensją w głosie. Marta zdecydowanie wolała, kiedy nie mógł mówić z powodu obrzęku ślinianek.

– Na szczęście to już końcówka. Na jutro zaplanowałam pana wypis.

– Na jutro?! Ale ja się ciągle beznadziejnie czuję. Właściwie to coraz gorzej. Nic mi nie pomaga. Mam podejrzenia, że źle mnie tu leczycie. Pewnie na coś innego. To się często zdarza w polskich szpitalach. Być może wynika to z błędów edukacyjnych na studiach medycznych. Chciałbym w tej sprawie rozmawiać z pani przełożonym.

– Rozmawiał pan. Wczoraj.

– Jak to? Który to?

– Ordynator. Był u pana na obchodzie. Badał pana.

– Ten cham?

W tym akurat z Żabkowskim się zgadzała. Ale nie zamierzała iść tą drogą.

– A mówienie o kimś w ten sposób, na dodatek o lekarzu, który pomógł panu dojść do zdrowia, jest czym? – spytała przekornie.

– Dojść do zdrowia? – Nie załapał riposty. – Pani chyba żartuje. Przecież właśnie powiedziałem, że do żadnego zdrowia nie dochodzę. Wprost przeciwnie. Jestem coraz bardziej chory. Z wami rozmawiać to jak ze ścianą.

Marta westchnęła. Powoli traciła cierpliwość.

– To jeszcze raz. Jak się pan czuje i czy coś pana boli?

– Beznadziejnie się czuję, już mówiłem. Źle widzę.

– A wcześniej dobrze pan widział? – spytała, bo zauważyła, że Żabkowski nosił okulary.

– Kogo?

– Co kogo?

– Kogo źle widziałem? Kogo?

„Misia gogo”.

– Powiedział pan, że źle widzi. Przy czytaniu? Patrzeniu w dal? Co dokładnie się dzieje? – wyjaśniła, choć zamiast tego miała ochotę sięgnąć po butelkę wody mineralnej stojącej przy jego łóżku i porządnie walnąć go w łeb.

– Tak.

– Tak przy czytaniu, czy tak przy patrzeniu w dal?

– Jedno i drugie.

– A niech pan zasłoni lewe oko – poleciła.

– Które to? – odpowiedział pytaniem, z wyraźną pretensją w głosie.

– Wie pan co? Już nieważne. Poproszę okulistę, żeby pana obejrzał. – Dziś na oddziałach konsultował Jacek Sobótka, okulista, którego Marta znała jeszcze ze studiów i którego szczerze nie cierpiała. Ten dopiero był chamem. Prawie żałowała, że nie zobaczy tej konsultacji. Zanosilo się na starcie Godzilli z King Kongiem. – Zrobimy też kontrolę badań.

– Jeszcze dermatologa bym chciał.

– Po co panu dermatolog?

– Żeby mi znamiona obejrzał. Bo ja pochodzę z rakotwórczej rodziny.

„Zdażyłam zauważyć”.

– Do dermatologa pójdzie pan sobie w swojej przychodni. Tutaj leży pan z innego powodu.

– A co z moją głową?

– Co z nią? – spytała Marta, choć dobrze wiedziała, co było z nią nie tak.

– Boli.

– Gdzie?

– W środku. To znaczy w człowieku. Tak jakby trzon mózgu. Na dodatek ból promieniuje do pięty Achillesa.

– Och, skoro z trzonu mózgu promieniuje do pięty Achillesa, to dobry znak, nie ma się czym martwić. Poboli i przejdzie. Poproszę pielęgniarki, żeby przyniosły panu paracetamol. – Żabkowski z obrażoną miną pokiwał głową na znak zgody. Nie dostrzegłby sarkazmu, nawet gdyby ten gryzł go w piętę Achillesa.

Z ulgą opuściła salę numer osiem. W planach miała jeszcze obchód u dziesięciu innych swoich pacjentów. Na szczęście z pozostałymi kontakt logiczny był znacznie łatwiejszy. Włączając w to dziewięćdziesięciolatkę z chorobą Alzheimera, przyjętą wczoraj z powodu pólpaśca.

Reszta dnia w szpitalu minęła bez większych zgrzytów i niespodzianek. W gabinecie lekarskim przez cały czas panowała nietypowa cisza. Praca nad wypisami, przyjęciami i sprawdzaniem wyników pacjentów przerywana była jedynie okazjonalnymi komentarzami na temat ukraińskich lekarzy oraz opowieściami o losach kolegów, którzy sami zdecydowali się na emigrację na Zachód. Wszystkie z tych historii kończyły się tak samo, niezależnie czy Maciek, Kasia czy Mirek wyjechali do Anglii, Francji czy Szwecji: właśnie w tej chwili każde z nich kupowało wysepkę na Małych Antylach,

gdzie zamierzało spędzić dostatnią emeryturę. Marta miała już dosyć słuchania tych bzdur, więc skupiła się wyłącznie na pracy. Od pewnego czasu atmosfera w dyżurce stała się nie do zniesienia. Właściwie nie była już pewna, czy wolała słuchać Żabkowskiego, czy kolegów.

Z oddziału wyszła prawie o czasie, jedynie dziesięć minut później, niż powinna. Dyżurował Tomasz Nowaczyk, nowy rezydent, z którym pracowała kiedyś przez kilka tygodni jako zastępczy kierownik specjalizacji i którego nadal nazywała Młodym. Po starej znajomości zrzuciła na niego kilka niedokończonych spraw. Normalnie tego nie robiła, ale Młody tak entuzjastycznie garnął się do roboty, że aż sam się o to prosił. Poza tym radził sobie zaskakująco dobrze, więc od czasu do czasu warto było utrzcć mu nosa.

Na zewnątrz lało. Wyglądało na to, że listopadowe słońce, które do wczoraj rozpieszczało warszawiaków, samo przeniosło się gdzieś na Antyle. Marta otworzyła parasol i ruszyła przed siebie, choć nie było to łatwe. Przez miasto przepływały rzeki wody – skutek niewydolności miejskiego systemu kanalizacyjnego odprowadzającego wodę ze studzienek deszczowych. Problem narastał od lat, ale jak dotąd nikt nie zdołał sobie z nim poradzić. Przez głowę przemknął jej pomysł, by wpuścić tam *Naeglerię* – może ameba przyśpieszyłaby prace modernizacyjne. Poza tym związane z tym badania i granty mogły raz na zawsze uwolnić ją od konieczności dyżurowania... Szybko skarciła się za to w myślach – *Naegleria* zbyt często przychodziła jej ostatnio do głowy jako sposób na rozwiązywanie problemów.

W wejściu do kamienicy minęła swoją sąsiadkę, panią Marię. Razem z koleżanką pędziła do kawiarni na Nowym Świecie, na koncert fortepianowy. Po tym, jak zapisała się na uniwersytet trzeciego wieku, pani Maria prowadziła tak intensywne życie towarzyskie, że Marta mogła jej tylko pozazdrościć.

Kiedy włożyła klucz do zamka, dał się przekręcić tylko raz. Ze zdziwienia uniosła brwi – nie było jeszcze siedemnastej, Michał nigdy nie wracał do domu tak wcześnie.

– Czekałem na ciebie – usłyszała, kiedy przekroczyła próg mieszkania. Stał w korytarzu, z założonymi rękami, oparty o ścianę. Wyglądał na wściekłego.

– Też się cieszę, że cię widzę. Coś się stało?

– Okłamałaś mnie.

– A mógłbyś doprecyzować? – Okłamywała go już tyle razy, że nie miała pojęcia, co mógł mieć na myśli.

– Znalaziono torebkę z kawałkami dwóch palców Stefana Tokarza. To kieszonkowiec, dobrze znany policji. W torebce było też dziwne urządzenie, przypominające pułapkę na myszy. Sam Tokarz wylądował wczoraj na chirurgii. Chyba nie muszę dodawać, że te palce raczej mu już nie odrosną.

– Nigdy nie wiadomo. Prace nad komórkami macierzystymi...

– Marta, daj spokój, rozmawiamy poważnie. Obiecałaś, że nie będziesz więcej tego robić.

– Przecież wiesz, że jestem lekarzem. Zawodowo zajmuję się kłamstwem. Nie trzeba było wierzyć. Pretensje możesz mieć tylko do siebie. – Lekceważąco wzruszyła ramionami i zaczęła zdejmować mokrą kurtkę. Wiedziała, że takie zachowanie zdenerwuje go jeszcze bardziej, ale lubiła go prowokować.

Podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

– Narażasz wszystko, nad czym tyle pracowałem. – Domyśliła się, że mówił o Wyleczonych.

– Nad czym oboje pracowaliśmy – poprawiła go. – Zapominasz, że ja też mam w tym swój udział.

– Jesteś tylko trybikiem, nawet nie zdajesz sobie sprawy ze skali tego, co się wokół ciebie dzieje.

– W takim razie mnie uświadom. A nie w kółko tajemnice i niedopowiedzenia. Tak jakbyś mi nie ufał. – Zmarszczyła nos i przewróciła oczami, by podkreślić poziom nadąsania.

– To nie kwestia zaufania – odfuknął. – A nawet jeśli, to właśnie takimi akcjami jak ta udowadniasz, że im mniej wiesz, tym lepiej dla wszystkich.

– Dla wszystkich? Chyba dla ciebie. Jeszcze stałabym się zobowiązaniem, a tych, jak wiemy, nie lubisz. – Sama też ich nie znosiła, ale podkreślanie w rozmowach zawichości ich wzajemnej relacji, zwłaszcza jeśli temat tych rozmów dotyczył czegoś innego, zawsze wytrącało Michała z równowagi. O to jej chodziło. – Jak się o tym w ogóle dowiedziałeś? Przecież to nie twój wydział – dodała.

– Ta sprawa zrobiła się na komendzie głośna. Jak się domyślasz, Stefan Tokarz nie jest ulubieńcem policji. Chłopaki łapią go i zaraz wypuszczają. Tylko ciśnienie wszystkim podnosi, jak znowu go widzą. Wie, że jest praktycznie bezkarny i śmieje się wszystkim w twarz. W zeszłym roku przesłał „drogiej policji” życzenia bożonarodzeniowe.

– Och, jak miło z jego strony. – Przeszli do kuchni i Marta zaparzyła herbatę z cytryną, imbirem i miodem. Sezon przeziębieniowy był w pełni, a ona stawiała na naturalne metody profilaktyczne.

– Tak, bardzo. No więc po twojej akcji ktoś znalazł w śmietniku torebkę ze znaną ci zawartością. A Tokarz złożył doniesienie. W jego wersji jechał sobie spokojnie autobusem, a jakaś walnięta baba podeszła do niego, chwyciła jego rękę, wsadziła ją do swojej torebki i zrobiła z niego kalekę.

Marta przewróciła oczami.

– Będę miała kłopoty?

– Mogłaś mieć. Nie rozumiem, dlaczego nie pozbyłaś się tej torby w jakimś stosowniejszym miejscu?

– Nie sądziłam, że ten gnojek będzie miał czelność pójść na policję. Sam rozumiesz. Ten pierwszy, któremu uszkodziłam tylko jeden palec, cierpiał w milczeniu. – Podniosła do ust kubek i napiła się herbaty. – Co teraz?

– Nic. Na szczęście padał deszcz i wszystko zamokło. Chodzą słuchy, że chłopaki na wszelki wypadek potrzykali jeszcze torebkę na balkonie dziś rano podczas ulewy. Monitoring w autobusie też nie działał. To znaczy ogólnie działał, ale przestał akurat w czasie całego zdarzenia i żadnego nagrania nie ma. Nikt nie wie, jak wyglądasz. Sprawa beznadziejna. Dla Tokarza, oczywiście.

Marta parsknęła śmiechem.

– To faktycznie nie jest u was zbyt popularny.

– Marta, nie rób tego więcej. – Michał spoważniał.

– Nie będę. Obiecuję. Tym razem mówię serio. Już mi przeszło. – To była prawda. Nie zamierzała więcej powtarzać historii z kieszonkowcami. Zemsta się dokonała. Gniew się ulotnił, pozostał jedynie żal za utraconą pamiątką po babci. – Jesteś dziś wcześniej – zmieniła temat. – Nie mów, że specjalnie po to, żeby opieprzyć mnie za Tokarza?

– Nie jestem wcześniej. Jeszcze nie skończyłem pracy. Wróciłem tylko na chwilę. Tak naprawdę chciałem z tobą porozmawiać o czymś innym. Sprawa Tokarza jest tylko pobocznym wątkiem.

– Skąd wiedziałeś, że będę już w domu?

– Głupie pytanie. Zawsze wracasz o tej porze.

– Nie, dzisiaj wyszłam wcześniej niż zwykle.

– Naprawdę? – zdziwił się. – No to szczęśliwie się złożyło.

„Wyjątkowo szczęśliwie” – pomyślała. Od pewnego czasu zawsze bezbłędnie trafiał w czas i miejsce. Podejrzewała, że zamontował jej aplikację śledzącą w telefonie. Planowała to sprawdzić, ale ciągle zapominała.

– Co się stało? Znowu mam wyleczyć kogoś raz na zawsze? – Nie owijała w bawełnę.

– Nie tym razem. Chcę, żebyś pomogła mi w śledztwie.

– Ja? Tobie? W śledztwie? A to nowość. Normalnie wołami nie sposób z ciebie wydrzeć informacji na temat tych twoich śledztw.

– Chodzi o sprawę, którą właśnie się zajmuję – zignorował jej uwagę. – Dotyczy okoliczności, których do końca nie rozumiem. Chcę, żebyś mi coś wyjaśniła.

– Zaintrygowałeś mnie.

– Czy mówi ci coś nazwisko Rafał Mrozek?

– Rafał Mrozek? TEN Rafał Mrozek? Od przewlekłej boreliozy?

– Ten sam. Kilka dni temu znaleźliśmy go martwego w jego domu. Został uduszony. A dzisiaj w Lesie Kabackim przypadkowy spacerowicz natrafił na ciało Pawła Kruka. Również uduszonego.

– Tego nie znam.

– A nazwa DiagnosisLab coś ci mówi? To sieć jego laboratoriów.

– Paweł Kruk był właścicielem Diagnosis? Ale numer, ktoś wykańcza specjalistów od medycznej fikcji!

Michał spojrział na nią zaintrygowany.

– Szukam powiązań między Mrozkiem i Krukiem. Branża ich działania rzuca się w oczy zbyt wyraźnie, od początku sądziłem, że może być istotna. O co chodzi? Co to jest medyczna fikcja?

– To gałąź medycyny, która nie istnieje.

– Nie rozumiem.

Marta westchnęła.

– Jak wiesz, współczesna medycyna potrafi skutecznie poradzić sobie z wieloma problemami. Ale nie ze wszystkimi. Nie zawsze jesteśmy w stanie znaleźć przyczynę dolegliwości pacjenta. Jest mnóstwo rzeczy, których jeszcze o ludzkim ciele nie wiemy. Istnieje wiele chorób, zwłaszcza rzadkich, które dopiero czekają na swoje odkrycie. Dodatkowo, bardzo często dolegliwości nie są objawami żadnej choroby, a następstwem

stylu życia pacjentów – nadwagi, kiepskiej diety, stresu, braku ruchu. Frazes, ale prawdziwy, którym raczymy pacjentów, a w który oni nie wierzą. „Przecież to niemożliwe, że moje stawy kolanowe bolą mnie, bo ważę sto dwadzieścia kilo. Musi być jakaś inna przyczyna, tylko tym konowałam nie chce się szukać”. Poczekaj, już wyjaśniam. – Podniosła rękę, widząc, że Michał zaczyna się niecierpliwić. – Ten mój przydługi wstęp miał swój cel. Zmierzam do tego, że są pacjenci, których nie satysfakcjonuje najprostsza odpowiedź. Albo tacy, którzy nie otrzymali żadnej odpowiedzi, bo nikt nie wie, co im jest. I w takich sytuacjach wkracza medyczna fikcja.

– Czyli to rodzaj medycyny alternatywnej?

– Nie, to coś znacznie gorszego. Medycyna alternatywna nie ubiera się w cudze ciuchy. Kiedy idziesz do bioenergoterapeuty, wiesz, że nie jest to radiolog. Kiedy radzisz się znachora, zdajesz sobie sprawę, że nie skończył farmacji. Medyczna fikcja to maskarada, która ma za zadanie udawać prawdziwą medycynę. A wcale nią nie jest.

– Ale Mrozek leczył boreliozę. Tak jak ty.

– Nie, on udawał, że ją rozpoznaje, a potem udawał, że ją leczy. Skończył medycynę i żerował na tym, że ludzie ufali jego wiedzy. Wykorzystywał ich rzeczywistą chorobę albo poczucie choroby do tego, żeby się na tym dorobić.

– Udało mu się. Dom miał ogromny.

– Sam widzisz. Jego plan biznesowy był prosty. Proponował nieistniejące badania, których wyniki zawsze wychodziły dodatnie. Każdy, kto się do niego zgłaszał, miał rozpoznaną boreliozę. Badania kosztowały majątek, bo dziwnym trafem trzeba było wysłać je aż do Niemiec. Po rozpoznaniu należało włączyć długotrwałe leczenie. Miesiące, a nawet lata przyjmowania antybiotyków i suplementów, które koniecznie trzeba było kupić u Mrozka. Bo tylko on miał odpowiednie.

– A nie miał?

– Michał, borelioza to choroba bakteryjna. Leczy się ją kilka tygodni ogólnodostępnymi preparatami.

– Trochę pogrzebałem w sieci. Wiesz, że Internet jest innego zdania niż ty?

– Wiem. Trudno, żeby nie był, jeśli płacisz gruby hajs za pozycjonowanie swojego biznesu. Kiedy w wyszukiwarce wpiszesz hasło „borelioza”, pierwszych kilkanaście wyników to reklamy lewych preparatów oraz fikcyjne fora, na których opłaceni trolle opowiadają wymyślone historie o tym, jak to nikt nie potrafił im pomóc i dopiero ktoś

pokroju doktora Mrozka wpadł na właściwy trop. I że leczą u niego boreliozę od wielu lat, z fantastycznym skutkiem. Od wielu lat. Z fantastycznym skutkiem. Rozumiesz? – Roześmiała się.

– A Kruk? – Michał wyjął notatnik i zaczął go wypełniać pismem, które przypominało stenogram.

– O samym Kruku, jak już powiedziałam, nic nie wiem, ale Diagnosis to kolejny szemrany biznes. Mogłabym przez pół nocy ci opowiadać, jakie przejścia mieliśmy w klinice z ludźmi, którzy zrobili tam sobie badania. Te laboratoria niczego nie rozpoznają. A raczej odwrotnie, rozpoznają nieistniejące choroby. Bo każdy musi wyjść z jakimś rozpoznaniem, nieważne jak absurdalnym. Oni tam wręcz produkują chlamydiozy, toksoplazmozy czy babeszjozy. Ostatnio do „Błęńskiej” zgłosiła się pacjentka, której w Diagnosis rozpoznano zakażenie trzema rodzajami pasożytów dróg żółciowych. Na dodatek takimi, które nie występują w Polsce, a pacjentka nigdy w życiu nie wyjeżdżała za granicę. Trzema! Zakażenie każdym z osobna to rzadkość, a trzema naraz to przypadek, który należałoby opisać w „Lancecie”. Oczywiście nie potwierdziliśmy tych rewelacji i odmówiliśmy leczenia. Więc pacjentka po karczemnej awanturze, którą nam urządziła, poszła do Mrozka, który oprócz fikcyjnej boreliozy leczy też inne fikcyjne zakażenia. Na pewno postarał się, żeby za szybko nie wyzdrowiała. Oni zresztą często wymieniali się pacjentami. Mrozek kierował do Diagnosis, a Diagnosis polecało Mrozka.

– Chcesz mi powiedzieć, że to po prostu szarlatani?

– Tak, to medyczni szarlatani i naciągacze.

– Jak sądzisz, kto mógłby życzyć im śmierci? – Pierwszy raz prosił ją o pomoc w śledztwie. To było miłe i Marta zastanowiła się nad odpowiedzią. Naprawdę chciała się do czegoś przydać.

– Nie znam się na motywach, ale obstawiałabym konkurencję albo może raczej wkurzonego pacjenta, który w końcu zorientował się, że został zrobiony w balona.

– Ktoś konkretny przychodzi ci do głowy?

– Niespecjalnie. Jeśli chodzi o konkurencję, to tych szemranych przychodni i laboratoriów zaczęło ostatnio w Warszawie przybywać. Zrobię ci listę. Z pacjentami nie pomogę, bo zwykle leczą się głównie u Mrozków i im podobnych. Medycyna, którą ja się zajmuję, jest bezsilna. Sam rozumiesz. Ale wiesz co? – Zmrużyła oczy,

zastanawiając się nad czymś przez chwilę. – Powinieneś porozmawiać z Leszkiem. – Leszek Skalski był kolegą Marty z oddziału zakaźnego. – On prowadzi tego swojego bloga, na którym rozprawia się z różnymi mitami medycznymi. Wiem, że razem z Maćkiem Klichem, tym dziennikarzem... pamiętasz Maćka?...

Michał kiwnął głową tylko dla formalności, bo pytanie było z tych retorycznych. Kilka miesięcy wcześniej Leszek Skalski i Maciek Klich wplątali się w jedną z największych afer farmaceutycznych ostatnich lat, a Michał ich z niej wyplątywał. Przy okazji Leszek wciągnął w całą sprawę również Martę, co było dla niego typowe.

– No więc obaj pisali kiedyś sporo na temat lewych przychodni – dokończyła Marta. – Leszek powinien wiedzieć więcej ode mnie.

– Spytasz go, czy miałby dzisiaj czas? Mógłbym wpaść do niego nawet za piętnaście minut.

– Jasne. – Marta wyjęła telefon i wybrała numer Leszka. Odebrał dopiero po szóstym dzwonku. Nie było go w domu i miał wrócić dopiero za kilka godzin. Ale chętnie zgodził się pomóc Michałowi. Umówili się na następny dzień, po zakończeniu pracy.

– Pojadę do niego z tobą – zaoferowała, kiedy skończyła rozmowę. – Może też mi się coś jeszcze przypomni.

To była tylko część prawdy. Przede wszystkim nie chciała zostawiać ich samych. Wiedziała, że Michał nadal kojarzył się Leszkowi z zabójstwem młodego Dreja – narkomana i mordercy, w które wrobiła go kilka miesięcy temu. Gdyby Skalski wpadł na jakiś głupi pomysł, wołała być na miejscu, by wybić mu go z głowy. Na manipulacji znała się lepiej niż Michał.

– Dzięki. Przydasz mi się. – Sięgnął w stronę jej czoła, by odgarnąć za ucho niesforny kosmyk włosów. Zawsze tak robił, kiedy zamierzał zostawić ją samą. – Muszę już iść. Nie wiem, o której wrócę, zostało mi jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Nie chcę cię budzić, najlepiej będzie, jak przenocuję dzisiaj u siebie, dobrze? – Mieszkał kilka ulic dalej, ale przez ostatnie miesiące bywał rzadkim gościem w swoim mieszkaniu. Jeździł tam głównie po to, by nakarmić kota i mrówki. Marta zdążyła odzwyczaić się od samotnych nocy we własnym łóżku.

– Nie przeszkadza mi, kiedy mnie budzisz. Szybko zasypiam na nowo – próbowała pertraktować. Źle spała, kiedy nie było go obok, choć nie chciała się do tego głośno

przyznać. Nie należała do osób, którym łatwo przychodziło mówienie o własnych uczuciach.

– Nie, miałbym wyrzuty sumienia. Poza tym i tak muszę sprawdzić, co u Kota. – Kot Michała miał na imię Kot.

– Możesz przywieźć go do mnie – zaproponowała.

– To nie jest najlepszy pomysł. On nie lubi obcych miejsc. Poza tym dobrze znosi samotność. Podejrzewam, że układ, w którym mieszkanie ma tylko dla siebie, nawet bardziej mu odpowiada – roześmiał się.

Kot był dziwny i Michał miał zapewne rację.

Pocałowała go na pożegnanie, zanim zamknęła za nim drzwi. Przez moment zastanawiała się, czy wieczór powinna spędzić z książką, czy z serialem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio miewała takie dylematy. Ograniczenie liczby dyżurów w szpitalu było nowym, a zarazem wspaniałym doświadczeniem. Wygrała książka i teraz, po kilkuminutowych poszukiwaniach właściwego tytułu, Marta mogła wygodnie rozłożyć się na kanapie i przenieść do świata, jaki akurat jej pasował.

ROZDZIAŁ 3

Pielęgniarka krzątała się po gabinecie zabiegowym, rozkładając poranne leki do plastikowych kieliszków. Marta przysiadła w kącie, modyfikując zlecenia dla jednego z pacjentów. Chwilę porozmawiały na temat nowej pompy infuzyjnej służącej do powolnego podawania leków dożylnych. Model zakupiony w ramach przetargu przez dział zamówień publicznych szpitala był wyjątkowo awaryjny i ubiegłej nocy zepsuł się już po raz trzeci, podając pacjentowi jednorazowo taką dawkę leku, jaką ten miał otrzymać w ciągu sześciu godzin. Była to sytuacja niezwykle niebezpieczna i lekarz dyżurny szczegółowo opisał całe zdarzenie w swoim raporcie. Marta szczerze jednak wątpiła, czy wywrze to jakiegokolwiek wrażenie na dyrektorce. Dla niej liczyła się jedynie cena. I układy z dostawcami. Ordynator oddziału również nie zawracał sobie głowy takimi szczegółami. W końcu nie on musiał tę pompę obsługiwać. W przypadku tragedii zrzuciłby po prostu winę na podwładnych, utrzymując, że o niczym nie wiedział.

Nagle drzwi do zabiegowego otworzyły się z wielkim hukiem i do środka wkroczył Łukasz Żabkowski. Po jego śwince nie było śladu, podobnie jak po dobrym wychowaniu – pacjent nie zapukał i nie powiedział „dzień dobry”. Energicznym krokiem przemaszerował w stronę fotela do pobierania krwi.

– O co chodzi? – spytała pielęgniarka, z lekkim rozdrażnieniem w głosie.

– Tam wszystko jest. – Wskazał palcem komputer, sadowiąc się na fotelu. – Czytać pani nie umie?

Pielęgniarka zajrzała do zleceń. Nie spytała pacjenta o nazwisko. Nie musiała. Żabkowski był na oddziale zakaźnym znany i nielubiany. Martę codziennie zasypywano pytaniami o to, kiedy wreszcie wyjdzie „ten ćwok z ósemki”.

Pielęgniarka pokiwała głową nad tym, co zobaczyła w zleceniach, nie komentując zachowania pacjenta. Otworzyła szufladę z igłami do pobierania krwi, a jej ręka ani przez moment nie zawahała się, wędrując do przegródki z najgrubszymi. W „Błęńskiej” nawet lekcje pokory i szacunku przeprowadzane były w profesjonalny sposób.

Marta dyskretnie wyszła na korytarz. Nie żeby było jej żal Żabkowskiego, wręcz przeciwnie. Uznała, że nauka dobrych manier będzie skuteczniejsza, jeśli zostanie udzielona bez świadków.

Weszła do głównej dyżurki lekarskiej, gdzie o tej porze dnia panowała podniosła atmosfera ciszy i skupienia. Lekarze przygotowywali się do porannej odprawy, czytając

raport z dyżuru i sprawdzając wyniki badań swoich pacjentów. Wkrótce do zebranych dołączył ordynator Czechowski.

– Szanowni państwo, zanim zaczniemy naszą odprawę, chciałbym o czymś poinformować. Jak państwo wiecie, zmagamy się z dramatycznymi brakami kadrowymi. Nasz oddział będzie poważnie zagrożony zamknięciem, jeśli szybko nie znajdziemy lekarzy, którzy chcieliby u nas pracować lub jeśli państwo nie rozszerzycie swoich grafików. – Rozejrzył się po zgromadzonych, robiąc dramatyczną pauzę. – Z przykrością muszę stwierdzić, że niektórzy z państwa lekceważą to zagrożenie i nie angażują się dostatecznie w pomoc dla szpitala i dla oddziału. Według mnie jest to wysoce nieetyczna postawa, która godzi przede wszystkim w bezpieczeństwo pacjentów.

Marta poczuła na sobie spojrzenia kolegów. Dla wszystkich było jasne, że słowa ordynatora były wycelowane w nią. Została oskarżona o brak etyki, ponieważ pracowała dwieście godzin miesięcznie zamiast trzystu. Przez faceta, który przyjmował łapówki od firm farmaceutycznych i po raz ostatni dyżurował przed piętnastoma laty. Poczuła się jak w ukrytej kamerze. Co za absurdalny początek dnia!

– Nasza dyrekcja robi, co może, żeby zaradzić kryzysowi – kontynuował Stary. – Na szczęście udało się znaleźć do zespołu lekarza, który choć częściowo rozwiąże problem dyżurów. Oczywiście jedna jaskółka wiosny nie czyni, jak to mówią, ale może nowy lekarz przyniesie nam szczęście i przyprowadzi za sobą kolejnych chętnych. Chciałem państwu powiedzieć, że nasz nowy pracownik zacznie pracę już jutro. Pani doktor, o której mówię, nazywa się Olga Krawczyk... – Przerwał i spojrzał na kartkę leżącą na stole przed nim. – Przepraszam, Krawczuk. Tak, Krawczuk – upewnił się. – I jest z Ukrainy. Proszę, żebyście służyli jej pomocą i traktowali z szacunkiem – dodał takim tonem, jak gdyby to nie on, a jego podwładni słynęli z tendencji do nękania innych. – No dobrze, to teraz możemy przejść do bieżących obowiązków. Doktor Makowską poproszę o przeczytanie informacji dyżurowych.

Po zakończonej odprawie lekarze zaczęli zbierać się do codziennej rutyny. Słyszając poruszenie, Stary uniósł dłoń.

– Jeszcze jedno. Dzisiaj na konsultacje do SOR-u i pozostałych oddziałów szpitala schodzi doktor Wolska – oznajmił.

– Ale... – Marta próbowała zaprotestować.

– To wszystko na dzisiaj. W razie problemów będę w swoim gabinecie. – Stary odwrócił się na pięcie i wyszedł z dyżurki, kompletnie ją ignorując.

Martę od pewnego czasu wysyłano na zewnętrzne konsultacje, poza oddział zakaźny, dwukrotnie częściej niż jej kolegów. Była to jedna z form kary, jaką stosował wobec niej ordynator. Konsultacje zewnętrzne stanowiły przykry obowiązek, nie lubiany przez lekarzy. Dotychczas czarną owcą oddziału, na której barki spadały niepopularne prace, był Leszek Skalski, zawdzięczając to swemu niewyparzonemu językowi i skłonności do szukania kłopotów. To on był siłą sprawczą afery związanej z Volandą, w wyniku której Stary o mało nie stracił posady. Sądzone, że po tym, jak ordynatora przywrócono na stanowisko, szykany wobec Leszka tylko przybiorą na sile. Stało się inaczej – Skalski został przewodniczącym szpitalnych związków zawodowych, a Stary schodził mu z drogi. Na dodatek nowe obowiązki administracyjne Leszka sprawiły, że ostatnio rzadziej pojawiał się na oddziale zakaźnym. Natura nie lubi jednak próżni i wakat czarnej owcy zajęła Marta.

Pierwszy telefon z SOR-u otrzymała wkrótce po tym, gdy skończyła poranny obchód wśród swoich pacjentów. Dojście na szpitalny oddział ratunkowy zajęło jej dziesięć minut – oddział położony był w innym pawilonie, blisko głównego wejścia. Największa sala SOR-u była w rzeczywistości ogromną halą, poprzedzianą na mniejsze prostokąty za pomocą zielonych parawanów. Jak zwykle o tej porze dnia oddział wypełniali pacjenci. Byli wśród nich naprawdę chorzy, jak i tacy, którzy przyszli, bo nudziło im się w domach, a ich ulubione seriale miały przerwę w emisji. Marta wiedziała, że w poczekalni, po przeciwnej stronie zamkniętych drzwi, czekało drugie tyle potrzebujących. Machnęła ręką na powitanie Artura Robczyńskiego – ordynatora SOR-u. Znali się jeszcze ze studiów i normalnie podeszłaby do niego na krótką rozmowę, ale nie w sytuacji kompletnego chaosu, który ich otaczał. Marta wiedziała, że na oddziale ratunkowym jednocześnie pracuje tylko dwóch lekarzy i za każdym razem, gdy tu przychodziła, zastanawiała się, jak dają radę nawałowi zadań. Oceniała, że w głównej hali SOR-u musiało leżeć co najmniej czterdziestu pacjentów. A ilu znajdowało się w izolatkach i poczekalni?

Artur stał przy łóżku pacjenta, który wyglądał na bezdomnego – wskazywał na to ubiór mężczyzny i zapach, jaki roztaczał wokół siebie. Bezdomny miał zamknięte oczy i sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Ze strzępów konwersacji, którą Artur prowadził

z ratownikiem medycznym, zrozumiała, że wspólnie naradzają się nad podaniem pacjentowi dodatkowych płynów.

– Wiesz co, podłącz mu jeszcze pół litra – zdecydował na koniec Artur.

– Pół litra?! – wykrzyknął bezdomny, który ocknął się nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Marta skierowała się w stronę stanowiska koordynatora. Jej fartuch i stetoskop prowokowały pacjentów, obok których przechodziła, do pytań w rodzaju: „Jak długo jeszcze mam czekać na lekarza?” albo „Tu u was to tylko umrzeć można. Za co te składki na was płacę?”. Po drodze w ostatniej chwili uskoczyła przed otwierającymi się drzwiami – pogotowie przywiozło zakrwawioną kobietę, którą wwożono właśnie do sali na wózku do przewożenia chorych.

– Dzień dobry – powitała pielęgniarkę koordynującą. – Podobno macie dla mnie pacjentów do konsultacji?

– Tak, pani doktor, dwóch. Jeden z biegunką po powrocie z Kenii, drugi z podejrzeniem neuroboreliozy. – Pielęgniarka wskazała pacjentów długopisem i podała Marcie ich dokumentację medyczną. Normalnie przypadki biegunek nie wymagały konsultacji lekarzy z oddziałów. Ale na hasło „powrót z tropików” lekarze pracujący na SOR-ach nawet nie próbowali się starać. „Przyszedł jakiś robak z tropików, wołajcie zakaźnika” było jedyną próbą interwencji, jaką podejmowali.

Marta podeszła do łóżka mężczyzny, który leżał bliżej.

– Dzień dobry, Marta Wolska, jestem lekarzem chorób zakaźnych. Pan Krystian Krajewski?

– Tak, to ja.

– Słyszałam, że wrócił pan z Kenii i ma pan biegunkę?

– Nie, rozwolnienie.

– To to samo. Czyli ma pan biegunkę?

– Naprawdę? Myślałem, że biegunka to są wymioty.

– Nie, nie są. Ale dla porządku ustalmy fakty, żebyśmy miały pewność, że mówimy o tym samym. Czyli ma pan rzadkie stolce?

– Tak, bardzo rzadkie, raz na tydzień.

Marta zrobiła głęboki wdech. Kusilo ją, by spytać pacjenta, czy Żabkowski z ósemki nie jest przypadkiem jego krewnym, ale zamiast tego cierpliwie dokończyła wywiad

i przeprowadziła krótkie badanie. Wpisała konsultację do dokumentacji i podeszła do pacjenta z podejrzeniem neuroboreliozy.

– Jak się pan czuje? – spytała.

– Przecież pani widzi! – odpowiedział z pretensją w głosie. – Jestem nieprzytomny, bez kontaktu, mam objawy oponowe...

Kiedy kończyła badać całkowicie zdrowego mężczyznę, w drugim końcu sali usłyszała poruszenie. U jednego z pacjentów nastąpiło zatrzymanie akcji serca i Artur wspólnie z ratownikiem oraz pielęgniarką błyskawicznie przystąpili do reanimacji. Parawan nie do końca zasłaniał widok, więc wkrótce niektórzy z pozostałych pacjentów oddziału ratunkowego sami zaczęli wyglądać, jakby za chwilę miał im się przydać masaż serca. Marta znów podeszła do pielęgniarki koordynującej, tym razem po to, by oddać jej dokumentację i krótko streścić zalecenia. Chciała jak najszybciej opuścić SOR, którego szczerze nie znosiła.

Spojrzała na zegarek. Dwie bezsensowne konsultacje zabrały jej prawie godzinę. Przyspieszyła kroku – chciała jak najszybciej wrócić na oddział zakaźny i nadrobić stracony czas, choć i tak było mało prawdopodobne, by udało jej się wyjść do domu punktualnie. Obstawiała dziś wszystkie konsultacje zewnętrzne i nie sądziła, by skończyło się jedynie na dwóch. Nie myliła się – przed końcem pracy musiała jeszcze zbadać trzech pacjentów leżących na innych oddziałach: kardiologicznym, dermatologicznym i ponownie na SOR-ze. Kiedy od jednego ze swoich pacjentów z oddziału zakaźnego usłyszała, że „długo nie mógł jej znaleźć i że pewnie zaszyła się w jakimś kącie, żeby spokojnie wypić kawkę”, o mało nie eksplodowała.

Wyszła z „Błęńskiej” wypompowana jak dętka. Przy głównej bramie wstąpiła jeszcze do budynku C, w którym mieściły się biura informatyków.

– Cześć, Jacek. Masz chwilę? – spytała Jacka Kilińskiego, jednego z nich.

– Marta, dla ciebie zawsze. – Po tym, jak uratowała jego ojca, który trafił na oddział zakaźny z kleszczowym zapaleniem mózgu, Jacek nigdy nie odpowiadał inaczej, niezależnie z jakim problemem się do niego zwracała.

– Słuchaj, czy mógłbyś zajrzeć do mojego smartfona? Mam przeczucie, że mogę tam mieć zainstalowaną aplikację śledzącą. Nie sprawdziłbyś tego?

– Aplikację śledzącą? – Informatyk uniósł w zdziwieniu brwi. – Naprawdę ktoś ci szpieguje zainstalował? To twój telefon czy po kimś go przejąłeś?

– Mój. To długa historia. I zupełnie w tej chwili nieistotna. Po prostu rzuć okiem na aplikacje i powiedz, czy któraś nie wydaje ci się podejrzana. Mam już ich tyle, że sama nie wiem, która jest od czego. Ty się na pewno lepiej w tym orientujesz.

Jacek wziął do ręki jej telefon bez dalszych pytań. Podczas pracy w „Błęńskiej” przyzwyczał się do dziwniejszych próśb. Przez chwilę w milczeniu przebierał palcami na ekranie.

– No faktycznie, masz. To ta. – Wskazał palcem wyświetlacz. – Chcesz, żebym ci ją odinstalował? Albo powiedział, na jaki numer telefonu są przekazywane informacje?

To akurat wiedziała. Na numer Michała.

– Nie, dzięki, sama ją odinstaluję. Chciałam tylko wiedzieć, która to. – Schowała telefon do kieszeni i pożegnała się z Kilińskim.

Kiedy przechodziła przez plac Konstytucji, poczuła wibracje na prawym biodrze. Spojrzała na wyświetlacz i uniosła brwi ze zdziwienia. Dzwonił Cezary, mąż jej siostry, Kamili. Szybko odebrała. Miała nadzieję, że nie stało się nic złego. Nie znosiła Cezarego, a on nie lubił jej, dlatego nigdy nie kontaktowali się bez ważnej przyczyny. Tak naprawdę dzwonił do niej pierwszy raz w życiu. Właściwie to do teraz nie wiedziała nawet, że ma jej numer.

– Cześć, Cezary. Wszystko dobrze z Weroniką? – spytała trochę zbyt szybko. Weronika była jej czteroletnią siostrzenicą.

– Tak, Marta, wszystko dobrze. Cześć – zaczął niepewnie, jakby z wahaniem. Kolejna nowość. Cezary, jakiego znała, był pewnym siebie i zakochanym w sobie bufonem.

– A z Kamilą? – Coś ewidentnie było nie tak. Miała złe przeczucia.

– Z Kamilą... Właśnie w tej sprawie dzwonię.

– O Boże, wiedziałam! – Przystanąła. Idąca za nią chodnikiem kobieta prawie na nią wpadła. Mijając Martę, rzuciła pod nosem jakieś przekleństwo.

– Nie, czekaj, to nie tak, jak myślisz. Nic z tych rzeczy. Nie denerwuj się! – uspokoił ja Cezary. – Chodzi o coś innego.

– Co się stało?

– Nie wiem, jak to powiedzieć dyplomatycznie, więc może po prostu powiem, jak jest. Twojej siostrze odjechało.

– Co takiego?

– To, co słyszysz. Mamy problem. Wszystko zaczęło się jakiś czas temu. Parę miesięcy, teraz tak sobie liczę. Ale ostatnio jest coraz gorzej. Nie mogę z nią już wytrzymać.

– No ale co się konkretnie dzieje?

– Wiesz, najlepiej będzie, jak sama przyjedziesz i zobaczysz na własne oczy. Tego się nie da opisać słowami.

– Słuchaj, jeśli macie jakieś małżeńskie problemy, to może spróbujcie rozwiązać je najpierw sami, co? Nie wciągaj mnie w to.

– Nie, nie o to chodzi. Możesz odwiedzić nas w tę sobotę? Bardzo cię proszę. Tak w okolicach południa? Przyjadę po ciebie i odwiozę z powrotem do Warszawy. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. – Ostatnia część zdania zabrzmiała prawie błagalnie. Prędzej spodziewałaby się śnieżycy w piekle niż prośby ze strony Cezarego.

Nie była pewna, w co szwagier próbował ją wrabiać. Jednak Kamila rzeczywiście wydawała się ostatnio jakaś dziwna, choć Marta nie potrafiła określić, na czym ta dziwność polegała.

Po śmierci babci, która je wychowała, zaczęły się od siebie oddalać, a winę ponosiła przeszłość. Kiedy Marta miała pięć lat, była świadkiem morderstwa rodziców. Nigdy się z tego nie otrząsnęła. Kamila była zbyt mała, by cokolwiek z tamtego okresu pamiętać, na dodatek w dniu zabójstwa przebywała u babci. Zbrodnia miała związek z aferą dotyczącą Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Ich ojciec był księgowym w jednej z firm należących do Funduszu. Napastników nigdy nie odnaleziono. Poza jednym, którego po latach Marta przypadkowo spotkała w szpitalu. Zemściła się na nim na swój sposób, pozbawiając go życia przy użyciu wiedzy i umiejętności, jakie posiadała.

Kamila nie chciała rozmawiać o przeszłości, reagowała niemal histerycznie na jakąkolwiek wzmiankę o tej sprawie. Wołała trzymać się wersji, że było to morderstwo na tle rabunkowym, a nie z powodu potencjalnego udziału ojca w największej aferze finansowej III RP. Z kolei Marta była przekonana że ojciec był niewinny. Nie wierzyła w ani jedno słowo wypowiedziane przez świadków. Wszyscy kłamali. Próbując chronić swoje tyłki, zrzucali odpowiedzialność na osobę, która nie była w stanie się bronić.

Pewnego wieczoru, kilka miesięcy temu, Kamila zadzwoniła do Marty kompletnie pijana, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Siostra nie lubiła alkoholu i piła go rzadko,

nawet podczas studiów prawniczych, na których większość jej znajomych ostro imprezowała. Przyznała się Marcie, że poroniła. Od dłuższego czasu bezskutecznie starała się zająć w ciążę, a kiedy wreszcie jej się to udało, straciła dziecko.

Rozgoryczona wyznała, że wie, kto odpowiada za śmierć rodziców. Dowiedziała się tego przypadkiem, przed laty, kiedy pracowała w kancelarii Werner i Werner. Jeden z przyjaciół jej szefa był obrońcą kogoś zamieszanego w aferę FOZZ i wygadał się, kiedy wyszło na jaw, że Kamila jest „TĄ Wolską”.

Nie podała jednak żadnych nazwisk. Rozmyśliła się w ostatniej chwili. Rozłączyła się i nie odbierała połączeń, kiedy Marta próbowała ponownie z nią porozmawiać. Następnego dnia udała, że rozmowy nie pamięta i, jak zwykle, reagowała irytacją na jakąkolwiek wzmiankę na temat rodziców.

Od tamtej pory kontaktowały się tylko telefonicznie, na dodatek rzadko, nad czym Marta ubolewała. Kamila w ostatniej chwili odwoływała wszystkie spotkania, na jakie początkowo entuzjastycznie się godziła. Siostra i siostrzenica były jej jedyną rodziną i Marta bardzo za nimi tęskniła. Odwiedziny, nawet na zaproszenie Cezarego, były doskonałym pomysłem.

– No jasne – odpowiedziała.

– Świetnie. To do zobaczenia. Przyjadę po ciebie koło południa – oznajmił Cezary i rozłączył się. Marta ruszyła w stronę domu, pochłonięta myślami o siostrze i jej potencjalnych problemach.

Po powrocie do mieszkania zaczęła od prysznica. Długo stała pod deszczownicą, splukując z siebie wspomnienia z SOR-u i oddziału zakaźnego. Kiedy była już czysta, momentalnie poczuła się głodna. Był to już najwyższy czas na posiłek. Pierwszy tego dnia, bo na śniadanie i obiad nie miała czasu. Otworzyła lodówkę i wyjęła wczorajszą zupę z selera oraz zapiekankę z warzyw i czerwonej soczewicy. Kroiła pomidora, kiedy usłyszała szcęk przekręcanego w zamku klucza.

– Dobrze, że jesteś – przywitała Michała. – Właśnie będę podgrzewać kolację. Jadłeś już czy też chcesz?

Michał wydawał się zmęczony. Podeszedł do niej i pocałował ją na powitanie.

– Jadłem, ale bardzo chcę. – Usiadł na krześle. – Leszek pamięta, że wieczorem do niego przyjeżdżamy?

– Tak, wysłałam mu z pracy przypominającego esemesa. Potwierdził.

Leszek nie tylko pamiętał, ale i wyglądał na przejętego swoją rolą, otwierając drzwi kilka minut po dwudziestej i wpuszczając ich do swojego mieszkania. W końcu miał być „niezależnym zewnętrznym ekspertem”, jak powiedziała mu przez telefon Marta. Trochę przesadziła, ale pomyślała, że małe niewinne kłamstwo nie zaszkodzi, a może połączce ego Leszka i podziała na niego motywująco. Nie żeby ego Skalskiego coś brakowało, wprost przeciwnie. Odkąd został przewodniczącym związków zawodowych w „Błęńskiej”, jego samoocena poszybowała w górę i przebiła wszelkie możliwe skale. Rzadko pokazywał się teraz na oddziale, mając „poważniejsze” obowiązki, co jednak nie przeszkadzało mu w zabieraniu głosu na temat spraw oddziałowych, w których nie uczestniczył i o których nie miał pojęcia. Ale w tym przypadku był właściwą osobą na właściwym miejscu i należało zrobić wszystko, by tak właśnie się poczuł. W przeszłości wraz ze swoim przyjacielem, dziennikarzem Maciejem Klichem, napisał cykl artykułów na temat medycznej fikcji. Znał wszystkich liczących się w kraju oszustów i wiedział, w jaki sposób działali. Nawet jeśli nie mógł pomóc Michałowi w odnalezieniu zabójcy, z całą pewnością potrafił nakreślić kilka możliwych scenariuszy zdarzeń.

– Wejdźcie, wejdźcie. Od razu na salony. – Poprowadził ich do pokoju. Oczy błyszczały mu kiepsko maskowaną ekscytacją. Nie mógł doczekać się relacji na temat trupów i śledztwa, co Marta doskonale rozumiała. Sama na początku znajomości z Michałem podniecała się każdą informacją na policyjne tematy, jaką Łazowski zechciał się z nią podzielić. Zresztą ta fascynacja trwała nadal: Michał nie był skłonny do zwierzeń, więc efekt przesyty nie zdążył zadziałać.

Łazowski szybko wprowadził Leszka w sprawę obu zabójstw, dzięki czemu Marta miała okazję usłyszeć szczegóły, których sama jeszcze nie знаła. Rafał Mrozek zginął uduszony w swojej willi, na własnej kanapie. Według relacji gospodyni, która przychodziła do niego pięć dni w tygodniu, Mrozek od dłuższego czasu miał tendencję do wieczornego picia na umór i zasypiania przed telewizorem. Zdarzało się, że zapominał o zamknięciu drzwi wejściowych na klucz. W dniu, w którym został uduszony, również pił alkohol, a drzwi nie nosiły śladów włamania. Mrozek rozwiódł się jakiś czas temu i mieszkał teraz sam. Pieniądze, które zarabiał na leczeniu fikcyjnych borelioz, jakoś nie przyniosły mu szczęścia. W odróżnieniu od niego Paweł Kruk, właściciel DiagnosisLab, wiódł bardzo udane życie. Miał żonę i troje dzieci, które posyłał do najlepszych warszawskich szkół. Cała piątka mieszkała wspólnie

w ogromnym domu niedaleko Lasu Kabackiego. Kruk słyszał z zamiłowania do sportu. Codziennie rano biegał po Lesie Kabackim, udostępniając trasy biegowe na swoim facebookowym profilu. Niewiele się od siebie różniły, można powiedzieć, że niemal codziennie pokonywał podobne odcinki. Wiadomo, że tuż przed śmiercią przewrócił się, doznając urazu lewego stawu skokowego. Podejrzewano, że napastnik zaczął się na niego przy ścieżce. Okoliczności śmierci nie zawężyły kręgu podejrzanych. Wiele osób wiedziało o przyzwyczajeniach Mrozka i Kruka i mogło tę wiedzę odpowiednio wykorzystać. Na dodatek sposób działania nie wskazywał na płeć ani wiek napastnika – żadne z zabójstw nie wymagało dużej siły fizycznej i mogło być dokonane zarówno przez dwudziestoletniego mężczyznę, jak i pięćdziesięcioletnią kobietę. Mrozek i Kruk znali się, łączyły ich okazjonalne wspólne interesy, ale prywatnie nie byli przyjaciółmi i nie spotykali się na gruncie towarzyskim. Według zeznań bliskich nie mieli wrogów, a w ich życiu nie działo się ostatnio nic niezwykłego.

– To wszystko, co mogę wam na temat tych spraw powiedzieć – zakończył swoją relację Michał. – Teraz chciałbym posłuchać was.

Przez chwilę w pokoju zapanowała cisza.

– Powiedziałaś mu o medycznej fikcji? – pierwszy odezwał się Leszek.

– Tak. Dosyć ogólnie, ale tak. – Marta pokiwała głową.

– Mrozek specjalizował się w leczeniu boreliozy. – Leszek zwrócił się do Michała. – Chociaż to bardzo przewrotne powiedzenie, bo on nie był żadnym specjalistą, niczego nie leczył, a już na pewno nie była to borelioza. Facet wykorzystywał naiwność i desperację innych ludzi. Takich, którzy mają dolegliwości od lat, chodzą z nimi od lekarza do lekarza, nie otrzymując żadnej konkretnej diagnozy. Mrozek znajdował wytłumaczenie dla tych dolegliwości. Praktycznie zawsze to samo – borelioza. Testy, które w naszym szpitalu wychodziły negatywne, u niego potwierdzały chorobę. Ale nie po to wysyłał je do Niemiec, żeby wychodziły ujemne, prawda? Laboratorium w Niemczech to była świetna przykrywka. Ponoć wykonuje je tam jakiś tajemniczy profesor, specjalista o światowej sławie. Mrozek świetnie to sobie wykombinował, bo za badania takiego eksperta można, a nawet trzeba, zażądać krocie. Fakt, że nikt w świecie medycznym o takim profesorze nie słyszał, Mrozek również potrafił pięknie wyjaśnić – naukowiec został wyklęty za mówienie prawdy o boreliozie. Wyklęty profesor wykonujący wyklęte badania.

– Przecież jest Internet, dlaczego ludzie nie sprawdzają wiarygodności takich informacji? – zdziwił się Michał.

– Internet? Owszem, szukają, ale w Internecie już od dawna nic nie jest przypadkowe. Jako pierwsze pojawiają się reklamy ośrodków „leczących” przewlekłą boreliozę oraz fora, na których ustawieni ludzie kłamią, jak to doktor X czy Y wreszcie znalazł przyczynę ich dolegliwości. A wiesz, jakie to najczęściej dolegliwości?

– No jakie?

– Zmęczenie. Przewlekłe zmęczenie, brak energii do życia, złe samopoczucie. Tak jest to opisywane przez pacjentów. Tyle że zmęczenie nie jest objawem charakterystycznym dla żadnej choroby. Każdy je odczuwa. Po czterdziestce staje się normą. Nie ma na to żadnego skutecznego lekarstwa, każdy musi radzić sobie na swój sposób. Ale niektórzy czują się zostawieni sami sobie, lekceważeni przez lekarzy. To tworzy okazję do działania dla naciągaczy. Niektórzy z tych naciągaczy są lekarzami, inni nie. Ci pierwsi są gorsi, bo tworzą wrażenie, jakby nadal tkwili w prawdziwej medycynie, a tak nie jest. Pół biedy, jeśli pacjenci zostali przebadani przez innych lekarzy i naprawdę nic im nie jest. Ale bywa i tak, że za radą znajomych, których znajomi znajomych też mieli takie objawy, trafiają do szarlatanów, a ci nie diagnozują realnych chorób. Zdarzało się, że leczono boreliozę u osób z białaczką czy stwardnieniem rozsianym. Z bardzo kiepskim zakończeniem.

– I nic z tym nie robicie? – spytał Michał.

– My? Co mielibyśmy z tym robić? Praktykowanie medycznej fikcji nie jest w Polsce nielegalne. Każdy odpowiada za siebie. Jeśli chcesz się poddać tym procedurom, droga wolna. Jasne, jeśli ktoś podejmuje takie decyzje w akcie desperacji, istnieje duże ryzyko, że zostanie wykorzystany. Wystarczy krótki przegląd Internetu, o którym masz takie dobre zdanie, żeby znaleźć kupę śmieci. Ludzie wymieniają się „informacjami” nawet na grupach facebookowych. Dzielą się bredniami na temat leczenia i diagnostyki, nie rozumiejąc najprostszycch mechanizmów biologicznych. Do tego włączają się rozmaite gwiazdki i celebryci, chętnie opowiadając, na przykład, o swojej „wieloletniej walce z boreliozą”. Wieloletniej walce z boreliozą? Tę chorobę leczy się przez kilka tygodni, nie lat. Ale borelioza brzmi lepiej niż problemy psychiczne czy uzależnienia. Może o to chodzi.

– Tak, Marta już mi o tym wspominała. Ale w przypadku zgonów też nie interweniujecie?

– Michał, my? To chyba wasza działka. I prokuratury. Ale odpowiadając na twoje pytanie – w przypadku zgonów też nic się nie dzieje. Pamiętasz tę głośną sprawę sprzed lat, kiedy kobieta zmarła po podaniu kambo, czyli wydzielin amazońskiej żaby? Jacyś ludzie przywożą nie wiadomo skąd substancje o nieustalonym składzie, podają je innym ludziom, jedna osoba w wyniku tych działań umiera i co? Nic. Żadnych winnych. Wszystko na legalu. Interes jak hulał, tak hula. Kolejni klienci się zgłaszają, niezrażeni tym „wypadkiem przy pracy”, bo przecież „zgony zdarzają się nawet po paracetamolu”, jak tłumaczył się organizator tej „ceremonii”. No to co my mamy z tym zrobić?

Michał dodał kolejny znaczek do swoich notatek.

– Czyli biznes praktycznie bez ryzyka, bo trudno udowodnić winę. A konkurencja duża?

– Spora, choć w medycynie alternatywnej co bardziej pomysłowi starają się wyróżniać oryginalnością metod „terapii”.

– A Kruk? Wyróżniał się?

– Kruk, podobnie jak Mrozek, działał w medycznej fikcji. Czyli tej części medycyny alternatywnej, która miała za zadanie udawać prawdziwą medycynę. Prowadził prawdziwe laboratorium medyczne, które rozpoznawało nieistniejące choroby. Perfidnie wprowadzał pacjentów w błąd. Początkowo próbował leczyć nieistniejące choroby nieistniejącymi terapiami, typu biorezonans, ale dość szybko tego zaprzestał. Skupił się wyłącznie na diagnostyce. Współpracował z kilkoma przychodniami, do których wysyłał pacjentów na leczenie, między innymi z Mrozkiem. Ci w zamian odsyłali do niego pacjentów „na badania kontrolne”. Taki finansowy obieg zamknięty.

– Czy jest ktoś, komu szczególnie zależałoby na śmierci Kruka i Mrozka?

– Michał, takich ludzi jest sporo. Rodziny traciły przez nich najpierw majątek, a potem swoich bliskich. Osobiście znam kilka takich przypadków. Maciek Klich prowadził w tej sprawie śledztwo dziennikarskie, zresztą z moją pomocą.

– Dasz mi namiary na tych ludzi?

– Jasne. Powinieneś też spojrzeć na to forum internetowe. Pokażę ci. Włączę komputer. – Leszek klikał w klawiaturę laptopa, aż na ekranie pojawiła się strona z migającym napisem „Uwaga! Oszuści medyczni!”. – Pełno tu informacji o różnych

szarlatanach, są też wątki Mrozka i Kruka. Pełno bluzgów pod ich adresem, życzeń śmierci i innych takich. Niestety, nie wiem, na ile poważnie je traktować. Większość pisana była pod wpływem emocji, to jasne. Ale może któryś zaprowadzi cię na jakiś ślad... O, popatrz, na przykład Peja52 napisał: „Uduśliłbym chuja własnymi rękami za to, co mi zrobił. Urwałbym mu jaja”. Mrozek miał jaja, kiedy go znaleźliście? – spytał z zainteresowaniem.

– Leszek, dzięki. Mrozek miał jaja i wszystkie inne części ciała, ale ta strona faktycznie może okazać się przydatna. – Michał zapisał adres. – Masz dla mnie coś jeszcze?

– W sumie... – Leszek zastanowił się przez chwilę. – Jest taki jeden gość, który prowadzi bloga demaskującego kłamstwa oszustów medycznych, bo mu żona zmarła w wyniku jakiejś alternatywnej terapii. Ale to nie miało związku ani z Mrozkiem, ani z Krukiem. Co to było... A, już pamiętam. Miała ciężką depresję, ale ktoś rozpoznał u niej boreliozę i leczył ją za pomocą biorezonansu i hydrokolonoterapii.

– Czego?

– Hydrokolonoterapii. Płukania jelita grubego wodą.

Michał się skrzywił.

– Rozumiem, że to jej nie pomogło?

– Niespecjalnie. Którejś nocy weszła na dach dziesięciopiętrowego bloku, w którym mieszkała razem z mężem i córką i skoczyła. To była głośna sprawa. Czekaj, jak nazywała się ta „klinika”, która ją leczyła... zaraz sobie przypomnę... Bionaturalnie. Tak, na pewno Bionaturalnie. Od tej pory mąż tej kobiety prowadzi z nimi wojnę. Napiszę ci jego nazwisko, choć nie sądzę, by był zamieszany w morderstwa. Ale może powie ci coś więcej, bo jest na bieżąco. Poznałem go, rozsądny facet. Nie wiem, jakim cudem dał się wmanewrować w to całe leczenie żony za pomocą płukania dupy, ale nie będę go osądzał. Jak wspomniałem, w akcie desperacji często podejmuje się głupie decyzje.

– Kiedy spytałem Martę, kto mógłby być zainteresowany śmiercią Mrozka i Kruka, wspomniała o konkurencji. Co ty o tym sądzisz?

– Hm... No, może, niewykluczone, ale obstawiałbym wkurzonego pacjenta. Jeśli chodzi o konkurencję, to owszem, co jakiś czas pojawiają się nowe adresy, ale póki co

żaden wielki gracz. Oczywiście popytam na wszelki wypadek wśród znajomych i dam ci znać.

Kiedy Marta i Michał wyszli z mieszkania Leszka, było już dobrze po dziesiątej. Michał prowadził w milczeniu i odezwał się dopiero w Śródmieściu.

– Przybiła mnie ta rozmowa z Leszkiem.

– Dlaczego?

– Wygląda na to, że wszystko, co nas otacza, jest fikcją. Każda dziedzina życia przeżarta jest przez kłamstwo i oszustwo.

– A miałeś dotąd jakieś wątpliwości?

– Wyobraź sobie, że tak. Myślałem, że istnieją jakieś granice.

– Nie ma żadnych. Wszyscy udają. Ten świat opiera się na kłamstwie. Kręci się tylko dlatego, że jest okrągły.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak. Wszystko jest kłamstwem – powtórzyła.

– My też? – spytał poważnie.

– Oszalałeś? Oczywiście, że nie.

– Powiedziałaś, że wszystko.

– Wszystko oprócz nas. My jesteśmy prawdziwi. – Poglaskała go czule po kolanie. Uśmiechnął się, pierwszy raz tego dnia.

ROZDZIAŁ 4

Lekarze, wchodzący do dyżurki lekarskiej tego ranka, po kolei wydawali okrzyki radości. Temperatura wróciła do normy, najwyraźniej udało się naprawić kaloryfery. Radość nie trwała jednak długo – po godzinie okazało się, że przyczyną braku upału jest awaria ogrzewania w całym szpitalu.

– Co tu tak zimno? – przywitał ich Stary, przybywszy na poranną odprawę. Sam nie miał okazji zmarznąć, bo w jego gabinecie natychmiast po wykryciu awarii podłączono grzejnik elektryczny. – Wy tu albo tropiki, albo igloo macie. Serio lubicie pracować w takich skrajnościach? No, ale to wasza sprawa. Nową panią doktor wam przyprowadziłem – oznajmił, przepuszczając w drzwiach szczupłą blondynkę. – To jest właśnie doktor Olga, o której tyle wam opowiadałem. – „Tyle” oznaczało, że poprzedniego dnia z błędem wymienił jej nazwisko, którego i tak już nie pamiętali. No i kraj, z którego pochodziła.

Stary usiadł na swoim stałym miejscu, dobranym tak, by widzieć każdy kąt w dyżurce. Ułożył dłonie w piramidkę i zrobił zafrasowaną minę. Doktor Oldze nie wskazał miejsca, stała więc teraz obok niego, wyraźnie spięta, starając wbić się w ziemię i zniknąć z pola widzenia.

– Koledzy – zaczął. Nazywał ich kolegami tylko wtedy, kiedy czegoś od nich potrzebował. – Trudne czasy wymagają silnych ludzi. A nie ulega wątpliwości, że czasy są wyjątkowo trudne. Dlatego musimy trzymać się razem i nie okazywać słabości. Wiem, że damy radę. Zawsze mogłem na was liczyć, jestem pewien, że i tym razem mnie nie zawiedziecie. Jesteście zgranym zespołem i mam nadzieję, że doktor Krawczyk...

– Krawczuk – poprawiła nieśmiało blondynka.

– Krawczuk... – zgodził się niechętnie Stary. – Znajdzie w was oparcie. Aby jej to ułatwić, zmieniłem nieco zasady przydzielania nowych pacjentów. Od dzisiaj przestaje obowiązywać zasada „jedna sala chorych, jeden lekarz prowadzący”. Teraz dzielicie się pacjentami tak, by byli przemieszani i by doktor Olga mogła w każdej chwili zwrócić się do was o pomoc. No, to by z grubsza było na tyle. Teraz poproszę doktor Makowską o przeczytanie raportu dyżurnego. Tylko szybko, bo tu tak zimno, że zaraz myśli mi pozamarzają. Po odprawie zapraszam doktor Olgę na chwilę do siebie, zanim zacznie

pracę. Potem państwo wprowadzicie ją w zasady obowiązujące na naszym oddziale. Chciałbym, żebyście też pokazali jej, jak działa nasz system komputerowy.

Marta rozejrzała się dokoła. Twarze kolegów zdradzały, że oni również zrozumieli. Stary próbował zepchnąć na nich odpowiedzialność za Olgę Krawczuk.

Jakiś czas temu decyzją ministra zdrowia wprowadzono przepisy pozwalające lekarzom spoza Unii Europejskiej pracować w Polsce bez nostryfikacji dyplomu i bez zdawania egzaminu z języka polskiego. Marta z niechęcią pomyślała o wszystkich etapach, które sama musiała przejść, by otrzymać dyplom specjalisty: Lekarski Egzamin Końcowy, obejmujący swoim zakresem materiał sześciu lat studiów, następnie staże i kolokwia w trakcie pięcioletniej rezydentury, wreszcie trudny, dwuetapowy egzamin specjalizacyjny na jej koniec. Tak trudny, że każdego roku oblewa go 30 procent zdających. Na dodatek można zdawać go tylko co pół roku, bo z taką częstotliwością jest przeprowadzany. Obcokrajowcom oszczędzono tej drogi przez mękę. Zgodnie z nowymi zasadami nie musieli nawet znać języka polskiego, by zajmować się pacjentami. Nie musieli przechodzić żadnej merytorycznej weryfikacji. Jedynym warunkiem był nadzór nad ich pracą prowadzony przez innego lekarza, posiadającego w Polsce tytuł specjalisty. Tym „nadzorcą” w przypadku Olgi Krawczuk był Stary. Prawdopodobnie dzięki temu zachował stanowisko ordynatora, pomimo afery lekowej, w którą niedawno był zamieszany. W normalnych warunkach lekarze nie godzili się tak łatwo na funkcję, która wiązała się przecież z odpowiedzialnością prawną w przypadku błędów medycznych popełnionych przez podopiecznego. Stary najwyraźniej otrzymał propozycję „transakcji związanej nie do odrzucenia”: opieka nad obcokrajowcami w zamian za stanowisko. A teraz, swoim zwyczajem, próbował zepchnąć ten obowiązek na podwładnych.

Kiedy odprawa dobiegła końca i Stary wraz z doktor Olgą opuścili dyżurkę, lekarze w pośpiechu rozproszyli się po oddziale. Żaden nie chciał być obecny, kiedy ta dwójka powróci. Marta także zaczęła dzień od porannego obchodu: był to chyba najdłuższy obchód w jej życiu. Skończyła dopiero wtedy, gdy zobaczyła, jak Stary z furią szturmuje drzwi własnego gabinetu. Był już sam.

Do dyżurki lekarskiej zdążyło wrócić kilka osób. Każda z przesadną uwagą wpatrywała się teraz w ekran własnego monitora, ostentacyjnie unikając biurka w pobliżu drzwi. Siedziały tam doktor Olga oraz Iwona Pielewicz, pracownica Wydziału

Szkoleń, tłumacząca Oldze zasady dodawania skierowań na badania laboratoryjne w szpitalnym systemie informatycznym. Najwyraźniej Stary, wobec braku przymusowych wolontariuszy, musiał poprosić o pomoc pion administracyjny. Każde zdanie wypowiedziane przez panią Iwonę było stekiem bzdur. Nie miała pojęcia, jak ów system działa, i – choć od kilku lat teoretycznie była odpowiedzialna za wdrażanie nowych pracowników medycznych – nigdy tego nie robiła. Pracownicy wdrażali się sami, przy pomocy bardziej doświadczonych kolegów. Ignorancja pani Iwony była legendarna i nikt nawet nie próbował angażować jej w jakąkolwiek pracę na rzecz szpitala. Na szczęście dla siebie posiadała jeden, bardzo cenny atrybut – była kuzynką pani dyrektor. To czyniło ją niezastąpioną.

Marta usiadła przy własnym komputerze, wczytując się w napływające wyniki badań. Doktor Olga sprawiała sympatyczne wrażenie i Marcie było jej żal, ale jej obecność na oddziale oznaczała potencjalne kłopoty, których za wszelką cenę należało unikać. Zresztą, zgodnie z przepisami, było tyle innych osób, do których Olga mogła zwrócić się w razie czego o pomoc: Stary, dyrektor Kujawiak-Pachciarz, minister zdrowia...

Kiedy telefon w kieszeni Marty zawibrował, zignorowała go. Nie lubiła, gdy coś zakłócało jej spokój w czasie wypełniania karty zleceń. Pomyłki w dawkowaniu leków mogły mieć tragiczny skutek. Jednak gdy zawibrował ponownie, spojrzała na wyświetlacz i zmieniła zdanie.

– Halo? – odebrała w lekarskiej toalecie. Było to jedyne miejsce, w którym można było porozmawiać, zachowując prywatność. A ten telefon prawdopodobnie tego wymagał.

– Dzień dobry. Tu Bogdan Kłos. Pewnie mnie pani doktor nie pamięta... – usłyszała.

– Wprost przeciwnie. Pamiętam pana bardzo dobrze. – Bogdan Kłos był swego czasu znanym politykiem, a dziś biznesmenem. Jego córka, Ewa, leżała kiedyś na oddziale zakaźnym, a Marta była jej lekarzem prowadzącym.

– No w sumie tak, mogłem się tego spodziewać. Moja córka nie była łatwym przypadkiem, pewnie rzadko się aż takie trafiają... – Marta nie była pewna, czy faktycznie mówił o córce. U Ewy po długich perypetiach i podejrzeniu egzotycznego pasożyta udało się rozpoznać zespół niepowściągliwych wymiotów po kannabinoidach. Dziewczyna zbyt często paliła marihuanę, co ściągnęło na nią kłopoty. Ale generalnie była miłą osobą, w przeciwieństwie do swojej matki, Tamary, która mocno dała się

Marcie w kość. Marta miała wrażenie, że Kłós wiedział o tym i nawiązywał do swojej żony.

– Pamiętam wszystkich swoich pacjentów – odpowiedziała na wszelki wypadek. To nie była prawda, ale w rozmowie z Kłosem wołała zachowywać się dyplomatycznie.

– Niełatwo było dostać telefon do pani doktor. – Kłós czytał Marcie w myślach. Właśnie zastanawiała się, jak zdobył jej numer. Przed wyjściem Ewy wręczył jej swoją wizytówkę, zapewniając, że chętnie pomoże, gdyby Marta miała jakieś kłopoty. Wolska zapisała numer z wizytówki w komórce, ale nigdy nie skorzystała z propozycji. Swojego numeru telefonu mu nie dawała.

– Ale jakoś się panu udało? – spytała retorycznie.

– Mam swoje sposoby. Pewnie zastanawia się pani, w jakim celu dzwonię? Otóż znowu potrzebuję pani pomocy. Właściwie nie ja, a mój dobry przyjaciel. Od pewnego czasu choruje i nikt nie może znaleźć przyczyny jego dolegliwości. A konsultowało go już wielu profesorów.

„Jeśli konsultował się u profesorów, to wcale mnie nie dziwi, że jeszcze nie znalazł przyczyny dolegliwości. Powinien zgłosić się do kogoś, kto zna się na medycynie” – pomyślała.

– Jeśli konsultowało go już wielu profesorów, to niby jak ja miałabym mu pomóc? – spytała zamiast tego.

– Moją córkę też konsultowało wielu profesorów, zanim trafiła do pani. A jednak dopiero pani postawiła właściwą diagnozę.

– No cóż, jeśli u pana przyjaciela podejrzewa się chorobę zakaźną, powinien zgłosić się do naszej poradni. Lub na oddział.

– On nie chce iść do szpitala ani do poradni. Woli być skonsultowany *incognito*.

– W takim razie nadal nie rozumiem, jak mogłabym mu pomóc. Nie zajmuję się konsultacjami *incognito*.

Cokolwiek miałyby to oznaczać.

– Proszę się z nim spotkać. W jakiejś kawiarni albo restauracji. On sam wszystko pani wyjaśni.

– Ale...

– Bez żadnych zobowiązań. Jeśli po tej rozmowie stwierdzi pani, że nie będzie się w to angażować, po prostu pani odejdzie. Oczywiście pokryjemy koszty czasu, jaki

poświęci pani na to spotkanie.

– Nie o to chodzi, po prostu...

– Pani doktor, nie przyjmuję odmowy. Ten człowiek jest dla mnie jak rodzina. A dla rodziny zrobię wszystko, przecież wie pani o tym. Jeśli trzeba będzie porwać panią z ulicy i zawieźć na miejsce spotkania siłą, to ja tak zrobię – zażartował. – Proszę wyznaczyć miejsce i czas. On się dostosuje. Wszystko odbędzie się na pani warunkach.

– Chyba nie do końca na moich, skoro chce mnie pan porywać z ulicy.

– To był tylko taki mały żart. Oczywiście, że nikt nie będzie pani porywał. – Kłós przestraszył się jej reakcji. – Bardzo panią proszę.

– Przykro mi. Proszę znaleźć kogoś innego – odpowiedziała i pożegnała Kłosa, nie dając mu już dojść do słowa.

Po wejściu do dyżurki natknęła się na jedną z pielęgniarek.

– Pani doktor, pacjenta przywieźli z SOR-u, na biurku położyłam pani jego papiery. Podejrzenie neuroinfekcji.

Marta wzięła do ręki dokumenty. Nazwisko pacjenta wydało jej się znajome. Kiedy weszła do sali, w której leżał nowo przyjęty, jęknęła. Był to ten sam człowiek, którego konsultowała poprzedniego dnia na Szpitalnym Oddziale Ratunkowym. Ten „nieprzytomny i bez kontaktu”, którego odesłała do domu. On również ją rozpoznał.

– Pani ma być moim lekarzem prowadzącym? – warknął na przywitanie. – No to ja się na to nie zgadzam. Już wczoraj pokazała pani swoją niekompetencję. Ledwie przeżyłem tę noc w domu. Sam, ciężko chory. Jak pani nie wstyd tak traktować chorych ludzi? Żądam, żeby zajął się mną ktoś inny!

– Świetnie! – ucieszyła się Marta. Nie miała najmniejszej ochoty zajmować się kolejnym świrem. Wystarczył jej Żabkowski ze świnką. – To się da zrobić.

– No to może pani doktor zajmie się mną? – zaproponował nieśmiało pacjent z łóżka obok. – A moja lekarka tym panem? Ja też dopiero dzisiaj przyszedłem. Zamienicie się, a wszystko zostanie na jednej sali – zażartował.

– A kto jest pana lekarzem prowadzącym?

– Olga Tokarczuk.

– Krawczuk – poprawiła Marta. – To nowa pani doktor. Może być trudno, bo ona pracuje w zespole razem z naszym ordynatorem. Ale spytam.

Oczywiście o żadnej zamianie nie mogło być mowy. Stary, kiedy usłyszał, o kogo chodzi, tylko się roześmiał. Mógł nie znać się na medycynie, ale na pewno znał się na ludziach, jak wszyscy medycy z odpowiednio długim doświadczeniem. A nowy pacjent, Cywiński, już na pierwszy rzut oka wyglądał jak wrzód na odwłoku.

– Proszę pana. – Stary wytłumaczył Cywińskiemu, kiedy ten nalegał jednak na zamianę. – My tu mamy taki system, który działa w ten sposób, że każdy pacjent trafia do kolejnego lekarza z listy. Przydział jest losowy. W ten sposób jest sprawiedliwie. Nie praktykujemy żadnych zamian.

– Ale ta pani doktor jest niekompetentna i uprzedzona do mnie – upierał się Cywiński.
– Chcę kogoś innego. Taki system mi się nie podoba. Zawiadomię NFZ!

– Proszę pana. – Kolejne „proszę pana” zabrzmiało w ustach Starego jak ostrzeżenie. – Ten system może się panu nie podobać, zupełnie mnie to nie obchodzi. Może pan również zawiadomić papieża, jeśli ma pan taką ochotę. A przede wszystkim może pan zmienić szpital, bo tak długo, jak jest pan na moim oddziale, podlega pan zasadom, które ustalają ja. Niech pani pozbędzie się go stąd jak najszybciej, przecież od razu widać, że zdrowy. – Stary zwrócił się do Marty, kiedy oboje wyszli na korytarz po rozmowie z pacjentem.

„Z największą chęcią” – zgodziła się w myślach z ordynatorem.

Powróciła do sali, w której ulokowano Cywińskiego. Siedział naburmuszony, udając, że jej nie widzi. Przy sąsiednim łóżku Olga Krawczuk vel Tokarczuk badała swojego pacjenta. Tego, który przed chwilą chciał wymienić ją na Martę.

– Dyszy, nie dyszy. Dyszy, nie dyszy – wydawała polecenia, sunąc głowicą stetoskopu po jego plecach.

W kieszeni fartucha Marty zawibrował telefon. Wyszła na korytarz, by odebrać.

– Marta, masz chwilę? – Dzwonił Marek, mikrobiolog, z którym realizowała grant na badania związane z amebą pożerającą mózg.

– Nie mam ani sekundy. A co?

– Potrzebny mi twój podpis na dokumentach dotyczących przelewu kolejnej transzy środków.

– Aaa, to zmienia postać rzeczy. Będę za kilka minut. – W planach miała wypis Żabkowskiego i przyjęcie Cywińskiego. Obaj mogli poczekać. Właściwie to nawet było wskazane, żeby czekali.

Ruszyła w stronę Krainy Oz, jak nazywano budynek Centralnego Laboratorium, gdzie mieściła się mikrobiologia. Tutaj również znajdowała się patomorfologia, której szefowała Dorota Krahelska, najlepsza przyjaciółka Marty. Nie było jej jednak w gabinecie, co oznaczało, że Krahelska najpewniej pracowała w sali sekcyjnej. Marta nie lubiła widoku krojonych zwłok, dlatego postanowiła odwiedzić Dorotę innym razem, choć ciekawiło ją, jak idą przygotowania do ślubu z Leszkiem Skalskim. Od kilku tygodni byli oficjalnie zaręczeni, ale Dorota zwlekała z ustaleniem ostatecznej daty.

Skręciła korytarzem w lewo i po kilkunastu sekundach weszła do pracowni mikroskopowej, w której zastała Marka niosącego tacę wyładowaną szkłem laboratoryjnym.

– Pomóc ci? – spytała, bo ugiął się pod jej ciężarem.

– Nie, dzięki. – Odłożył tacę na blat. – Zostało mi już tylko parę sztuk. Zaraz wracam – oznajmił i znikł za wewnętrznymi drzwiami, które zawsze dotąd pozostawały zamknięte.

Marta z ciekawości zajrzała do środka. Pomieszczenie było nieco mniejsze niż główna pracownia, ale wypełnione tajemniczymi sprzętami, których przeznaczenia w większości nie знаła. Wyglądały na nowe i niezwykle nowoczesne.

– Nigdy tu nie byłam. Co tu trzymacie? – Dopiero teraz zauważyła, że wejście do pomieszczenia zabezpieczone było kodem.

– A, takie różne nasze rzeczy. – Lekceważąco machnął ręką.

– Jakież ważne?

– Nieszczerólnie. Takie, których rzadko używamy. – W głosie Marka zabrzmiała jakaś fałszywa nuta. – No, wychodź, muszę zamknąć.

– To po co zamykasz, skoro to nic ważnego? – spytała.

– No bo w drzwiach jest zamek, to muszę zamknąć.

Marta przyjrzała mu się podejrzliwie, a potem znów rozejrzała się wokół, studiując wyposażenie pomieszczenia. Jej wzrok przykuły podłóża stojące w komorze laminarnej.

– Zaraz, czy to nie jest przypadkiem... – Podeszła bliżej. – Tak, o mój Boże, to przecież kolonia *Brucelli*. Wszędzie poznam te czerwone podłóża. Ale jakim cudem? Ostatni przypadek brucelozji mieliśmy w szpitalu cztery lata temu!

– To nie jest żadna *Brucella*. Też wymyśliłaś – roześmiał się nerwowo.

– Marek, wiem, że wy lekarzy wszystkich specjalizacji poza waszą traktujecie jak idiotów, ale przecież widzę, na co patrzę.

Leśniowski westchnął.

– No dobrze, tylko obiecaj, że nikomu nie powiesz.

– Obiecuję. Mów.

– To faktycznie jest *Brucella*.

– Wiedziałam!

– Na dodatek kolonia pochodząca rzeczywiście od tego waszego pacjenta sprzed czterech lat. Trzymamy ją przy życiu, bo żal nam się jej pozbywać. Sama wiesz, że te maleństwa trafiają się bardzo rzadko. – Spojrzał z czułością w stronę czerwonej szalki. Gdyby mógł, pewnie by ją pogłaskał.

– Widzę, że macie tu więcej ciekawych eksponatów. – Dopiero teraz zauważyła pozostałe hodowle. – Też z sentymentu je trzymacie?

– Eksponaty to dobre słowo. Zdradzę ci tajemnicę, ale przysięgnij, że się nie wygadasz. To jest *top secret*.

– Przysięgam. Zresztą komu miałabym powiedzieć?

– Mam nadzieję, że nie będę tego żałował... To miejsce to nasze muzeum. Albo coś w rodzaju żywej biblioteki. Wszystkie większe laboratoria takie mają. Nieoficjalnie, rzecz jasna. Trzymamy w nich rzadkie drobnoustroje, takie rarytasy w świecie mikrobiologii. Albo okazy, które trafiają się częściej, ale są interesujące dla nas z innych względów. Podtrzymujemy je przy życiu i podziwiamy w skrytości potęgę natury.

– To skąd wiesz, że wszystkie duże laboratoria tak robią, skoro robicie to w skrytości? Przechwalacie się tym potem na konferencjach? Po to to robicie? Dla sławy i splendoru?

– Oczywiście, że nie. – Przewrócił oczami. – Chociaż w sumie wiesz co? Może jednak trochę po to – przyznał po namyśle. – My, w „Błęńskiej”, z racji tego, że nasz poziom bezpieczeństwa biologicznego to BSL-3, mamy duże możliwości. Większe niż koledzy z prowincji. – Marek wystarczająco długo mieszkał w Warszawie, by przez „prowincję” rozumieć resztę Polski. – Te cieniasy mogą pracować tylko z mikroorganizmami umiarkowanego ryzyka zakażenia, he, he! Mam takie marzenie, że kiedyś wejdziemy na poziom BSL-4 i wtedy dopiero im pokażemy! Wirus Ebola, Marburg... – rozmarzył się.

– No ładnie. Wszyscy mają was za sztywniaków i nudziarzy, a tymczasem w zaciszu waszych wirówek i wytrząsarek odstawiacie takie numery! Tak z ciekawości, czym się

najbardziej chwalicie? Który z tych waszych eksponatów jest najcenniejszy?

– Najcenniejszy? – Marek zastanowił się chwilę. – One nie mają wartości materialnej. Ale z powodów sentymentalnych najważniejsza jest dla nas tamta kolonia. – Wskazał ręką. – *Leptospira*. Ma już ponad piętnaście lat. Wiesz, jak trudno utrzymać przy życiu kolonię *Leptospiry*? A nam się udaje. Wszyscy nam tego zazdroszczą. To najstarsza kolonia *Leptospiry*, o jakiej słyszałem. Wyizolowane od pacjenta, ale ani ty, ani ja go nie znaleźliśmy. To było, zanim zaczęliśmy tu pracować. Sama widzisz. Historyczny preparat. Zaczynamy i kończymy pracę od sprawdzenia, jak się nasze ślicznotki czują. Mamy nawet taki przesąd związany z tą kolonią. Musimy ją utrzymywać przy życiu, bo jeśli obumrze, to stanie się coś złego.

– Co? Koniec świata?

– Być może. Tego nikt nie wie. I nie zamierzamy się tego dowiadywać.

– I słusznie. Koniec świata raczej nie byłby przyjemny. Ale wiesz co? Myślę, że mnie okłamałeś. Że to nie jest wasz najcenniejszy nabytek.

– Jak to? – zdziwił się Marek.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. *Claviceps purpurea*.

– Ciiii! – Marek rozejrzał się na boki, choć byli w pracowni sami. – Po co o tym w ogóle wspominasz?

– Bo nigdy cię o nią nie spytałam. Po tamtym, co się stało, wiesz... – Oczywiście, że wiedział.

Przed kilkoma miesiącami oboje rozwiązali zagadkę dziwnej mazi, którą sąsiad Marty, Apolinary, smarował ściany mieszkania swojej babki. Wolska zabrała pewną ilość substancji, aby przekazać ją do zbadania Markowi. Maż okazała się pożywką, na której wyrastały kolonie halucynogennej buławinki czerwonej. Buławinka to grzyb pasożytniczy, który w normalnych warunkach rośnie na zbożach i trawach. Wytwarza przetrwalniki, zwane sporyszami, zawierające substancje wykorzystywane zarówno do produkcji leków, jak i halucynogennych narkotyków, takich jak LSD. Dzięki unikatowej pożywce, której źródła pochodzenia nigdy nie udało im się ustalić, cykl rozwojowy tego grzyba mógł przebiegać bez udziału załączni roślin.

Marta nie zdradziła Markowi, kim naprawdę był jej sąsiad. Tę tajemnicę znał tylko Michał. Po wszystkim policja zabrała Markowi pożywkę, ale Leśniowski zdołał ukryć część tej substancji. A to, co zostało, wystarczyło, by zdolny mikrobiolog, którego pasją

była mykologia, czyli badanie grzybów, zdołał poznać jej skład, a następnie go odtworzyć.

– Trzymasz to gdzieś tutaj, prawda? – spytała.

– Tak – przyznał niechętnie. – Jest w tym pomieszczeniu. Ale o jej istnieniu wiem tylko ja i ty.

– Pokażesz mi ją?

– Po co?

– Z ciekawości. Chcę zobaczyć, jak wygląda.

– Przecież dobrze wiesz, jak wygląda.

– Nie denerwuj mnie, należy mi się chociaż tyle, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam...

– Niech będzie – westchnął. – Pokażę ci, ale już nigdy, przenigdy o niej nie wspominaj. – Uniósł lekko krawędź najbliższej szafki i ze środka jej nogi wyciągnął mały kluczyk. Otworzył nim następnie coś, co przypominało niewielką komorę laminarną. Wyjął z niej szklany pojemnik wypełniony mętną cieczą. – Wygląda identycznie jak ta, którą dostałem od ciebie. – Pomachał pojemnikiem przed nosem Marty. – Zadowolona?

Marta kiwnęła głową i pojemnik powędrował z powrotem do komory. Marek zamknął ją na klucz, a klucz schował do wydrążonej nogi szafki.

– Wyjdźmy już stąd wreszcie – polecił. – Nie powinnaś tu w ogóle przebywać. Gdyby ktoś cię tu zobaczył...

Zamknął drzwi do wewnętrznej pracowni i wpisał kod. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, jak zauważyła Marta. Jakość zabezpieczeń jednego z najlepszych laboratoriów w Polsce była odwrotnie proporcjonalna do rangi wykonywanych tu badań. Na wszelki wypadek zapamiętała ten kod. Nigdy nie wiadomo, do czego mogło jej się w przyszłości przydać „muzeum” Marka.

– Czym wy się tu w ogóle zajmujecie? – spytała. – Poza badaniami dla szpitala? Przecież nie po to kupili wam taki sprzęt i dali takie uprawnienia, żebyście tylko posiewy krwi i kału wykonywali...

– Oczywiście, że nie. Ale nie mogę o tym mówić. – Marek aż tryskał pragnieniem, by coś zdradzić.

– Daj spokój, tyle się już znamy. Przecież nikomu nie powiem!

- Obiecujesz?
- No pewnie!
- Robimy tu mnóstwo fajnych rzeczy. Nie są ściśle tajne, ale też nie powinniśmy się nimi chwalić. Robimy je między innymi dla wojska.
- Dla wojska? Na przykład co?
- Na przykład badamy koncentrację żywotnych przetrwalników węglika w próbkach gleby, które nam dostarczają. Mają jakąś specjalną jednostkę, która zajmuje się szacowaniem ryzyka ataków bronią biologiczną. Robią analizy.
- Co to za gleba?
- Próbki pochodzą z różnych terenów. Na tym to polega. Sprawdzają, jakie jest prawdopodobieństwo wyizolowania potencjalnie niebezpiecznych patogenów przez różnych świrów. Z miejsc ryzyka.
- Miejsc ryzyka?
- No wiesz, węgielik występuje w glebie naturalnie, ale w różnym stężeniu. Wszystko zależy od odczynu, wilgotności czy temperatury. A pewne miejsca, na przykład garbarnie czy zakłady przetwórstwa mięsnego, są sporym zagrożeniem. Tam węglika w glebie jest dużo więcej niż gdzie indziej.
- Dlaczego akurat wy badacie takie rzeczy? Wojsko nie ma własnych laboratoriów?
- Trzeciej klasy bezpieczeństwa biologicznego? Mają, jedno. Ale właśnie je remontują. Do czasu zakończenia remontu zdani są na nas. Zresztą my tylko wykonujemy badania. Co dalej dzieje się z ich wynikami, z informacjami, które im przekazujemy, jak są wykorzystywane, to już nie nasza broszka.
- Fascynujące! A ja myślałam, że macie najnudniejszą pracę, jaka istnieje. Musimy się kiedyś umówić na kawę, powiesz mi więcej.
- Właściwie to nie powinienem mówić ci niczego... – Marek pękał z dumy. – Ale musiałem się komuś pochwalić. Wiedziałem, że kto jak kto, ale ty zrozumiesz...
- Podpisała dokumenty związane z grantem, na koniec porozmawiali na temat badań nad *Naeglerią*.
- Nie sądzę, żebyśmy dostali jeszcze jakieś pieniądze – oznajmił Marek.
- Dlaczego tak myślisz? – spytała.
- Temat nie jest już *hot*. I niczego nie znaleźliśmy. Poza tym nie zaraził się nikt, czyja śmierć mogłaby kogoś zmartwić. Jednym słowem, dalsze badania stały się nieopłacalne.

Czuję to. A znam się na tym, to nie jest mój pierwszy grant ze środków publicznych.

– Szkoda. – Marta szczerze się zmartwiła. Wiedziała, że dofinansowanie musi się kiedyś skończyć, ale miała nadzieję, że nie tak prędko.

Pożegnała Marka i ruszyła z powrotem na oddział. Po drodze znów zapukała do gabinetu Doroty, jednak przyjaciółka nadal nie wróciła.

Kiedy weszła do dyżurki lekarskiej, powiedziano jej, że dopytywał o nią nowo przyjęty pacjent. Ten „nieprzytomny i bez kontaktu”. Westchnęła, zabrała z biurka stetoskop i ruszyła do sali, w której czekał na nią naburmuszony Cywiński. Czasem lubiła swoją pracę bardziej, a czasem mniej. W chwilach takich jak ta miała ochotę zwolnić się ze szpitala w trybie natychmiastowym.

ROZDZIAŁ 5

Marta obudziła się kilka minut po godzinie ósmej. Miała dziś dyżur, zaczynała go po południu, więc mogła poleżeć dłużej. Michał jeszcze spał, wrócił wczoraj z pracy bardzo późno. Oprócz śledztwa dotyczącego zabójstwa Mrozka i Kruka prowadził także inne sprawy. Nic dziwnego, że skuteczność policji była tak niska. W końcu doba miała tylko 24 godziny. Z drugiej strony, przyganiał kocioł... – sama również miewała po piętnastu pacjentów, którymi należało się zająć w tym samym czasie, choć było to karkołomnym wyczynem.

Nie chciała budzić Michała, dlatego czekała cierpliwie, aż sam otworzy oczy. Kiedy zaczęło jej się nudzić, postanowiła ten proces przyśpieszyć, intensywnie się w niego wpatrując, to zawsze działało. Teraz również. Po kilkunastu sekundach zmarszczył czoło.

– Dzień dobry, już nie śpisz? – Uśmiechnął się i pocałował ją w nos.

– Właśnie się obudziłam – skłamała.

Po szybkim seksie zjedli szybkie śniadanie. Michał śpieszył się do pracy, więc prysznic zajął mu zaledwie kilka minut, choć zwykle lubił moknąć pod deszczownicą, aż Marta nie wypędziła go z łazienki.

Po jego wyjściu zabrała się do pracy nad pisaniem zaległego artykułu naukowego. Do tej pory mogła polegać na *Naeglerii*, ale skoro temat przestawał być „hot”, jak ujął to Marek, musiała mieć coś w zanadrzu.

Praca pochłonęła ją zupełnie i nie zauważyła nawet, że w drzwiach gabinetu stanął Michał.

– Cześć! – Przestraszył ją przywitaniem.

– Już wróciłeś? Tak wcześnie? Coś się stało?

– Owszem. Parę spraw. Po pierwsze, ktoś znów przysłał anonim z informacją, że ty pozbyłaś się Schulza.

– Mam nadzieję, że nie ze zdjęciem, jak się go pozbywam? – zażartowała.

– Nie rozumiem, dlaczego tak cię to bawi. Ktoś wie, co zrobiłaś.

– Nie może tego wiedzieć. O tym wiemy tylko ja i ty.

– W takim razie ktoś łączy kropki. A ty jak na razie nie wyjaśniłaś, w jaki sposób Schulz mógł zarazić się amebą.

– Co zrobiłaś z tym anonimem?

– To co poprzednio. Kosz. Pytanie, jak długo to potrwa? Co jeśli kolejny taki list trafi do rąk kogoś, kto się zainteresuje jego treścią?

To niewątpliwie mógł być problem. Kim był informator? Na pewno kimś ze szpitala, kto posiadał wiedzę na temat Niuchacza. Marek Leśniowski? Anestezjolog, który zajmował się Schulzem na Oddziale Intensywnej Terapii? Któraś z pielęgniarek?

– Powiedziałeś, że parę spraw. Ta była pierwsza. Co jeszcze? – zmieniła temat.

– Ktoś opisał w mediach społecznościowych twoją historię z pułapkami na kieszonkowców.

– No i? – Wzruszyła ramionami. – Niech opisują. Sam mówiłeś, że nic na mnie nie macie.

– Nie czytasz wiadomości? Tu chodzi o coś innego.

– O co?

– O to, że teraz wszystkich ogarnęło szaleństwo i robią to samo. Robią pułapki i polują na kieszonkowców. Mieliliśmy już trzy zgłoszenia w sprawie uszkodzenia ciała.

– Ale uszkodzenia ciała kieszonkowca? – upewniła się.

– No, tak – przyznał Michał. – I na razie tylko w Warszawie. Ale wiesz, jak jest. Takie akcje szybko rozlażą się po całym kraju. A ta twoja ma nawet swój hasztag.

– Po pierwsze, ona nie jest moja. Moja była tylko na początku. A po drugie – jaki to hasztag?

– Obcinacz do paznokci.

– Obcinacz do paznokci? – zdziwiła się. – Poważnie? U mnie w domu mówiono na to obcinaczka.

Podniosła z blatu telefon komórkowy i zaczęła przy nim grzebać.

– Co robisz? – spytał Michał poirytowanym tonem.

– Sprawdzam w słowniku języka polskiego, która forma jest prawidłowa.

– Poważnie? – Irytował się coraz bardziej. – Zaczęłaś akcję, której skutkiem są okaleczenia. A twój jedyny problem to gramatyka?

– Obie formy są prawidłowe – stwierdziła ze zdziwieniem.

– Słyszałaś, co powiedziałem? – Chwycił ją za nadgarstek.

– Słyszałam, ale chyba nie sądzisz, że będę miała wyrzuty sumienia. Niech nie pchają łap po cudzą własność, to im się żadna krzywda nie stanie.

– Marta, mam w dupie tych doliniarzy. Martwię się tylko o ciebie. I o Wyleczonych. Boję się, że któregoś dnia wszystko się dokumentnie rozwali przez takie głupie akcje jak ta. Wkurza mnie, że ty tego nie łapiesz. – Uścisk jego dłoni stał się mocniejszy. – Jeśli to się rozniesie i jakiś dziennikarz będzie chciał napisać o jej początkach, może trafić na ciebie. Co wtedy?

– Nic, wszystkiego się wyprę. Sam mówiłeś, że nagrania z autobusu zostały wykasowane.

– Przecież ludzie mają telefony komórkowe. Może ktoś coś nagrał. I może to wypłynie z nurtem. Co wtedy? – powtórzył.

– Morze jest szerokie i głębokie. A po nim pływa ryba, co się nazywa chyba. – Wiedziała, że zachowuje się jak dziecko, ale nie mogła się powstrzymać. – Będę się tym martwić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Na razie mam inne sprawy na głowie. A ty nie masz większych problemów?

Wpatrywał się w nią jeszcze przez kilka sekund, wreszcie westchnął zrezygnowany.

– Na razie ci odpuszczę, bo tak się składa, że jest jedna rzecz. Nie chciałem cię w to wciągać, ale nie mam nikogo innego, kto by się nadawał, a sprawa jest pilna. Chodzi o Wyleczonych.

– Myślałam, że jestem dla was ciężarem. I tylko narażam całą organizację, KTÓRA NIE MA NAZWY.

– Po pierwsze, nie ma żadnej organizacji, nie tylko nazwy. Po drugie, bywasz lekkomyślna, chyba sama zdajesz sobie z tego sprawę. Po trzecie, mimo całej lekkomyślności jesteś skuteczna. I pomysłowa. A ja właśnie bardzo potrzebuję kogoś, kto wpadnie na dobry pomysł. Bo moje się wyczerpały.

– Kogo tym razem trzeba ukatrupić?

– Pewnego pedofila.

– Pedofil? Pedofile powinni być eliminowani systemowo.

– W tym przypadku nie masz co liczyć na system. Uprzedzam, to nie będzie proste zadanie.

– Czemu akurat ten konkretny?

– Bo jest najgorszy z nich wszystkich. Na pewno o nim słyszałaś. Nazywa się Józef Światło. W latach osiemdziesiątych porwał, zgwałcił i brutalnie zabił kilkunastu chłopców. Ich ciała wywoził do lasu i palił. Został skazany na karę śmierci, ale

w wyniku amnestii z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku wyrok zamieniono na ćwierćwiecze w pierdlu.

– Dwadzieścia pięć lat w osiemdziesiątym dziewiątym? To musiał wyjść już dawno temu.

– Nie. Tuż przed wyjściem w jego celi znaleziono pornografię dziecięcą. Dostał kolejny wyrok. Wychodzi za trzy miesiące.

– To nie możecie znów czegoś znaleźć? I wydłużyć odsiadkę?

– To już nie te czasy. Teraz przestępca ma większe prawa niż ofiara. Nawet gdybyśmy znaleźli w jego celi zgwałconego sześciolatka, to sąd i tak uznałby, że należy go co najwyżej poddać terapii zaburzeń preferencji seksualnych.

Marta pokiwała głową. Michał miał rację. Relatywizm zaczynał powoli wchodzić również do świata medycyny. Już jakiś czas temu wzburzyła ją informacja o tym, że Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne planuje wykreślić pedofilię z listy zaburzeń psychicznych DSM i traktować ją jako zwykłą orientację seksualną. „Bez niepotrzebnego przypisywania temu zjawisku cech patologicznych Przecież w różnych kulturach pedofilia jest normą. Tylko my traktujemy ją jak chorobę”. John Money, psychiatra, który popierał pedofilię, ma dziś na Harvardzie salę swojego imienia. Alfred Kinsey, ojciec amerykańskiej Rewolucji Seksualnej, promujący w swych pracach pedofilskie treści, doczekał się hollywoodzkiej biografii. Współcześni psychiatrzy pochylali się nad pedofilią jak nad grypą, a pedofile traktowani byli jak osoby wymagające pomocy. Podczas gdy tak naprawdę wymagali dużych dawek pankuronium i chlorku potasu. Albo krzesła podłączonego do instalacji elektrycznej o dużym napięciu.

– Nienawidzę pedofilów. Kiedy ten degenerat ma trafić na mój oddział?

– W tym cały problem. Nie trafi.

– To niby w jaki sposób mam się nim zająć?

– Ty trafisz do niego.

– Jakim cudem, skoro znajdujemy się po przeciwnych stronach krat?

– Przez jeden dzień pobawisz się w lekarza więziennego, a on zgłosi się do ciebie na konsultację. Jest zakażony wirusem zapalenia wątroby, regularnie konsultują go zakaźnicy. Będiesz jednym z nich. Tu masz listę jego pozostałych chorób oraz leków, jakie przyjmuje. A także słabości i nałogów. – Michał wyjął z kartonowej teczki kartkę

A4 i wręczył ją Marcie. – Wymyśl jakiś sposób. Wszystko powinno wyglądać na naturalny zgon. Tym razem żadnych numerów, Marta, sprawa jest zbyt poważna.

– Michał, ale ja nigdy w życiu nie pracowałam w więzieniu. Niby jak mam się tam zatrudnić?

– O to się nie martw. Naczelnik sam się do ciebie zgłosi. Lekarz, który tam pracował, właśnie zrezygnował. Zostaniesz polecona na jego miejsce. Podpiszesz umowę-zlecenie. Jeśli ci się nie spodoba, po prostu więcej tam nie pójdziesz. Nie będzie to miało znaczenia. Chodzi nam tylko o tę jedną konsultację.

– Spodoba? Naprawdę uważasz, że mogłabym pracować w takim miejscu dla satysfakcji? To trochę jak praca na oddziale zamkniętym, tyle że w czasie wolnym...

– Mogłabyś się tam przydać. Ale zrobisz, jak zechcesz. Teraz proszę cię tylko o ten jeden dzień.

Pokiwała głową, zupełnie nieprzekonana. Zastanawiała się, jak powiedzieć Michałowi, że jednak nie podejmie się tego zadania.

– Co masz jeszcze w tej teczce? – Wskazała ręką.

– Nic dla ciebie. Nie chcesz tego widzieć.

– Dlaczego?

– Zaufaj mi, nie chcesz.

– Pokaż!

– Uprzedzałem – ostrzegł i wyjął brązową kopertę. Wewnątrz znajdowały się policyjne fotografie, przedstawiające ofiary Józefa Światła, a raczej to, co z nich zostało. Michał rozłożył je na blacie biurka jak wachlarz. Marta spojrzała w dół i od razu tego pożałowała. Odwróciła wzrok i przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że zdjęć nie widziały nigdy rodziny zamordowanych dzieci.

– Zabierz je. Albo nie. – Zmieniła zdanie, coś sobie nagle uświadamiając. – Możesz je zostawić? Może jednak do czegoś mi się przydadzą.

Michał wsadził je z powrotem do brązowej koperty, kopertę podał Marcie.

– Do czego? – spytał.

– Powiem ci dopiero wtedy, jak dopracuję szczegóły.

* * *

Kiedy przejmowała dyżur, wiedziała, że ten wieczór nie będzie należał do najspokojniejszych. Cywiński już na samym początku urządził przedstawienie,

symulując napad padaczkowy. Jego drgawki były nieudolne i nieporadne. Znacznie lepsze widywała na oddziale zamkniętym u pacjentów uzależnionych, którzy w ten sposób próbowali wyłudzić benzodiazepiny. Z trudem stłumiła uśmiech, kiedy zmęczył się i w przerwie od dygotania otworzył jedno oko, by sprawdzić jej reakcję.

– Bawi to panią?! – warknął wściekle. – Ja tu umieram, a pani stoi zadowolona z siebie?! Zaraz skargę na panią złożę!

– Ma pan do tego święte prawo – odpowiedziała ze stoickim spokojem i wyszła na korytarz.

– Gównu robicie! – krzyknął, zanim zamknęła drzwi. – Ludzie umierają, a wy tańczycie na ich grobach!

Z dyżurki zadzwoniła na psychiatrię. Odebrał Piotr Kępiński, jej przyjaciel. Streściła mu problem z Cywińskim.

– Może to jakiś zespół Münchhausena? – spytała.

– Co takiego? Też wymyśliłaś – odparł, wyraźnie zaskoczony. – Chyba się seriali naoglądałaś.

– Przecież to się zdarza. Nawet ostatnio w Polsce był taki głośny przypadek kobiety, która sfabrykowała swoją dokumentację medyczną. Lekarze uwierzyli, że ona ma raka żołądka, i ten żołądek jej wycięli. Potem mieli procesy w sądach, na szczęście zostali uniewinnieni. Okazało się, że ona ma właśnie zespół Münchhausena. Może Cywiński też chce, żebym mu coś groźnego rozpoznała, a potem jego rodzina pozwie mnie o błąd w sztuce. Mówię ci, Piotr, to jakiś świr.

– Panikujesz. Nikt cię nie pozwie. Przyjdę do was i z nim porozmawiam. Prawdopodobnie ma osobowość histrioniczną i lubi robić wokół siebie przedstawienie.

– To nie jest żadna osobowość histrioniczna. To klasyczny psychol. Przyjdź natychmiast, zabierz go stąd do tego waszego lochu i poddaj elektrowstrząsom, na które zasługuje jak mało kto!

– Widzę, że naprawdę zalał ci za skórę. – Piotr się roześmiał. – Masz czas? Bo u mnie nic się nie dzieje, mogę zejść do was na tę konsultację nawet teraz.

– Rycerzu, przybywaj! Będę czekać pod dziesiątką.

Odłożyła słuchawkę telefonu i odetchnęła z ulgą. Pacjenci z zaburzeniami psychiatrycznymi napawali ją lękiem. Całe szczęście, że dzisiaj dyżurował Piotr, na którego zawsze mogła liczyć. Uwielbiała go i mogłaby zrobić dla niego wszystko – poza

tym, czego tak naprawdę chciał, ale czego, na szczęście, nigdy nie miał odwagi głośno powiedzieć. Marta wołała, by pozostali tylko przyjaciółmi.

Zadowolona, wyszła z dyżurki, by przywitać Piotra pod salą, na której leżał Cywiński. Miała nadzieję, że dzięki Kępińskiemu uda jej się doczekać końca dyżuru bez niepotrzebnych nerwów. Pomachała mu na przywitanie, kiedy pokazał się w drzwiach oddziału i razem weszli do jaskini lwa.

ROZDZIAŁ 6

Nadeszła sobota, dzień obiadu u siostry. Marta zeszła na dół. Bmw Cezarego stało zaparkowane tuż pod wejściem do kamienicy. W niedozwolonym miejscu, ale z włączonymi awaryjnymi, więc – według warszawskich zasad bon tonu – w sposób właściwie nienaganny. Otworzyła czarne drzwi od strony pasażera i wsunęła się na fotel obok kierowcy. Oczywiście, że Cezary musiał jeździć bmw i oczywiście, że musiało być czarne. Z niechęcią musiała jednak przyznać w myślach, że skórzane fotele były nieziemsko wygodne.

– Cześć, Marta – przywitał się pierwszy. Gdyby się nie odezwał, pewnie jechaliby w milczeniu do samego końca. W przeszłości już kilka razy zdarzyło im się tak wspólnie podróżować. Nie lubiła swojego szwagra i nie wstydziła się tego okazywać.

– No, cześć, cześć, Czarek... znaczy Cezary – odpowiedziała. Cezary chorobliwie nie znosił, kiedy mówiono na niego Czarek. Podobno kiedy był dzieckiem, tak nazywał się pies jego sąsiada. Okoliczne dzieciaki musiały mu wtedy nieźle dopiec albo powód był o wiele poważniejszy, bo na słowo „Czarek” reagował alergicznie. – Zimno dzisiaj – dodała od niechcienia, żeby nie pomyślał, że nazwała go Czarkiem specjalnie. Choć tak właśnie było.

– Podkreścić ci ogrzewanie? Nawiew? Fotel? – Mimo wzajemnej antypatii do Marty Cezary starał się dzisiaj być miły.

– Nie, tu w środku jest idealnie. Miałam na myśli pogodę pod psem.

– Listopad taki właśnie jest – odparł odkrywczco. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Słysząc było jedynie delikatny szum silnika i wycieraczki zgrzytające na przedniej szybie.

– Powiesz, o co chodzi? – spytała Marta, kiedy stanęli na kolejnych światłach.

– Już ci mówiłem, wolałbym, żebyś sama to zobaczyła.

– Przecież zobaczę. Ale parę słów tytułem wprowadzenia mogłoby dostarczyć mi rozrywki podczas jazdy.

– To będzie mało rozrywkowa rozrywka. Twoja siostra oszalała i nie idzie z nią wytrzymać, tyle w temacie.

– Przecież ona nigdy nie miała łatwego charakteru.

– Ale teraz to już przesadza. Zachowuje się jak wariatka. Drze się na wszystkich. Nawet na Weronikę.

Marta uniosła brwi. Siostra mogła zatruwać życie swojemu mężowi, w sumie nawet powinna. Słusznie mu się należało. Ale nie siostrzenicy.

– Nie wierzę. Weronika jest jej całym światem. Kamila nigdy by na nią nie podniosła głosu.

– Wiedziałem, że nie uwierzysz. Dlatego za chwilę zjemy sobie wspólnie obiad, jak kochająca się rodzina, ty popatrzysz sobie na wszystko z boku, a potem porozmawiamy o faktach. A fakty są takie, że Kamila świruje. Moim zdaniem wszystko przez to, że siedzi całymi dniami w domu, zamiast zająć się jakąś robotą. Próbowałem namówić ją, żeby coś ze sobą zrobiła. Wkręcić ją do biura prawnego mojej firmy. Nie musiałyby chodzić tam codziennie, wystarczyłoby parę godzin tygodniowo. W sumie to faktycznie by się tam przydała... Ale zareagowała jak jakaś histeryczka.

Kamila w swoim poprzednim życiu, przed Cezarym, była adwokatem w jednej z warszawskich kancelarii prawnych. Nie znosiła swojej pracy i rzuciła ją, jak tylko zaszła w ciążę. Marta nie sądziła, by siostra chciała ponownie wchodzić do tej samej rzeki, zwłaszcza że miała dostęp do pieniędzy męża. Jej niechętny stosunek do propozycji pracy w biurze prawnym nie był więc zaskoczeniem.

Przez resztę drogi jechali w milczeniu, przerywanym z rzadka refleksjami na temat kultury jazdy mijanych kierowców („No, kurwa mać, co za cwel, widziałaś, jak zajechał mi drogę?”, „Cezary, możesz się zatkać? To ty jedziesz za szybko”).

Po półgodzinie byli na miejscu. Cezary otworzył pilotem bramę wjazdową i samochód powoli wsunął się na długi podjazd, obsadzony po obu stronach starymi brzożami. Tabliczka przy bramie informowała, że dom nosił nazwę „Villa Elżbietówka”. Przez „V”. Matka Cezarego miała na imię Elżbieta. Marta poznała ją na weselu siostry i od tej pory widziała ją tylko kilka razy. O kilka za dużo.

Przestało padać i słońce próbowało teraz nieśmiało przebijać się przez szare chmury, co jakiś czas faktycznie odnosząc sukces. Piękny dom jej siostry stał nieco na wzniesieniu i od frontu okalał go niewysoki skalniak, porośnięty roślinami, które nawet późną jesienią wyglądały wspaniale. Z tyłu budynku rozciągał się właściwy ogród, z oczkiem wodnym, pergolami i ogromną altaną. Żeby utrzymać otoczenie w takim stanie, Kamila zatrudniała ogrodnika. Nie miała czasu na grzebanie w ziemi, jak twierdziła.

Cezary zaparkował pod garażem, otworzył bagażnik i wyjął ogromną torbę prezentową. Marta przywiozła w niej podarunki dla Weroniki. Nigdy nie przyjeżdżała z pustymi rękami. Mając w pamięci Pawłowa i jego psa, za każdym razem wzmacniała w siostrzenicy odruch radości z wizyty cioci.

Również dzisiaj Weronika czekała z niecierpliwością na jej przyjazd i kiedy tylko zobaczyła, jak Marta wysiada z samochodu, wybiegła jej na powitanie. Była ślicznym dzieckiem, o blond lokach i szerokim uśmiechu. Marta chyba nigdy nie widziała jej w złym humorze, choć jako rozpieszczana jedynaczka siostrzenica miała święte prawo do fochów. Zanim dobiegła do ciotki, coś małego i kudłatego wyskoczyło od drzwi wejściowych i wyprzedziło ją w tym wyścigu.

– Pasztet, nie wychodź w taką pogodę, bo znowu będziemy musiały cię kąpać! – Marta usłyszała głos siostry. Małe kudłate coś, zwane Pasztetem, okazało się brązowym szczeniakiem, obskakującym teraz Martę i zostawiającym ślady błota na jej spodniach.

– Nie pozwalaj mu po sobie skakać, zobacz, jakie ma brudne łapy! – krzyknęła od progu Kamila, ruszając w ich stronę.

– Ciociu, nie bój się, Pasztet nie gryzie! – poinformowała ją radośnie Weronika, biorąc rozbrykanego szczeniaka na ręce. Jej brokatowa bluza w kolorze pudrowego różu natychmiast pokryła się odciskami małych łapek.

– Pasztet? – Marta spojrzała pytająco na Kamilę.

– Spytaj tego tu obecnego. – Kamila wskazała na Cezarego, który przewrócił oczami. – Pojechałyśmy z Weroniką po psa do schroniska. Kiedy wróciłyśmy, jego pierwsze słowa brzmiały „większego paszteta nie mogłaś znaleźć”? Oczywiście Weronika uznała, że kochany tatuś wymyślił właśnie imię dla pieska. I tak został Pasztet.

Marta pokiwała głową. Faktycznie, szczeniak nie grzeszył urodą.

– Wiem, że wygląda niewyjściowo, ale powinnaś była widzieć, jak cieszył się na widok Weroniki – usprawiedliwiała swój wybór Kamila, czytając siostrze w myślach. – Czyste szaleństwo. Zresztą z wzajemnością, Młoda też już nie chciała oglądać innych piesków. Są teraz praktycznie nierozłączni.

Weronika i Pasztet biegali wokół wielkiej kałuży, by po chwili do niej wskoczyć. Oboje przypominali teraz uczestników festiwalu w Woodstock. Na Kamili nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

– Dobrze wyglądasz – skomplementowała za to Martę. – Worki pod oczami masz mniejsze. Byłaś w jakimś spa?

– Nie, mniej dyżuruję. Teraz pracuję tylko dwieście godzin w miesiącu.

– Poważnie? To prawie jak wakacje. Albo emerytura – zakpiła.

– Żebyś wiedziała. Momentami nie wiem, co robić z wolnym czasem – odparowała Marta.

– Chodźmy już do środka – zaproponowała Kamila.

– A Młoda i Pasztet? Mam coś dla niej. – Marta rozejrzała się dookoła, ale zignorowana przez Weronikę torba z prezentami znikła wewnątrz domu razem z Cezarym.

– Niech się jeszcze trochę pobawią na zewnątrz. Dasz jej potem. Chodź!

Ogromny dom Kamili wyłożony był kamieniem również w środku, co, oprócz elegancji, przydawało mu również surowości, która kojarzyła się z muzealnym wnętrzem. Marta nie mogła zdecydować, czy taki styl jej się podoba, czy wręcz przeciwnie.

Na stole w jadalni dostrzegła stos książek. Wzięła do ręki pierwszą z brzegu, był to *Sennik egipski*. Pod nią leżały *Znaki zodiaku – co zaplanowały dla ciebie gwiazdy?* Spojrzała pytająco na Cezarego, który zrobił minę w stylu „a nie mówiłem”? Kamila przez całe życie lubiła sprawiać wrażenie racjonalnej osoby. Nawet religie postrzegała jako zabobony.

– Co to jest? – spytała Kamilę, wskazując na sennik.

– Polecam. Najlepszy, jaki dotąd miałam. Wszystko sprawdza się co do joty.

– Ty tak na serio?

– Marta, interpretowanie snów to nauka. Już w starożytności było przedmiotem wnikliwych badań. Zajmowali się tym na przykład Platon i Arystoteles. Należy uważnie wsłuchać się w siebie, a noc przyniesie odpowiedź. – Siostra zabrała od niej książkę i odłożyła na stosik.

Cezary parsknął śmiechem.

– A ty się nie odzywaj! – Kamila warknęła, odwracając się w jego stronę. – Powoli zaczynam żałować, że w ogóle wyszłam za ciebie za męż. Za Strzelca! Gdzie ja miałam rozum? Marta, masz przed sobą człowieka, który w nieskończoność odwleka realizację najprostszych zadań!

- Dodaj, że lubię długo spać.
- Długo? Jesteś śmierdzącym leniem!
- Przecież to nie moja wina, to gwiazdy. Wszystko przez tego Strzelca i ascendent w czymś tam.
- Strzelec? O mój Boże, to wiele tłumaczy... – Marta udała przerażenie.
- Nabijacie się, ale to wcale nie jest śmieszne. To są rzeczy, które was przerastają. A ty zejdź mi z oczu, zanim naprawdę się wkurzę – warknęła w stronę męża. – Od rana działasz mi na nerwy. Idź lepiej po Weronikę i Paszteta, niedługo jedzenie z Bławatnej ma przyjechać, niech nie bawią się na podjeździe.
- Zamówiłaś obiad w Bławatnej? Dla naszej czwórki, tak bez okazji? – zdziwiła się Marta. Bławatna była jedną z najdroższych restauracji w Warszawie.
- No chyba nie spodziewałaś się, że będę gotować.
- Nawet nie przysłoby mi to do głowy. Ale liczyłam na pizzę.
- Trudno, spodziewaj się wykwintnego menu. Będziesz musiała pomęczyć się z nożem i widelcem. Poza tym będzie nas szóstka. Zaprosiłam jeszcze moją najlepszą przyjaciółkę z mężem. Powinnaś ją poznać.
- Marta znów spojrzała pytająco na Cezarego. Ten wzruszył tylko niechętnie ramionami. Po jego wyjściu w jadalni zapanowała cisza.
- Wszystko u ciebie dobrze? Wydajesz się jakaś taka... – Marta nie dokończyła, szukając odpowiedniego słowa.
- Jaka?
- No, dziwna...
- Dziwna? A jaka mam być? Marta, nie widzisz, że tutaj wszystko jest na mojej głowie? Cezary w niczym mi nie pomaga. Mam już tego dosyć!
- Marta zmarszczyła czoło. Od poniedziałku do piątku w domu Kamili i Cezarego na pełen etat pracowali: pomoc domowa, opiekunka dla Weroniki i ogrodnik.
- „Może powinnaś w końcu powiedzieć mi, co wiesz na temat śmierci rodziców. Takie sekrety potrafią zjeść człowieka od wewnątrz” – pomyślała Marta.
- Może powinnaś gdzieś wyjechać, choć na parę dni. Nabrać dystansu – powiedziała zamiast tego.
- Wiesz, to naprawdę świetny pomysł! – Kamila wyraźnie się ucieszyła. – Nawet o tym myślałam. Nie pojechałabyś ze mną?

- Ja? Serio? No nie wiem, mam pracę...
- Mówiłaś, że masz masę wolnego czasu.
- Z tą masą to bym nie przesadzała. Po prostu częściej się wysypiam...
- Proszę! Już dawno nigdzie razem nie wyjeżdżaliśmy!
- Naprawdę, nie jestem przekonana. Może lepiej weź jakąś koleżankę. Zresztą dokąd miałybyśmy pojechać?
- Do Białegostoku.
- Białegostoku?! – Marta sądziła, że siostra wybierze raczej Paryż albo Wenecję.
- No co? Byłaś kiedyś w Białymstoku? Słyszałam, że to piękne miasto. Na dodatek całkiem blisko Warszawy.
- Byłam tam raz, w dzieciństwie. Na wycieczce, przy okazji jakiejś kolonii na Podlasiu. Nie pamiętam, czy mi się podobało.
- No to sobie powspominasz. Weźmiemy Weronikę i odwiedzimy żubry w Białowieży... Zawsze narzekałaś, że tak rzadko widzisz swoją siostrzenicę, to teraz będziesz miała okazję nadrobić zaległości. Weronika! Jedziemy z ciocią na wycieczkę do Białowieskiego Parku Narodowego, cieszysz się? – spytała córkę, która weszła właśnie do jadalni. – Jakie zwierzątka żyją w Białowieskim Parku Narodowym? Czytałyśmy o tym niedawno.
- Złosie. – Weronika była nieodrodną córką własnej matki. Kamila w dzieciństwie wymyśliła słowo „struskawki”, myląc narzędnik liczby mnogiej z mianownikiem.
- Nie, kochanie. Żubry. Ale prawie dobrze. To w takim razie wszystko ustalone. – Kamila zwróciła się do siostry. – Za tydzień w piątek wyjeżdżamy. Podjadę po ciebie o dziewiątej rano.
- Jak to za tydzień w piątek? Hej! Parę sekund temu to był plan z gatunku tych, których nigdy się nie realizuje. Jakim cudem tak szybko wymyśliłaś piątek?!
- Nie marudź, tu nie ma nad czym się zastanawiać. W końcu jedziemy raptem na trzy dni, nie trzy tygodnie.
- Wyjazd w piątek na trzy dni? Widzę, że wszystko masz już dopracowane. Co ty chcesz tam naprawdę robić? – spytała podejrzliwie Marta.
- Do jadalni wszedł Cezary, niosąc pojemniki zapakowane w srebrną folię.
- Dziecko byś przebrał, zobacz, jak ona wygląda! Ty nigdy nic nie widzisz, wszystko ci muszę palcem pokazywać! – Kamila ponownie huknęła na męża.

Cezary odstawił pojemniki na stół. Bez słowa wyniósł z jadalni ubłoconą Weronikę, która trzymała w ramionach ujadającego Paszteta.

– Sama widzisz, co ja muszę z nim przechodzić. Chodź, pomożesz mi wypakować obiad na półmiski. – Pociągnęła Martę w stronę stołu.

Po kilku minutach usłyszały gwar rozmowy dobiegający od strony drzwi wejściowych.

– No, widzę, że ktoś tu nie odfiltrował niskich energii. Nadal odczuwam złe wibracje.

– W progu pojawiła się niska, szczupła kobieta z burzą rudych loków i mocną szminką na ustach. Pogroziła Kamili palcem.

– Zrobiłam wszystko, jak mi kazałaś – zaczęła usprawiedliwiać się Kamila. – Kupiłam obsydian i umieściłam go przed drzwiami.

– No, może jeszcze nie zaczął działać – uznała ruda. – Podejź tu do mnie, kochana, sprawdzę twoją czakrę sakralną.

Marta z osłupieniem przyglądała się, jak nowo przybyła wyjmuje z torebki kolorowy kamień i przykładą go do brzucha Kamili. Dziwny rytuał został przerwany wejściem Cezarego i jakiegoś obcego mężczyzny. Żaden z nich nie wydawał się dostrzegać w zachowaniu kobiet niczego niezwykłego.

– Marta, poznaj Rafała. Rafał, to Marta, siostra Kamili – przedstawił ich sobie Cezary. Ruda dopiero teraz dostrzegła jej obecność.

– Jestem Lenora, Rafał to mój mąż. – Podeszła do Marty i wysunęła swoją dłoń w pozie Marii Antoniny.

– Marta. – Wolska potrząsnęła czubkami palców Lenory i szybko je puściła. Skóra kobiety była zimna i wilgotna, jak u jakiegoś płaza.

– Późno przyjechaliście. Coś się stało? – spytał Cezary.

– Ach, nie, wręcz przeciwnie. Po drodze zahaczyliśmy o Desę. Dziś odbywała się aukcja najnowszego obrazu Olbińskiego, a ja musiałam go mieć. Niestety, było więcej licytujących i wszystko się przeciągnęło. Na szczęście wygrałam, Olbiński jest mój.

– Chyba nasz – poprawił ją mąż.

– Przecież ty się kompletnie nie znasz na sztuce. Nie odróżniasz kubizmu od impresjonizmu! Gdyby nie ja, nawet nie wiedziałbyś, że istnieje ktoś taki jak Olbiński!

– A jednak nie przeszkadza ci to w marudzeniu, żebym kupił jakąś galerię.

– Dla mnie, mój drogi, dla mnie.

– Chcesz kupić galerię? – zainteresował się Cezary.

– Na razie rozważamy ten pomysł.

– Żeby nie było wątpliwości – wtrąciła się Lenora. – Przez „my” mój kochany mąż ma na myśli siebie i swojego księgowego. Od razu zapowiadam, że nie będę wam prała żadnych pieniędzy, możesz o tym zapomnieć.

– Mieliśmy nie rozmawiać o interesach na spotkaniach towarzyskich – zaprotestowała Kamila. – Obiad na stole, zapraszam, bo wystygnie.

Przeszli do jadalni.

– A co to? – zdziwiła się Lenora, podnosząc ze stołu butelkę wina i wczytując się w etykietę. – Od kiedy pijecie takie gówno? – Skrzywiła się. – Na szczęście przynieśliśmy coś dobrego.

Odstawiła butelkę na blat kredensu, na jej miejsce postawiła swoją. Marta otworzyła usta, by zaprotestować. To ona przyniosła wzgardzony alkohol. Uznała jednak, że nie warto.

– Przywieźliśmy całą skrzynkę z ostatniego wyjazdu do Burgundii – kontynuowała Lenora. – Nie potrafię już pić niczego innego. Drogie, ale warte każdego euro. À propos Burgundii, kupujemy tam wakacyjny dom, zakochałam się w tym regionie Francji!

– Nic nie wspominałeś. – Cezary ze zdziwieniem spojrzął na Rafała. – Zawsze mówiłeś, że najlepsza na urlop jest Toskania.

– Była, przez dwa sezony. Teraz Lenka chce jeździć tylko do Burgundii.

– W takim razie co z waszym domem w Toskanii?

– Wystawiamy na sprzedaż. Chcecie kupić?

– Przecież prosiłam cię, żebyś nie rozmawiał o sprzedaży tego domu teraz, kiedy Księżyc jest w nowiu! – zezłościła się Lenora.

– Dlaczego? – zainteresowała się szczerze Marta.

– Kiedy Księżyc jest niewidoczny, nie należy podejmować żadnych ważnych decyzji.

– Ale dlaczego? – Marta nie dawała za wygraną.

– Ponieważ Księżyc, czyli siła, która odpowiada za nasze powodzenie, jest ukryta – wyjaśniła Lenora.

– Mamo, jestem głodna! – przerwała im Weronika.

– Już, kochanie. Usiądź, nałożę ci ziemniaczków.

Przez kolejną godzinę jedli zamówione przez Kamilę dania i rozmawiali na tematy, które dla Marty były obce. Nie miała za wiele do powiedzenia, dlatego głównie przysłuchiwała się, udając zainteresowanie i popijając wino przywiezione z Burgundii. Na szczęście faktycznie było dobre.

– Czym się zajmujesz, Marta? – spytał wreszcie Rafał.

– Jestem lekarzem.

– O, lekarzem? Naprawdę? – ucieszyła się Lenora. – To się świetnie składa, bo mam pewien problem.

Oczywiście, że miała problem. Zawsze tak się kończyło, kiedy w nowo poznanym towarzystwie ktoś dowiadywał się, że Marta jest lekarzem.

– Wiesz, kiedy medytuję, to czuję, że moja lewa strona jest jasna, ciepła i lekka, a prawa ciemna, zimna i ciężka... Dzieje się tak od niedawna, kiedyś wszystko było w porządku. Myślisz, że to coś poważnego?

Marta przyjrzała się rudej. Pytała poważnie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała. – Zajmuję się chorobami zakaźnymi.

„Nie psychiatrią”.

– Och... – skomentowała zawiedziona Lenora.

– À propos medytacji – wtrąciła się Kamila, krojąc Weronice ciastko na kilkanaście małych kawałków – masz jeszcze kontakt z tą buddystką, która proponowała nam wyjazd do aśramu w Indiach?

– Z Kingą? – Lenora zastanowiła się przez chwilę. – Już od dawna jej nie widziałam. I całe szczęście, bo to straszna idiotka jest. Ty wiesz, czego ja się dowiedziałam? Ona już nie jest buddystką. Nawróciła się na katolicyzm i do kościoła co niedzielę chodzi, głupia dewota! Mało tego, swoje dziecko na religię w szkole posyła, wyobrażasz sobie? W dzisiejszych czasach, żeby posyłać dziecko na religię, to trzeba mieć nierówno pod sufitem.

– No to szkoda, że nie masz z nią kontaktu, bo pamiętam, jak kiedyś opowiadała, co zrobić, żeby dobry sen przywrócić.

– Masz problemy ze snem? – zaniepokoiła się Lenora.

– No, może nie jakieś wielkie, ale... – zaczęła Kamila.

– Popatrz się na mnie, prosto w moje oczy. – Lenora chwyciła w dłonie policzki Kamili i przez chwilę obie wzajemnie się w siebie wpatrywały. – Już widzę, w czym

problem – oznajmiła. – Nie powinnaś lekceważyć czakry trzeciego oka. Masz ją kompletnie zablokowaną. Może dlatego tak przytyłaś.

– Ja przytyłam? – przestraszyła się Kamila.

– Wcale nie przytyłaś – uspokoił ją Cezary.

– Oczywiście, że przytyła – zaprotestowała Lenora. – Nie traktuj jej protekcjonalnie. Jakby była dzieckiem. No i co z tego, że przytyła? Jeśli zechce, może tyć, ile dusza zapagnie. Tylko to potraficie. Wzbudzać w nas poczucie winy z powodu każdej pierdoły. Każdego kilograma, który nie pasuje do waszej wizji idealnej żony, matki i kochanki. Jesteście tyranami kobiet. – Oskarżycielsko wycelowała palec w swojego męża, który nie przejął się tym zbytnio i skupiał całą uwagę na wyjadaniu owoców z kompotu. – Wykorzystujecie fakt, że nasza kultura oparta jest na hipokryzji i nastawiona wyłącznie na realizację potrzeb mężczyzn. Zawsze to robicie. Wciskacie nas w gorsety, kiedyś dosłownie, teraz w przerośni. Hodujecie w nas upokarzające przekonania, że naszym głównym zadaniem jest podobać się mężczyznom. To się nazywa syndromem targu niewolnic. Wiesz, Kamila, że polscy mężczyźni nie gotują, nie piorą, nie sprzątają, tylko wyręczają się żonami? Czytałam na ten temat świetny artykuł w „Wysokich Obcasach”. Podeślę ci. Otwiera oczy na wiele spraw. Wiedziałaś, że Polki ciemiężone są przez mężczyzn, ale patriarchalna kultura gwałtu sprawia, że nie zdają sobie z tego sprawy? W psychologii takie zjawisko nosi z kolei nazwę syndromu zadowolonego niewolnika...

– To ja może pójdę pozmywać – przerwała jej Marta. Nie mogła się powstrzymać.

– Niewiarygodne, właśnie o tym mówię! – zbulwersowała się Lenora.

– To ja ci pomogę – zadeklarował się Cezary, zbierając pozostałe talerze i niosąc je za Martą do kuchni.

– Na miłość boską, kim jest ta kobieta? – spytała Cezarego, pakując talerze do zmywarki. – Takie głodne kawałki słyszałam ostatni raz w wieku siedemnastu lat, kiedy moja najlepsza przyjaciółka nie dostała walentynki od chłopaka, który się jej podobał.

– Żona Rafała. A Rafał to mój najlepszy kumpel. Jeszcze ze szkoły – ponuro odparł Cezary.

– Skończysz jak on – zawyrokowała Marta.

– Wiem. Musisz mnie ratować.

– Niczego nie muszę. Nie chcę. Nawet cię nie lubię.

– Ja ciebie też nie. Zrób to dla Kamili. I dla siebie. Naprawdę chciałabyś, żeby Kamila przemieniła się w Lenorę?

– Mam wrażenie, że ten proces już się rozpoczął. I co to w ogóle za imię, Lenora?

– Jej ojciec był ambasadorem. Jeździł z rodziną po całym świecie. Lenora urodziła się w Singapurze. Jej matka miała fantazję. Syna nazwała Eliah. Lenka skończyła historię sztuki i nigdzie nie może sobie pracy znaleźć. Rafał ma już jej dość, chciałby pozbyć się jej z domu, chociaż na kilka godzin, ale ona się nie daje. Mówi, że jedyna posada, która mogłaby ją zadowolić, kustosa Luwru, jest już zajęta, he, he!

– Hm... A co ona tu w ogóle robi? Mówiłeś, że to będzie rodzinny obiad. Tylko my.

– Kamila jej o tobie powiedziała, a ta sama natychmiast się wprosiła. Niby że koniecznie musi cię poznać. Oczywiście, że musi. Ona uwielbia kontrolować sytuację i czuwać nad tym, kto przebywa w pobliżu Kamili. Jest jak toksyczny bluszcz. Można się jej pozbyć tylko siekierą albo ogniem. Gorzej. Ona jest jak jednoosobowa sekta, która kontroluje umysł mojej żony...

– Nie przesadzasz? W końcu twój najlepszy kumpel się z nią ożenił. Przecież go do tego nie zmusiła. Musiał mieć jakiś powód.

– Nawet wiem jaki. Powiedział mi. Ona robi najlepsze lody na świecie.

– W sensie...

– W sensie fellatio. Oglądałaś *Głębokie gardło*? Ona tak potrafi. Zasysa jak odkurzacz. A młynek w jej wykonaniu...

– Fuj, przestań, nie chcę tego słuchać!

– Sama pytałaś.

– Chyba nie mówisz poważnie, że twój kumpel ożenił się z nią dla seksu oralnego. Nikt tak nie robi, to absurdalne!

– Marta, widzę, że masz podstawowe braki, więc dam ci dobrą lekcję. KAŻDY facet zrobi WSZYSTKO dla dobrego seksu oralnego. Uwierz mi. Nauczysz się dobrze ssać fiuta, masz nad facetem władzę. Możesz wtedy prosić, o co chcesz, a będzie ci dane. Zapamiętaj to sobie.

– Na miłość boską, Cezary, zamknij się! Ble! Przed chwilą jedliśmy z nimi obiad!

– No i? Zresztą nieważne, cieszę się, że poznałaś Lenkę, masz teraz pełen obraz sytuacji. Sama widzisz, że nie przesadzałem.

– Słuchaj, czego ty ode mnie w ogóle oczekujesz? Co ja mam niby zrobić?

– Spróbuj je od siebie oddzielić. Skłócić. Utopić tę Lenkę. Nie wiem! Wymyśl coś.

– Chyba przeceniasz udział Lenory, a zapominasz, że to również twoja wina.

– Jak to moja?

– Przecież Kamila nie była taka, kiedy wychodziła za ciebie za męża.

– Cholera jasna, czy ty...

– Co wy tu tak długo robicie? Spiskujecie za moimi plecami? – Siostra zmaterializowała się nagle w kuchni. – Goście chcą już jechać. Pożegnajcie się.

– Tak szybko? – zdziwiła się Marta.

– Pewnie zatkałaś Lence wszystkie czakry i teraz musi się spieszyć, żeby poodtykać je przed końcem nowiu – uznał Cezary.

– Nie bądź złośliwy – obruszyła się Kamila. – Jeśli ktoś ma zatkane czakry, to ty.

Odprowadzili gości do samochodu i pomachali im na do widzenia. Marta z nadzieją, że już nigdy nie spotka ich ponownie. Na zewnątrz przestało padać i nawet nieśmiało zaświeciło słońce.

– Chcesz zobaczyć kwitnące krzewy jaśminu? – spytała Kamila.

– W listopadzie? Niemożliwe – oceniła Marta. – Coś ci się musiało pomylić. Jaśmin nie kwitnie jesienią.

– Ten kwitnie – upierała się Kamila. – To najnowszy wynalazek Marcina, naszego ogrodnika. Nazywa się nagokwiatowy. Zaraz ci udowodnię.

Oczywiście, jaśmin wcale nie kwitł. Ale faktycznie, krzewy pokryte były drobnymi pąkami, co wyglądało pięknie, a jednocześnie surrealistycznie, w zestawieniu z nagimi gałęziami sąsiednich roślin. Marta była pewna, że najpóźniej w lutym kwiaty się otworzą. Jeśli spadnie w tym czasie śnieg, jaśmin będzie wyglądał widowiskowo.

– Kumpel, Kuuuumpel! – zawołał męski głos tuż za ogrodzeniem.

– A tam chcę zrobić kolejny skalniak. – Kamila wskazała ręką miejsce, w którym leżało kilka głazów narzutowych.

– Kumpel! Kumpel! – nie przestawał krzyczeć głos.

– Kto to? – zaciekawiała się Marta.

– Jakiś debil z sąsiedztwa. Kupił sobie labradora, durnego jak on sam, i teraz chodzi z nim bez smyczy. Pies mu ciągle ucieka, ten go woła, ale pies nie reaguje na swoje imię.

– Kumpel! Kumpel! – zabrzmiało ponownie gdzieś z drogi za krzewami, jakby na potwierdzenie słów Kamili.

– Dobra, wracajmy do domu, bo jest mokro. Pokażę ci, jak przearanżowałam pokój Weroniki. Ten jej księżniczkowy róż zamieniłam na pudrowy. Wygląda to przeuroczo. Zobaczysz. – Kamila delikatnie pchnęła siostrę w stronę domu.

– Kumpel, Kuuuuuuumpel! – Po raz kolejny rozległo się wołanie, tym razem gdzieś tuż obok.

Twarz Kamili stężała. Siostra odwróciła się w stronę ogrodzenia i krzyknęła do niewidzialnego sąsiada:

– Noż kurwa mać, ile można cię znosić, gościu? Jak nie przestaniesz się drzeć, to przysięgam, że zastrzelę tego twojego kundla. A zaraz potem ciebie!

Marcie z wrażenia odebrało mowę.

– Naprawdę cię zajebię – kontynuowała swoje groźby Kamila. – Prosiłam tyle razy, żebyś zakładał temu głupiemu psu smycz. Ale ty wolisz drzeć mordę, żeby wszyscy musieli cię słyszeć. Ja pierdolę, mówić do ciebie to gorzej niż do tego całego pojebanego Kumpla...

Za ogrodzenia dobiegły ich dźwięki szybko oddalających się kroków. Najwyraźniej sąsiad nie zamierzał wdawać się w żadne słowne przepychanki.

– Na miłość boską, uspokój się, dziecko cię słucha!

Obie równocześnie odwróciły się w kierunku domu. Na ścieżce, parę metrów od nich, stał Cezary i zasłaniał dłońmi uszy Weroniki.

– Co się uspokój, co się uspokój?! – Kamila zaczęła przedrzeźniać Cezarego, nie zwracając uwagi na córkę. – Tyle razy cię prosiłam, żebyś z nim pogadał, bo już nie mogę go słuchać. Ale ty masz w dupie wszystko to, co mówię! Jedyne, co cię interesuje, to te twoje... – nie dokończyła. – Mam już tego serdecznie dość, marzę o tym, żeby się stąd wyprowadzić!

– Mamusia! – Weronika zaczęła płakać.

– A ty – Kamila wskazała palcem na córkę, nie zwracając uwagi na jej płacz – przed chwilą przebrałaś się w nowe ciuchy i już zdążyłaś się wyświnić. Spójrz na siebie, jak ty wyglądasz. Jesteś taka sama jak twój tatuś. Jak nie zaczniesz się słuchać, oddam cię do przedszkola z internatem!

– Zrób coś z tą swoją psychiczną siostrzyczką – warknął Cezary. Podniósł płaczącą Weronikę z ziemi i odszedł z nią w stronę domu.

Kamila spojrzała w górę i zaczęła krzyczeć. Marta stała obok z bezradną miną, nie wiedząc, jak ma się zachować. Była beznadziejna, nie potrafiła pomóc nawet własnej siostrze.

– Okej, zgoda, pojedę z tobą do tego Białegostoku. – Podeszła w końcu do Kamili i mocno ją przytuliła.

ROZDZIAŁ 7

Marta była wściekła. Najpierw Stary nie zgodził się na jej urlop, choć był listopad, a ona miała zaległe dwa tygodnie jeszcze z zeszłego roku. W dodatku prosiła jedynie o jeden dzień, który chciała spędzić z Kamilą w Białymstoku. Kodeks pracy miał w szpitalu status nieśmiały wytycznych, które niespecjalnie się tu przyjęły.

Teraz z kolei musiała użerać się z Cywińskim, który nie zgadzał się na wypis i wymyślał ciągle nowe dolegliwości, choć wyniki badań miał idealne. Piotr Kępiński zalecił regularny kontakt z psychiatrą i przepisał leki, ale chyba nie zaczęły jeszcze działać, bo Cywiński był tak samo niezdolny jak na początku hospitalizacji.

– Proszę mi powiedzieć, co panu właściwie jest, poza tym, że jest pan nieprzytomny i bez kontaktu?! – Wiedziała, że jest niemiła, ale z Cywińskim nie dało się inaczej. Znalazł się w szpitalu tylko dlatego, że przyjął go dyżurny SOR-u, Piotr Roman Opaliński, najgłupszy lekarz na kuli ziemskiej, dla którego triaż, czyli selekcja, oznaczał znalezienie wolnego łóżka na odpowiednim oddziale, najbardziej zbliżonym profilowo do zgłaszanych przez pacjenta dolegliwości.

– Wszystko mnie boli, nawet cebulki włosów! – odkrzyknął Cywiński.

„Powinieneś leżeć na dermatologii” – pomyślała ze złością Marta.

– Mózg też pana boli? – spytała.

– Żeby pani wiedziała! Mózg też! W dodatku nie czuję swoich kubków smakowych!

Prawo serii było bezwzględne. Po Żabkowskim musiał przyjść Cywiński. Wystarczająco długo pracowała w szpitalu, by to wiedzieć.

– Proszę pana, nie znaleźliśmy u pana żadnej choroby zakaźnej. Na dodatek wszystkie wyniki badań są idealne. Dam panu skierowanie do reumatologa, może to fibromialgia.

– Psychoterapia była najlepszym rozwiązaniem sytuacji konfliktowych. – Za kilka godzin dostanie pan wypis. Może pan powoli przygotowywać się do wyjścia.

– Ale... – próbował protestować Cywiński.

– Pan jeszcze tutaj? Dzisiaj pan wychodzi, tak jak ustaliliśmy na odprawie – huknął Stary, który właśnie wszedł do sali chorych razem z doktor Krawczuk. Cywiński zamilkł, czerwony z gniewu.

– Pani doktor – Stary zwrócił się do Olgi – a co z naszym pacjentem? Jak dzisiejsze wyniki?

– No, ten chory sterol trochę niedobry...

Marta wyszła zadowolona. Dzięki Staremu uniknęła dłuższej konfrontacji z Cywińskim. Ordynator miał mnóstwo wad, ale przynajmniej potrafił świetnie radzić sobie z trudnymi pacjentami. Po prostu na nich krzyczał, a oni milkli.

Szybko sprawdziła wyniki porannych badań i zmodyfikowała wpisy w kartach zleceń. Musiała wyrwać się choć na chwilę z oddziału i porozmawiać z Markiem Leśniowskim, który, choć jeszcze tego nie wiedział, miał odegrać kluczową rolę w jej planie leczenia przewlekłej pedofilii.

„Jesteś u siebie? Mogę przyjść?” – Wysłała mu esemesa.

„Wpadaj” – odpisał natychmiast.

Przez cały weekend biła się z myślami, czy to dobry pomysł. Jeśli Marek nie zgodziłby się, mógłby narazić na szwank powodzenie całej operacji. Z drugiej strony, jeśli udałoby się go zrekrutować, stanowiłby cenny nabytek dla Wyleczonych. Przy całym arsenale broni biologicznej, jakim dysponował w swoim laboratorium, możliwości działania stawały się nieograniczone.

Myśl, że Marek byłby idealnym Wyleczonym, przyszła jej do głowy po raz pierwszy kilka miesięcy temu, kiedy oboje wykryli *Naeglerię fowleri* w płynie mózgowo-rdzeniowym Daniela Schulza. To Leśniowski nalegał wówczas, żeby odwlec diagnozę na tyle, by przygotować się do napisania pracy naukowej. Miał gdzieś, co stanie się z Schulzem. Dlaczego zatem miałby mieć skrupuły, gdyby chodziło o pedofila?

Zastała Leśniowskiego w jego własnym gabinecie. Siedział przy biurku i pracował na komputerze. Na szczęście był sam.

– Co tam, Marta? Co knujesz?

– Dlaczego miałabym coś knuć?

– Bo przychodzisz o tej porze, na dodatek w poniedziałek. Coś jest na rzeczy.

– Powinieneś być psychiatrą, nie mikrobiologiem, tak świetnie znasz się na ludziach...

– Nie ironizuj. Idę o zakład, że zaraz usłyszę od ciebie jakąś dziwną prośbę. Ale śmiało, już do tego przywykłem.

– Nie mam żadnej prośby. Tylko pytanie. Fakt, dziwne, ale pewnie słyszałeś już dziwniejsze.

– Żebyś wiedziała. Nie dalej niż wczoraj sąsiadka mnie spytała, czy powinna zaszczepić swoje dziecko na pikoki.

– Hm... Moje pytanie jest jednak dziwniejsze.

– Dawaj.

– Jak uśmiercić kogoś, żeby wyglądało na naturalną śmierć?

Spojrzał na nią czujnie.

– Zastanawiające, że akurat ty mnie o to pytasz. Przecież sama powinnaś znać się na tym najlepiej.

– Jak to? – Poczowała lekki niepokój.

– No, jesteś klinicystą. Pracujesz z ludźmi. I z lekami. Ja mam dostęp tylko do tego. – Zatoczył ręką po pracowni. – No, ale skoro pytasz... – Zamyślił się, podpierając brodę.

– Stawiałbym na duże dawki insuliny albo chlorek potasu, tradycyjnie.

Kiwnęła głową. Była chyba zbyt przewrażliwiona, po tych wszystkich anonimach.

– Problem polega na tym, że to nie może być nic tradycyjnego. Żadnych wkłuc. I nic, co wyjdzie na toksykologii – odpowiedziała.

– Rozumiem, że pytasz czysto teoretycznie?

– Oczywiście.

– Pisziesz jakąś książkę czy coś w tym stylu?

– Coś w tym stylu.

„Ostatni rozdział w życiu Józefa Światło. Nosi tytuł Śmierć”.

– Hm... – Znow się zamyślił. – Osobiście stawiałbym na laseczki wąglika. Może jestem zbyt sentymentalny i może spędzam z nimi ostatnio zbyt dużo czasu, ale uważam, że to wszechstronne bakterie.

– Wąglik odpada. Zbyt niebezpieczny dla postronnych. Chcę uśmiercić tylko jedną osobę. Wszystko musi pójść zgodnie z planem, nie ma miejsca na błąd i przypadkowe ofiary.

– Nadal rozmawiamy czysto teoretycznie? – spytał podejrzliwie.

– Oczywiście.

– Istnieje pewien sposób, jak wycelować wąglikiem tylko w jedną osobę... Ta osoba musiałaby palić papierosy.

– Pali – ucieszyła się Marta. – W sensie teoretycznym, oczywiście – dodała.

– Okej. Jeśli zatem teoretyczna osoba teoretycznie pali papierosy, to teoretycznie można zastosować pewien sposób. Używano go w latach osiemdziesiątych w RPA do uśmiercania przeciwników politycznych. Papierosy, a raczej ich filtry, nasączano zarodnikami wąglika. Po inhalacji dużego ich stężenia śmierć jest niemal nieuchronna.

- A ty mógłbyś takie papierosy wyprodukować w naszym laboratorium?
- Nadal mówimy tylko o teoretycznej sytuacji? – Marek spojrział na nią z uwagą.
- Tak.
- W takim razie odpowiem, że owszem, teoretycznie mam takie możliwości techniczne.
- A gdybym cię o to poprosiła? Już nie teoretycznie?
- To by zależało.
- Od czego?
- Od tego, kogo chciałabyś uśmiercić – odpowiedział. – Jeśli Alinę z naszego sekretariatu, to jestem na tak.
- Co ci zrobiła Alina? – zdziwiła się Marta.
- Używa wołaczy. I generalnie jest jakaś taka wkurzająca.
- Ależ Marku!
- Nabijasz się, ale gdybyś musiała słuchać jej codziennie, też miałabyś mordercze myśli.
- Alinę możemy załatwić później. Na razie chodzi o pewną bardzo, bardzo złą osobę.
- Chyba nie celujesz w Starego? – zainteresował się.
- Starego? W żadnym wypadku. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – Nie pomyślała o tym wcześniej, ale... Stary też palił papierosy.
- Tak tylko mówię. Rozwiązałyby to wiele twoich problemów.
- Nie chodzi mi o Starego.
- To o kogo?
- O Józefa Światło. To pedofil, który gwałcił i zabijał dzieci w latach osiemdziesiątych. Wkrótce ma wyjść na wolność. Chcę go zresocjalizować, tym razem skutecznie.
- Mówisz poważnie?
- Śmiertelnie poważnie.
- Marta, no weź. – Zaśmiał się nerwowo. – Przecież to jakiś absurd!
- Dlaczego?
- Nie możesz zabić człowieka. To przestępstwo. Zamkną cię. I mnie, jeśli ci pomogę. Jak możesz w ogóle o tym myśleć? I dlaczego przychodzisz z tym do mnie? – Zdenerwował się.

– Bo ja kiedyś pomogłam tobie. Pamiętasz Niuchacza? Poczekalam ze zgłoszeniem negleriozy, tak jak chciales. Byc moze, gdybyśmy od razu włączyli leczenie, miałyby jakąś szansę. Ale tego nie zrobiliśmy, bo o to prosiles.

– To zupełnie co innego! I wiesz dobrze, że nie miał żadnych szans.

– Owszem, bo mu je odebrales.

– Przestań!

– I specjalnie tego nie zalowales. Jak to bylo, co wtedy powiedziales? „Kto ma po nim plakac? Te zgwałcone czy te zabite?” Jakoś tak...

– Ale ja tylko tak mowilem, nigdy nie zabilbym nikogo celowo. Schulz byl juz zywym trupem, kiedy postawilismy rozpoznanie!

– Uspokoj sie, nie krzycz. Tylko sie z toba drocze. Przeciez wiem, ze wyswiadczyliście wtedy swiatu przysluge. Teraz mamy okazje zrobic to ponownie.

– Nie chce tego sluchac! – Zatkan sie uszy dloniami.

– Nie ma problemu. Mozesz w takim razie popatrzec. – Wyjela brązowa koperte i zaczela rozkladac zdjecia na blacie jego biurka. – Widzisz te slady? – Wskazala palcem. – Palil im wlosy lonowe. Podpalal je zapalniczka i smial sie, kiedy krzyczeli. Tym chlopcem, ktorzy je mieli. Bo najmłodsza z jego ofiar to pieciolatek. Bawil sie na balkonie wlasnego mieszkania, na parterze, stamtad Swiatlo go zabral. Matka dziecka stala kilka metrow dalej, gotowala obiad dla rodziny.

– Nie rob mi tego, prosze...

– Tak wygladal ten chlopczyk, kiedy Swiatlo z nim skonczyl. – Wydobyła z koperty ostatnie, specjalnie przygotowane w tym celu zdjecie, i polozyla przed Markiem. Chlopiec ze zdjecia wygladal jak malý cherubinek, ze swoimi blond lokami otaczajacymi czoło i skronie. Tyle ze wlosy cherubinka posklejane byly na czubku glowy krwia, a ciało od pasa w dol nie przypominalo ludzkiego.

Marek zaslonil usta dlonia, ale nie przestawal wpatrywac sie w twarz martwego dziecka.

Marta znala powód, dla ktorego akurat to zdjecie wywarlo na nim takie wrazenie. Specjalnie je wybrala i zostawila na koniec. Wiedziala, ze na biurku Leśniowskiego stala inna fotografia, kolorowa i oprawiona w srebrna ramke. Przedstawiala Marka wraz z cala rodzina: rodzicami, dwiema siostrami i siostrzencem. Chlopiec przy jego boku mial nad wiek powazna mine i pozowal z wielkim pluszakiem przypominajacym

rotawirus, zapewne prezentem od wujka. Po torturach, gwałtach i podpaleniu wyglądałby zupełnie jak martwe dziecko z policyjnego zdjęcia. Podobieństwo było uderzające i Marta, która fotografię na biurku Marka widziała wielokrotnie, dostrzegła je natychmiast.

– Skąd masz te zdjęcia? – spytał wreszcie.

– To w tej chwili nieistotne.

– To pedofilów morderców wypuszcza się na wolność? – spytał po dłuższym milczeniu.

– Jak widzisz. Trzymanie ich z dala od dzieci jest najwyraźniej niehumanitarne i narusza ich prawa człowieka.

– Nawet nie wiem, czy przed chwilą faktycznie zażartowałaś. W tym pokręconym świecie już nic mnie nie zdziwi. – Pokiwał głową.

– To jak, zrobisz mi te papierosy?

– A jeśli cię złapią?

– Nie pisnę na twój temat ani słowa.

– I tak bym się wszystkiego wyparł. Na kiedy je potrzebujesz?

– Jeszcze nie wiem. Być może już za kilka dni.

– Dowiedz się, jakie pali.

* * *

Wróciła na swój oddział, a reszta dnia minęła spokojnie. Nawet wręczenie wypisu Cywińskiemu odbyło się bez wielkich dramatów z jego strony. Nie że bez żadnych. Ale bez wielkich, co było sporym zaskoczeniem. Może leki od Piotra zaczęły wreszcie działać.

Tuż przed wyjściem do domu w kieszeni Marty zawibrowała komórka. Ponownie dzwonił były polityk, Bogdan Kłós.

– Jak pani widzi, jestem cierpliwy i nie daję za wygraną – oznajmił na powitanie.

– Rozumiem, że dzwoni pan w tej samej sprawie, co poprzednio?

– W tej samej. Będę dzwonił tak często, aż pani się zgodzi.

– Wie pan, że mogę pana zablokować? – westchnęła.

– Będę wysyłał maile. I listy pocztą tradycyjną.

– Ale ja naprawdę nie wiem, jak mogłabym pomóc pana koledze.

– Proszę się z nim spotkać. On wszystko pani wyjaśni. Jeśli okaże się, że jest pani bezsilna, to trudno. Nie pogniewam się. Widziało go już tak wielu lekarzy... Ale uważam, że pani jest wyjątkowa i jeśli ktoś mógłby znaleźć przyczynę jego dolegliwości, to właśnie pani.

– Taka opinia mi pochlebia, ale nie zmienia to faktu, że tak się nie robi. Co jeśli będę musiała zlecić dodatkowe badania?

– Wykona je prywatnie. O to proszę się nie martwić.

Po długim wahaniu zgodziła się. Kłós sprawiał wrażenie człowieka, który nie odpuszczał tak łatwo. Na miejsce spotkania zaproponowała kawiarnię niedaleko swojego mieszkania.

– Lepiej będzie, jeśli pani doktor spotka się z nim u niego w biurze. To osoba publiczna.

– Mówił pan, że spotkanie odbędzie się na moich warunkach – zaprotestowała.

– Na pani warunkach, ale u niego w gabinecie. Tu wskazana jest dyskrecja.

– To na czym miałyby polegać moje warunki?

– Pani wyznaczy czas.

Uniosła oczy ku niebu. Już zaczynała żałować.

– Właśnie wychodzę z pracy. Mogę być u niego za godzinę, pod warunkiem że ma gabinet gdzieś w Śródmieściu.

– Dzisiaj? Zaraz? – zdziwił się Kłós.

– Tak. Albo za godzinę, albo wcale – postawiła ultimatum.

– Ale...

– Za godzinę albo wcale – powtórzyła.

– Dobrze. Niech będzie za godzinę. Zaraz do niego zadzwonię. Jest już w domu, ale wróci do swojego biura specjalnie na spotkanie z panią.

– Gdzie jest to biuro? – spytała.

– W Ratuszu – odpowiedział. – Mój znajomy to Artur Woźniak, zastępca prezydenta Warszawy.

Marta zgrzytnęła zębami. Miała nadzieję, że nie wpakowała się w żadne kłopoty. Miała ich aż nadto. Gdyby wiedziała, o kogo chodzi, nigdy by się na to nie zgodziła.

* * *

– Pani do kogo? – spytał emerytowany ochroniarz przy bramce.

– Do prezydenta Woźniaka – odpowiedziała takim tonem, jakby spotkania z prezydentami były jej chlebem powszednim.

Ochroniarz wykonał telefon, po czym przepuścił ją dalej, wskazując drogę.

W Ratuszu było cicho i pusto. Zapewne większość urzędników już dawno odbiła swoje karty i zostawiła problemy petentów na kolejny dzień. Albo tydzień. Tudzież miesiąc. „To musi być przyjemna praca” – oceniła po zapachu kawy, który zdążył wsiąknąć w każdą szczelinę korytarza, którym kazał jej iść ochroniarz.

– Pani doktor Wolska? – zapytał brodaty mężczyzna w średnim wieku, którego spotkała na pierwszym piętrze.

– Tak. Szukam prezydenta Woźniaka – odpowiedziała.

– To ja. – Ucisnął jej dłoń. – Zapraszam do mojego gabinetu. Nikt nam nie będzie przeszkadzał, jest już po godzinach pracy.

Gabinet był przestronny i wyposażony w zabytkowe meble. Drewniana podłoga skrzypiała przy każdym kroku.

– Nie zna mnie pani – zaczął, kiedy usiedli w skórzanych fotelach – czyli nie jest pani moim wyborcą?

– Nie jestem niczym wyborcą. Nie chodzę na wybory – odpowiedziała. – Czy to dla pana jakiś problem?

– Żaden. Tak tylko pytam, z ciekawości. I żeby przełamać lody, bo nie wiem, jak zacząć.

– Ja tego panu nie ułatwię. To pan nalegał na to spotkanie. Dla mnie taka forma kontaktu z pacjentem też jest nowa.

– Rozumiem to doskonale. Niestety, nie było widoków na żadną inną formę. – Bezradnie rozłożył ręce. Marta pomyślała, że mowę ciała ćwiczył na tych samych kursach, co Stary. Jej szef w identyczny sposób rozkładał ręce, kiedy prosiła go o podwyżkę. – Bogdan opowiadał mi, że jest pani genialna i rozwiązuje pani najtrudniejsze zagadki medyczne.

– Przesada.

– Wcale nie. Trochę o panią popytałem. Inni to potwierdzają. Muszę powiedzieć, że wyobrażałem sobie panią inaczej. Myślałem, że będzie pani starsza. I nie taka ładna.

– Możemy od razu przejść do rzeczy. Nie musimy prawić sobie komplementów – odburknęła. Już go nie lubiła. Być może chodziło o to, że trochę przypominał jej

Starego. A może o coś zupełnie innego. W każdym razie nie przypadł jej do gustu.

– No tak. – Najwyraźniej zbiła go z tropu. Pewnie przywykł do innego traktowania. – Chodzi o to, że od pewnego czasu, w sumie to od kilku miesięcy, nie czuję się najlepiej. Bardzo bolą mnie stawy i czuję dziwne kołatania serca. Konsultowałem się u kardiologów, reumatologów i ortopedów. Myślałem, że to może borelioza. Tyle się na jej temat naczytałem. No i objawy przecież książkowe, to znaczy według Internetu, ale powiedziano mi, że nie. Mam tu wyniki badań, pani jest specjalistką, proszę na nie spojrzeć. Może jednak lekarze pomylili się i to jest borelioza? – Wyjął z biurka grubą teczkę, którą otworzył.

– Chodzi pan do solarium? – spytała Marta.

– Co takiego? – zdziwił się Woźniak.

– Ma pan ciemną skórę, a jest listopad. Był pan na jakichś egzotycznych wakacjach albo chodzi pan do solarium?

– Nie, nic z tych rzeczy. Może faktycznie jestem jakby ciemniejszy. – Spojrzał na swoje dłonie, jakby widział je po raz pierwszy. – Jest jeszcze coś. Rozumiem, że obowiązuje panią tajemnica lekarska i to, co pani powiem, nie wyjdzie poza mury tego pokoju?

– Oczywiście.

– Otóż... Nie wiem, jak to powiedzieć... Pani doktor, ja kiedyś mogłem kilka razy dziennie, a teraz... najwyżej dwa razy w miesiącu... Rozumie pani... Ja mam żonę, mam kochankę... Ja mam problem!

A więc to go tak przypiliło. Problem, który musiał być rozwiązany jak najszybciej, bez względu na cenę.

– Muszę pana zbadać. – Podniosła się. – Proszę się rozebrać. – Zabrzmiało to dwuznacznie, w kontekście słów, które przed chwilą padły. Miała nadzieję, że Woźniak nie zrozumiał tego opacznie.

– Teraz? Tutaj?

– To pan wybrał to miejsce.

Po badaniu wzięła do ręki teczkę z wynikami badań.

– Mogę to pożyczyć? Będzie mi łatwiej przejrzeć je w domu. Oddam je panu, jak tylko skończę. Być może będę musiała zlecić dodatkowe testy. Proszę zostawić mi swój numer telefonu. Musimy się jakoś komunikować.

Zebrała się do wyjścia.

– Pani doktor, jest jeszcze coś. Zapomniała pani o honorarium. Proszę powiedzieć, ile się należy.

– Przecież nic jeszcze nie zrobiłam.

– Zabrałam pani czas. Proszę powiedzieć ile.

– Niech pan da spokój.

Woźniak wyjął z szuflady grubą kopertę.

– Czy to wystarczy? – spytał. – Proszę przeliczyć.

– Powiedziałam, że nie trzeba. Rozliczymy się po wszystkim. Do widzenia panu – pożegnała Woźniaka i wyszła z Ratusza.

Kiedy późnym wieczorem oglądała serial, leżąc na kanapie, usłyszała szcęk przekręcanego w zamku klucza. Wrócił Michał. Wstała, żeby go przywitać i opowiedzieć o swoich planach dotyczących Józefa Światła i wąglika.

– Co robiłaś po pracy? – odezwał się pierwszy.

Zastanowiła się przez chwilę. Zupełnie zapomniała, że śledził ją przez aplikację w telefonie. Musiał widzieć, jak jechała w okolice placu Bankowego, do Ratusza.

– A dlaczego pytasz?

– Tak sobie, bez powodu.

– Wróciłam prosto do domu.

– Okej – odpowiedział bez przekonania. Miała nadzieję, że zżerała go zazdrość.

– Czy to bezpieczne? – zaniepokoił się, kiedy opowiedziała mu o papierosach i wągliku.

– Oczywiście, że tak. Inaczej bym tego nie robiła.

Nie było to bezpieczne. Światło miał zapalić papierosa w jej obecności, w zamkniętym pomieszczeniu. Na szczęście istniała profilaktyka. Wiedziała, co i w jakiej dawce przyjąć, żeby zminimalizować ryzyko. Ale Michał nie musiał znać szczegółów. Nie musiał również wiedzieć o udziale Marka. Uwierzył, że była w stanie przygotować wąglikowe papierosy samodzielnie, w końcu już wcześniej korzystała ze szpitalnego laboratorium.

– To dobrze – odpowiedział. – Nie chcę, żeby coś ci się stało. Zdasz przygotować te papierosy na przyszły tydzień?

– Jasne. – Nie miała pojęcia. Zamierzała spytać jutro Marka.

Przytulił ją mocno, a ona odwzajemniła uścisk. Przez chwilę poczuła się jak zakochana kobieta w normalnym związku.

ROZDZIAŁ 8

Jak dotąd ten dzień przynosił wyłącznie frustracje. Stary nadal nie zgadzał się na jej urlop, oznajmiła więc, że i tak weźmie, tyle że na żądanie. Szef wpadł we wściekłość. Warknął, że wobec zapaści w systemie opieki szpitalnej lekarze powinni brać urlopy tylko w ostateczności, a ci, którzy biorą urlopy na żądanie, są pozbawieni honoru. Co prawda Marta niespecjalnie przejęła się jego słowami, w końcu usłyszała je z ust osoby, która nie odróżniała honoru od honorarium, ale w ślad za tym poszły czyny – znowu, poza wszelką kolejnością, została konsultantem SOR-u i innych oddziałów. Mogła zapomnieć o punktualnym wyjściu z pracy.

Na dodatek ordynator zaczął przy wszystkich traktować ją jak powietrze. Kiedy w ciągu dnia zastała go na jednej z sal chorych, ostentacyjnie odwrócił głowę w stronę doktor Krawczuk i przesadnie miłym tonem zwrócił się do Olgi:

– Pani doktor, jak tam dzisiejsze badania pana Rybaka?

– No, niestety, kafelki mu spadli.

– Płytki krwi, pani doktor, płytki krwi!

Marta nie szukała akceptacji Starego ani jego sympatii, ale na oddziale dość często pojawiały się problemy, które należało rozwiązywać w porozumieniu z szefem. A w sytuacji, kiedy ten ją ignorował, musiała radzić sobie sama i podejmować decyzje, które powinien podejmować on.

Tuż przed zakończeniem pracy po raz kolejny wezwano ją na SOR. Okazało się, że czeka tam na nią Cywiński, którego kilka dni temu wypisała. Jak zwykle był nieprzytomny i bez kontaktu. I gorączkował. Miał również cały szereg innych dolegliwości, które przezornie spisał na kartce formatu A4, na wypadek gdyby o nich zapomniał.

– Bo ja jestem z tych, co to nie potrafią powiedzieć, co im dolega. A potem wszyscy mnie ignorują i mówią, że jestem zdrowy. Kiedy ja nie jestem zdrowy! – tłumaczył lekarzowi SOR-u.

– Panie Cywiński, większość z pana dolegliwości nie wymaga żadnych badań sprawdzających, wszyscy ich doświadczają. Nie są niepokojące – wyjaśniała cierpliwie Marta. – Pozostałych nie potwierdziliśmy, kiedy leżał pan u nas na oddziale. Przykro mi, jednak jest pan zdrowy.

– A gorączka? Niech pani przyłoży rękę do mojego czoła. Jest jak piec!

- Mierzyliśmy panu temperaturę, jest w normie.
- Macie zepsuty termometr.
- Mierzyliśmy temperaturę trzy razy, trzema różnymi termometrami.
- Skoro jestem zdrowy, to czemu tak źle się czuję? – upierał się przy swoim.
- Może pana dolegliwości mają inne podłoże? Nie przeżył pan ostatnio jakiegoś dużego stresu? – zasugerowała dyplomatycznie. – Nasz psychiatra dał panu skierowanie do poradni zdrowia psychicznego. Umówił pan już wizytę?
- Robi pani ze mnie jakiegoś wariata, a ja nie jestem wariatem, jestem chorym człowiekiem, któremu odmawia się pomocy! – wrzasnął.

Marta nie znosiła krzyków. Szybko wypełniła kartę konsultacji, przepisując zalecenia z karty wypisowej.

– Na pewno są jeszcze jacyś prawdziwi lekarze w tym kraju, pójdę i poszukam... W tym miejscu nie ma ich na pewno! – darł się Cywiński, kiedy wyprowadzano go z SOR-u. – Gdyby nie ja, tobyście z głodu zdechli! – krzyknął na koniec w stronę ratowników medycznych.

Po wyjściu z oddziału wstąpiła jeszcze do Krainy Oz, żeby odebrać papierosy przygotowane przez Marka. Prawie na nią nie patrzył, kiedy wręczał jej paczkę.

– Jestem teraz megazajęty – oświadczył ze strachem w oczach i zniknął za drzwiami pracowni.

Wróciła do domu późno i przez godzinę leżała na kanapie. Była zbyt zmęczona, by odgrzać sobie obiad.

Teczka z wynikami badań Woźniaka leżała obok, na stole, wzbudzając w niej poczucie winy. W końcu, zrezygnowana, zaparzyła herbatę z cytryną i zaczęła je przeglądać. Po kilku minutach westchnęła. Badania zlecane były bez ładu i składu przez wielu specjalistów, żaden nie pokusił się o zebranie wszystkiego w całość. Pewne tropy były obiecujące, ale nikt nie podążył nimi dalej, skupiając się na fragmentach dotyczących jedynie własnej działki. Tymczasem nie bez powodu interna nazywana była królową nauk medycznych. Tu należało ułożyć puzzle, a nie ciąć je na mniejsze kawałki. Wzięła do ręki telefon i wykręciła numer Woźniaka.

– Halo, czyżbym dzwoniła w nieodpowiednim momencie? – przywitała go, kiedy odebrał i zasapał do słuchawki. Miała nadzieję, że robił pompki albo wchodził po schodach.

– W żadnym wypadku. Czyżby już coś pani dla mnie miała?

– Wydaje mi się, że jest kilka rzeczy, które warto byłoby sprawdzić. Ma pan coś do pisania? Proszę zrobić badania, których nazwy zaraz panu podam. I zadzwonić do mnie, jak tylko przyjdą wyniki.

Kiedy skończyła rozmawiać z Woźniakiem, przypomniała sobie, że miała nakarmić Kota. Michał późno kończył dziś pracę, a Kot nie jadł od rana. Włożyła kurtkę, czapkę oraz buty i ruszyła w stronę Litewskiej. Lał deszcz, więc zdecydowała, że nie będzie śpieszyć się z powrotem i poczeka w mieszkaniu Łazowskiego, aż przestanie padać.

Głaskała Kota, czytając książkę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Nie zareagowała. Michał nie uprzedzał jej, że będzie miał gości. Za drzwiami stała pewnie jakaś sąsiadka, która chciała pożyczyć sól. Albo przelecieć Michała. Tak czy siak, nie przyszła tu z powodu Marty, nie było zatem sensu niczego sprawdzać ani wyjaśniać. Dzwonek nie przestawał jednak zawodzić, zrezygnowana podniosła się więc z kanapy i otworzyła drzwi. Na klatce stała kobieta, której ręka w pozie wyraźnego zdziwienia zastygła na przycisku dzwonka. Była młoda, ładna, a jej ciemne włosy opadały falami na kołnierz szarego płaszcza. Przez chwilę wpatrywały się w siebie bez słowa, aż wreszcie brunetka ocknęła się i pierwsza wyciągnęła rękę w stronę Marty.

– Cześć, jestem Agnieszka, siostra Michała.

– Siostra? – Marta odwzajemniła uścisk dłoni. – Jestem Marta, jego... hm... dziewczyna. – Po trzydziestce dobór słów na określenie tego, co ich łączyło, był kłopotliwy. Nie lubiła słowa partnerka, bo sugerował, że prowadzą razem jakąś firmę. Choć w sumie trochę tak było.

– Nie obraż się, ale Michał nic o tobie nie wspominał. Długo jesteście razem? – Agnieszka najwyraźniej była z gatunku tych, co od razu przechodzą do konkretów.

– Jakieś pół roku. Ja o tobie słyszałam. To znaczy tylko tyle, że istniejesz.

– Cały Michał. Mogę wejść?

– Pewnie, jasne. – Przepuściła ją w progu. – Michała nie ma w tej chwili, ale wkrótce powinien wrócić. Nic nie wspominał o twoim przyjeździe. – Odebrała od Agnieszki mokry płaszcz i powiesiła go na wieszaku.

– Bo nic nie wiedział. To niespodzianka. Już dawno się z nim nie widziałam. Za każdym razem, kiedy chciałam go odwiedzić, coś mu wypadało. Sam też przestał do nas zaglądać. Znaczy do mnie i rodziców. Mieszkamy w Stalowej Woli, mówił ci?

– Tak, coś wspominał. Usiądź, proszę. Napijesz się herbaty?

– Chętnie, dziękuję. – Agnieszka umościła się na kanapie obok kota. – Cześć, Kocie. – Zmierzwiała mu futro. – Jak zwykle jesteś kochany i beużyteczny. – Kot zamruczał w odpowiedzi. – Tym razem postanowiłam przyjechać bez zapowiedzi. I tak mam pewien interes do załatwienia w stolicy. To jedno. A dwa, mam ważną sprawę do Michała, nie chciałam rozmawiać o niej przez telefon.

– Sprytnie.

– Owszem. Jak widać, miałam nosa. Czyli to ty go tak krótko trzymasz?

– Jak to?

– Twierdzi, że nie odzywa się, bo nie ma czasu. Teraz widzę, że nie ma czasu, bo jest zajęty tobą.

– Niestety, to nie ja.

– To co go tak pochłania?

– Praca.

– Serio? I ty na to pozwalasz?

– Chyba nie mam wyjścia. Zresztą do niedawna sama siedziałam w pracy dzień i noc.

– Też pracujesz w policji? – Agnieszka przyjrzała się jej z zaciekawieniem.

– Nie, jestem lekarzem.

– O, to miło, rodzice się ucieszą. Zawsze chcieli mieć lekarza w rodzinie.

Marta poczuła, że się czerwieni. Postawiła na stoliku kubek i talerz ciastek.

– Proszę bardzo, twoja herbata.

Kot natychmiast zainteresował się jedzeniem, musiała delikatnie, ale stanowczo dać mu do zrozumienia, że nie było przeznaczone dla niego.

– Cieszę się, że przyjechałaś. – Usiadła naprzeciwko Agnieszki. – Michał rzadko mówi o swojej rodzinie.

– Ja też się cieszę. Zdradzisz, jak się poznaliście?

„Wspólnie pozbyliśmy się pewnego psychopaty”.

– Znowu padnie to słowo. W pracy.

– Okej, wygląda na to, że faktycznie jesteście sobie warci. – Agnieszka się roześmiała. – Wiesz, myślałam, że mój brat już nigdy sobie nikogo nie znajdzie.

– Dlaczego miałby sobie nikogo nie znaleźć?

– No wiesz, po ostatnim związku...

- To znaczy?
- Nie mówił ci? To ja też nie powinnam. Lepiej sama go o to spytaj. – Agnieszka zajęła się herbatą i ciastkami.
- Muszę przyznać, że nie przypominasz swojego brata – Marta przerwała ciszę. – Ani z wyglądu, ani z charakteru.
- Może dlatego, że nie jest moim rodzonym bratem. Oboje jesteśmy adoptowani.
- Adoptowani?!
- Tego też ci nie powiedział? Hm... Wiesz co, albo ja ci mówię za dużo, albo Michał za mało, ale mam wrażenie, że robię w waszym związku jakąś rewolucję.
- Może tak być – zgodziła się Marta. – Przez ostatnie kilka minut dowiedziałam się o nim więcej niż... niż kiedykolwiek.
- Nie przejmuj się, nie ty pierwsza. Zawsze to samo. Tyle razy z nim o tym rozmawiałam. Radziłam, żeby był w swoich związkach szczery, bo inaczej źle się to skończy.
- Tyle razy? To ile było tych związków? – zainteresowała się Marta.
- Kochanie, on nie jest nastolatkiem. I wygląda jak wygląda. Baby zawsze za nim ganiały. Chyba nie sądziłaś, że żył przed tobą w celibacie?
- To ile ich było? – powtórzyła pytanie Marta.
- No... Parę... – wybrnęła dyplomatycznie Agnieszka. – Ale żaden nie trwał zbyt długo. Mówisz, że z tobą jest już pół roku? Dla niego to jak pół wieku. Dobrze wróży na przyszłość. Jakim jesteś lekarzem? Przypadkiem nie psychiatrą?
- Zakaźnikiem. Dlaczego miałabym być psychiatrą? – spytała podejrzliwie Marta.
- Przydałby mu się psychiatra – westchnęła Agnieszka. – Poszedł na psychologię, ale to nie to samo. Zresztą sam sobie nie pomoże.
- W czym sobie nie pomoże?
- W przepracowaniu tej jego... pseudotraumy. – Agnieszka sięgnęła po ostatnie ciastko. Jak na tak szczupłą osobę miała ogromny apetyt. Marta przyniosła kolejne opakowanie i wysypała na talerz.
- Pseudotraumy?
- To taki urojony problem, którego nigdy nie rozumiałam. – Agnieszka przewróciła oczami. – Rodzice adoptowali nas, kiedy mieliśmy po kilka miesięcy. Żadne z nas nie pamięta swojej poprzedniej rodziny. Wychowywali nas w prawdzie o adopcji, od

początku o niej wiedzieliśmy. Ale w niczym nam to nie przeszkadzało. Kochaliśmy ich, oni byli dla nas wspaniali, kochaliśmy siebie nawzajem. Serio, uważam, że mieliśmy dużo szczęścia, że się w tym świecie tak znaleźliśmy. Wszystko było dobrze przez kilkanaście lat. – Przełknęła ciastko. – Jednak jakoś przed osiemnastką Michał poczuł potrzebę odnalezienia rodziców biologicznych. Mnie również próbował do tego namówić, ale tylko go wyśmiałam. Moi prawdziwi rodzice byli obok mnie. Tylko ich potrzebowałam, a nie jakichś obcych ludzi, którzy nie mieli ze mną nic wspólnego. Nie, dziękuję! Tak mu odpowiedziałam. Dał mi spokój, ale sam zaczął drażnić. Było mi żal matki i ojca, bo widziałam, jak ich to gryzło. Ale mimo wszystko pomogli mu poznać prawdę. Dużo ich to kosztowało, ale zrobili to dla niego, bo im na nim zależało. I jak się to skończyło? Tak jak przepowiadałam. Lepiej by było, gdyby nigdy ich nie szukał. Ojej, Kocie, patrz, jak ja przez ciebie wyglądam, zobacz, ile sierści na mnie zostawiłeś! Ty sierściuchu niedobry, ty niedobry! – Potarosiła go pieszczotliwie, Kot przewrócił się na plecy, mruczając w zadowoleniu.

– No i? Co z tymi rodzicami? – spytała niecierpliwie Marta.

– Nic. Odnaleźli nazwiska, nie osoby. Okazało się, że rodziców Michała zamordowano, gdy był jeszcze niemowlakiem. Dlatego trafił do adopcji. Straszna historia. Zrobił to jakiś miejscowy żulik, któremu pomagali wyjść z alkoholizmu. Zadźgał ich nożem, bo mu kasy nie chcieli pożyczyć. Sąsiad zawiadomił policję, bo usłyszał przez ścianę, jak Michał płacze w łóżeczku, i się zaniepokoił. Tak, tak, dobrze słyszysz. Michał był przy tym, jak mordowano jego rodziców. Nie martw się, przecież nic z tego nie mógł pamiętać. – Agnieszka pocieszająco poklepała Martę po udzie. – I całe szczęście, że nie pamiętał, ale jak się o tym dowiedział po tych wszystkich latach, to całkiem mu odbiło. Miał iść na AWF, zawsze był typem sportowca, a zamiast tego poszedł na psychologię. I odbiło mu po tym jeszcze bardziej, takie jest moje zdanie. Hej, wszystko dobrze? Nie zemdlej mi tu, miałam kursy pierwszej pomocy, ale tylko u dzieci, nie wiem, jak ratować dorosłych! – Uszczypnęła Martę w oba policzki.

Z korytarza dobiegł ich szczepek kluczy.

– Agnieszka? Co ty tu robisz? – Michał wrócił obładowany zakupami. Odłożył je na stół i przywitał się z siostrą.

– A co to, brata nie mogę odwiedzić? Nie cieszysz się?

– Nieszczęśliwie, mam już wystarczająco dużo problemów na głowie i bez ciebie. Auć! Na policjanta rękę podnosisz? Na pana władzę?

– To tak ukochaną siostrę witasz? – Znow uderzyła go poduszką. Kot zeskoczył z kanapy i ewakuował się pod stół. Nie znosił zamieszania i hałasu. – Na dodatek nic mi o Marcie nie wspomniałeś. Musiałam do Warszawy przyjechać, żeby się o niej dowiedzieć. A to przecież taka fajna dziewczyna jest.

– Czyli nie muszę was sobie przedstawiać?

– Poradziłyśmy sobie bez ciebie. – Marta włączyła się do rozmowy. Po rewelacjach usłyszanych od Agnieszki Michał wydawał jej się zupełnie innym człowiekiem.

– Siostra, żartowałem. Cieszę się, że przyjechałaś. – Odebrał Agnieszce poduszkę i rzucił na kanapę. – Mam nadzieję, że w domu wszystko w porządku?

– Ty i twój wrodzony optymizm – prychnęła Agnieszka. – No dobra, masz rację, przyjeżdżam z powodu wieści. Tyle że dobrych. Przygotuj się, uwaga... trrrrr... – udało werble. – Wychodzę za mąż. W sierpniu. Chciałam cię na ślub zaprosić. To znaczy, oczywiście, was – poprawiła.

– Za mąż? – zdziwił się Michał.

– Tak, wyobraź sobie, że Fabian mi się oświadczył. Zaskoczony?

– Raczej zawiedziony.

– A ty dalej swoje! Naprawdę ci się zbiera!

– To nie jest odpowiedni mąż dla ciebie.

– Dlaczego nie?

– Bo nie.

– Ej, mamy wreszcie okazję pogadać na żywo, przy świadku. – Kiwnęła głową w stronę Marty. – Powiedz mi, co masz do Fabiana.

– Jest policjantem.

– Ty też.

– No właśnie. Dlatego uważam, że nie powinnaś za niego wychodzić. Policjanci nie nadają się na mężów. A przedszkolanka z policjantem to już bardzo zły pomysł. Klasyczny przykład katastrofy. Każdy, kto choć trochę zna się na życiu, ci to powie.

– Powiedział znany ekspert od życia.

– Nie przeginaj!

– No przecież to twój kolega, sam mi go przedstawiłeś!

- Znajomy. Poza tym nie sądziłem, że po miesiącu zechce cię przelecieć.
 - To było dwa lata temu. Jesteśmy ze sobą już dwa lata. Nie uważasz, że to wystarczająco długo, by kogoś poznać i wiedzieć, że chce się z nim być do końca życia?
 - Opowiadasz farmazony. Tego nie sposób wiedzieć i po dziesięciu latach.
 - Marta wie, że chcesz czekać tak długo?
 - Nie mieszaj w to Marty! – Pogroził palcem siostrze.
 - Fabian to dobry człowiek, rodzice go lubią.
 - Rodzice boją się cokolwiek powiedzieć, bo jesteś wybuchowa i obrażalska.
 - Sam jesteś wybuchowy i obrażalski! – obraziła się Agnieszka.
 - I dziecinna.
 - Spadaj, panie dorosły!
 - Powiedz mi jedno, skoro Fabian jest taki wspaniały, to dlaczego nie przyjechał tu z tobą?
 - Bo jest w pracy.
 - No właśnie.
 - Co no właśnie?
 - Nawet nie jesteście jeszcze małżeństwem, a już się zaczyna.
 - Agnieszka, napijesz się jeszcze herbaty? – przerwała Marta. Słuchając rodzeństwa, czuła się jak piąte koło u wozu. Wołała, aby odbyli tę rozmowę sami. Miała wrażenie, że dowiedziała się już i tak zbyt wielu rzeczy jak na jeden dzień.
 - Co? – Agnieszka spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem. – A, tak, poproszę.
 - Dzięki za zaproszenie na ślub – kontynuowała Marta. – Oczywiście będziemy. Masz przy sobie jakieś zdjęcie Fabiana? Chętnie zobaczę, jak wygląda przyszły szwagier Michała.
- Michał potrząsnął głową z niedowierzaniem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.
- Pewnie – ucieszyła się Agnieszka. – Tu jest w mundurze. To moje ulubione zdjęcie, ustawiłam je sobie jako tapetę. A tu jesteśmy razem, na tle morza. To z ubiegłych wakacji w Łebie.
 - Fajne. Wyglądacie na zgraną parę – skomentowała Marta.
- Michał prychnął z irytacją.

– Masz już suknię ślubną? – Właściwie to nie wiedziała, o co należy pytać świeżo upieczone narzeczone, ale suknia ślubna wydała jej się bezpiecznym tematem.

– No jasne. Takie rzeczy trzeba ogarniać na długo przed ślubem. Tak jak salę i zespół muzyczny.

Udawała zainteresowanie, słuchając szczebiotu Agnieszki na temat problemów z wyborem odpowiedniej kapeli, tortów i kwiatów.

– Cieszę się, że cię poznałam, ale muszę już wracać do siebie – pożegnała Agnieszkę, kiedy zrobiło się późno. – Jutro przede mną ciężki dzień.

– Pójdę z Martą – oznajmił Michał. – Zostawiam mieszkanie do twojej dyspozycji, Aga. Pościel i ręczniki są tam gdzie zawsze. Wrócę rano, zjemy śniadanie i jeszcze pogadamy.

– Masz fajną siostrę – powiedziała do Michała, kiedy wyszli z kamienicy. – Dlaczego nie lubisz tego całego Fabiana?

– To nie jest tak, że go nie lubię. Lubię go. On jest okej. Tyle że nie pasuje do mojej siostry, choć ona jeszcze tego nie widzi.

– Może powinieneś jej pozwolić przekonać się o tym na własnej skórze?

– Wtedy będzie za późno.

– Nigdy nie jest za późno. – Pomyślała o Mikołaju, swoim byłym mężu. Wyszła za niego za mąż wbrew ostrzeżeniom babci i Kamili. Obie miały oczywiście rację. Ale czy byłaby szczęśliwsza, gdyby nigdy się z nim nie związała? Gdyby nie przeżyła bolesnego rozvodu? Pewnie i tak doszłaby do etapu, w którym tkwiła teraz, tyle że okrężną drogą.

– Zresztą pouczanie jej nic ci nie da. Ona robi, co zechce. Efekt będzie taki, że przestanie się do ciebie odzywać.

– Może. Ale nie chcę zarzucać sobie, że niczego nie zrobiłem.

– Zrobiłeś. Możesz już jej odpuścić.

Pokiwał głową, nieprzekonany.

Przez chwilę chciała powiedzieć mu, czego dowiedziała się od Agnieszki. Stchórzyła. Musiałaby spytać go o przyczynę, dla której kilka miesięcy temu wybrał właśnie ją. Bała się odpowiedzi. Co jeśli jedynym powodem były wspólne przeżycia z dzieciństwa? I jak miały one wpłynąć na ich przyszłość? Czy w takiej sytuacji mieli szansę na jakąkolwiek przyszłość? Przecież, co to za związek – dwójki nieszczęśników, których łączy tylko wspólna tragedia?

– Denerwujesz się jutrzejszym dniem? – Źle zinterpretował jej milczenie.

– Jasne. Kto by się nie denerwował.

– Wszystko się uda. Dograliśmy tę akcję w szczegółach.

– Wiem. Ale życie lubi pisać własne scenariusze.

– Na szczęście jesteś dobra w improwizacji.

Przekręciła klucz w drzwiach i weszli do mieszkania.

– Powiedz mi, jak to możliwe, że ty nigdy się nie boisz? – spytała.

– Czego się nie boję?

– Że to wszystko się wyda. Że nas złapią. Że ludzie będą nas osądzać, patrzeć na nas jak na jakieś potwory, niczego nie rozumiejąc.

– „Nie wolno się bać, strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie” – wyrecytował.

Roześmiała się.

– Cytowanie Herberta nic ci nie da. Kiedyś będziesz musiał odpowiedzieć poważnie na moje poważne pytania, wiesz o tym?

– Może tak, może nie. W każdym razie nie dzisiaj. Dzisiaj muszę zrobić inną rzecz, na którą mam ochotę już od wielu godzin. – Przyciągnął ją do siebie, zatrzaskując za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 9

Obudziła się prawie o świcie, o wiele wcześniej, niż było to potrzebne. Zjadła samotnie śniadanie, nie chcąc budzić Michała. Zresztą i tak umówił się z Agnieszką. Ubrała się w zwykłe dżinsy i sweter, nie nałożyła makijażu. Miała spotkać się z sadystami i psychopatami, wolała nie skupiać na sobie ich uwagi bardziej, niż musiała.

– Może jednak powinienem z tobą pojechać? – Michał stanął w drzwiach kuchni, wyglądał na zmartwionego.

– Trochę za późno na takie zmiany, nie uważasz? Poza tym, w czym miałbyś mi pomóc, czekając przed budynkiem? Do środka cię nie wpuszczą...

Wiedział, że miała rację.

– Zadzwoń, jak dojedziesz. – Wręczył jej kluczyki od swojego samochodu.

Dojechała na miejsce po dwóch godzinach. Zaparkowała ulicę dalej i przeszła czterysta metrów piechotą. Dwukrotnie sprawdziła, czy nie zapomniała papierosów. Oczywiście były w torebce, w miejscu, w którym je schowała. W bocznej kieszonce, pod ręką, tam gdzie umieściłaby je każda palaczka. Nic nie powinno wzbudzać podejrzeń. Przed wejściem wysłała esemesa do Michała.

Zgodnie z wytycznymi zaczęła od bloku administracyjnego, do którego wejście przypominało twierdzę. Przeszła przez bramki wyposażone w wykrywacze metalu i pilnowane przez uzbrojonych strażników, potem wypełniła księgę wejść i wyjść, okazując dwa dokumenty tożsamości ze zdjęciem. Wreszcie dotarła do granicy, której nie mogła przekroczyć samodzielnie, kazano jej poczekać na eskortę. Okazał się nią niski blondyn ubrany po cywilnemu. Większość dotychczas spotkanych osób nosiło mundury.

– Witamy w zespole. – Uścisnął jej dłoń na powitanie. – Proszę nie przerażać się tym wszystkim dokoła, to tylko wygląda tak strasznie. Tak naprawdę nasza codzienna praca jest całkiem przewidywalna i nudna. Czasem, oczywiście, zdarzają się stresujące sytuacje i generalnie musimy zachowywać czujność, ale naszym lekarzom jeszcze nigdy nie przydarzyło się tu nic złego.

– Mam nadzieję, że nie próbuje mnie pan pocieszyć? – Uśmiechnęła się do niego.

– Zapewniam, że nie. – Odwzajemnił uśmiech. – Przeprowadzę dla pani wstępne szkolenie dotyczące zasad bezpieczeństwa w budynku i podczas pracy z osadzonymi. Proszę za mną, do tej salki, zapraszam. – Wpuścił ją przodem. – Zanim jednak

zaczniemy – kontynuował, kiedy usiedli przy niewielkim stole – mam dla pani do podpisania umowę, której treść pewnie pani zna, bo przesłaliśmy ją mailem.

– Tak – odpowiedziała, biorąc do ręki długopis.

– Kiedyś mieliśmy własnych lekarzy – zaczął tonem, który brzmiał jak próba usprawiedliwienia się – ale czasy się zmieniły. Lekarzom nie opłaca się pracować tu na etacie. Teraz rządzą kontrakty lub umowy-zlecenia, jak w pani przypadku. – Wskazał ruchem głowy na kartkę, którą właśnie czytała.

Złożyła podpis w trzech miejscach na dwóch egzemplarzach. Blondyn zabrał jeden z nich i schował do czarnej teczki. Zgodziła się przyjeżdżać tu raz w miesiącu, by badać osadzonych pacjentów z przewlekłymi chorobami zakaźnymi.

– No, to formalności mamy za sobą, możemy przejść do konkretów. – Blondyn poklepał teczkę. – Będzie pani doktor pracować głównie w ambulatorium tak zwanego zwykłego oddziału. Większość tam osadzonych to złodzieje. Resocjalizują się, dobrze rokują. Może pani rozmawiać z nimi i badać ich bez asysty strażnika. Oczywiście ktoś zawsze będzie czuwał w pobliżu, gotowy do interwencji, ale są to środki bezpieczeństwa nieco na wyrost. Tak naprawdę ta praca nie będzie się różniła znacząco od pracy w przychodniach, w których pracowała pani do tej pory.

– To po co to szkolenie?

– Mamy jeszcze drugie ambulatorium, o którym rozmawialiśmy przez telefon. Dla więźniów niebezpiecznych, tak zwanych „enek”. Tak naprawdę to więzienie w więzieniu. Przeznaczone dla dzieciobójców, brutalnych gwałcicieli, przywódców zorganizowanych grup przestępczych, płatnych morderców i tak dalej. Tam nie można wejść ot tak sobie. Nawet strażnicy więzienni z oddziału zwykłego muszą mieć specjalne przepustki. Strażnicy na oddziale dla „enek” są starannie rekrutowani. Muszą być wyjątkowo odporni na stres i wszelkie przejawy korupcji. Niektórzy z osadzonych „N” są bajecznie bogaci. Kiedyś osadzony tam szef jednego z podwarszawskich gangów zaoferował strażnikowi pięćset tysięcy za dziesięć minut sam na sam z żoną. Mówię to tylko po to, by wiedziała pani, dlaczego tak dokładnie zostanie pani przeszukana przy wejściu i wyjściu.

– Czy wobec tego będę miała ochronę?

– Oczywiście, że tak. Oddział dla „enek” jest pod ciągłym nadzorem kamer. Jedyne miejsca, gdzie nie mamy kamer, to ambulatorium i pokój przesłuchań. Jednak w obu

miejscach osadzonym zawsze towarzyszą strażnicy.

– Czyli badanie pacjenta będę przeprowadzać w obecności strażnika? – upewniła się.

– Tak. – Blondyn najwyraźniej nie był wtajemniczony w plan pozbycia się Światły. Albo dobrze udawał. – Oni są do tego przyzwyczajeni, proszę się nie martwić.

– Czy dzisiaj będę tam wpuszczona?

– Tak. Mamy jednego pacjenta, który wymaga pani konsultacji. Trzymamy go na „ence”, choć właściwie nie ma statusu przestępcy szczególnie niebezpiecznego. Miał, ale już nie ma. To skomplikowane – podsumował.

– Jak to?

– To pedofil morderca, którego wkrótce musimy wypuścić. Proszę wybaczyć, jest pani cywilem, wolę nie wdawać się w szczegóły. Nie jest to również istotne dla pani pracy. W każdym razie nie jest agresywny w stosunku do funkcjonariuszy ani personelu medycznego. Nie zachowuje się w sposób stanowiący zagrożenie dla innych. Już dawno mógłby być przeniesiony do oddziału zwykłego, ale trzymamy go na „ence” dla jego własnego bezpieczeństwa. Jest objęty szczególną ochroną z uwagi na przestępstwa, jakich się dopuścił. Mordercy dzieci poddawani są samosądom przez innych więźniów, pewnie pani o tym słyszała. Nie przeżyłby tygodnia na zwykłym oddziale.

– No i? Komu by to przeszkadzało? – Nie mogła się powstrzymać.

– Został skazany na więzienie, nie na karę śmierci. Chyba widzi pani różnicę? – spytał blondyn retorycznie. – Płacą nam za to, byśmy rzetelnie wykonywali swoją pracę. Nasze poglądy nie mają znaczenia. Czasem potrafią nawet przeszkadzać. W pani zawodzie jest przecież podobnie. Przyjechała pani pomóc również jemu, choć widzę, że towarzyszą temu refleksje, których wolałbym nie słyszeć – ostrzegł.

– Oczywiście. Już pan nie usłyszysz.

– Proszę również postarać się ukryć niechęć, jeśli oczywiście będzie pani jakąś odczuwać, w co wątpię, bo jest pani profesjonalistką. – Ostatnia część znów zabrzmiała jak ostrzeżenie. – Oni wyczuwają takie rzeczy i je potem wykorzystują. Pierwsze kilka razy może być trudne, potem się pani przyzwyczai. Kamienna twarz, rozmowa tylko na tematy zawodowe. Żadnych dygresji.

– Spróbuję.

– W każdym razie „enka”, którą będzie pani doktor dzisiaj konsultować, jest już na wylocie. Pozostało mu kilka tygodni do końca. Co stanie się po jego wyjściu, tego nie

wiem. – Blondyn zamyślił się przez chwilę. – Często wyjeżdżają za granicę, gdzieś, gdzie nikt ich nie zna. Bywa, że wracają. Recydywa w takich przypadkach jest dla nas szczególnie bolesna, ze zrozumiałych względów...

– Myśli pan, że ten wróci, czy że jednak został zresocjalizowany?

– To psychopata. Oni nie poddają się resocjalizacji.

– To czemu go wypuszczacie?

– *Dura lex, sed lex*. No dobrze, teraz omówię procedury bezpieczeństwa, a potem zaprowadzę panią do ambulatorium na zwykłym oddziale. Kiedy pani skończy, strażnik da mi znać i po panią wrócę. Przejdziemy na „enkę”.

Blondyn nie mylił się. Praca przypominała tę w zwykłej przychodni. Więźniowie w zdecydowanej większości byli uprzejmi i zachowywali się normalnie. Niektórzy wręcz szarmancko, może dlatego, że od dawna nie widzieli żadnej kobiety.

Po kilku godzinach blondyn wrócił i poprowadził ją labiryntem korytarzy do nowo wybudowanej części więzienia, po sufit naszpikowanej elektroniką. Kilukrotnie przechodzili przez kuloodporne śluzy, które blondyn otwierał swoją kartą lub komunikując się zdalnie z niewidzialnymi strażnikami. Przy ostatniej śluzie spędzili kilka minut.

– Dlaczego nikt nas nie wpuszcza? – zdziwiła się Marta.

– Widocznie przemieszczają osadzonego.

– Nie rozumiem...

– Nie da się wejść na „enkę”, jeśli jakiegokolwiek pomieszczenie pozostaje otwarte. Na przykład jeśli strażnicy eskortują więźnia na spaceriak lub z powrotem do celi.

– To „enka” ma własny spaceriak?

– Nawet kilka. Osadzonemu przysługuje godzina spaceru dziennie. Jeśli można nazwać to spacerem...

Drzwi otworzyły się wreszcie i weszli do środka. Towarzyszył im teraz strażnik. Znowu przeszła przez bramki bezpieczeństwa. Oddział pachniał nowością, a z głośników dobiegała cicha, relaksacyjna muzyka.

– Dziwię się, że reszta więźniów nie robi głupich rzeczy, żeby tu trafić – skomentowała. – W takich warunkach można sobie mieszkać...

– To tylko tak wygląda z zewnątrz. Niech pani nie zapomina, że osadzeni przebywają tu głównie w izolatkach. Bywa, że przez cały dzień nie mają do kogo się odezwać.

Wbrew pozorom to bardzo trudne. Poza tym w celach mają zamontowane kamery, wycelowane w nich dzień i noc. Noszą czerwone uniformy. Przy każdym wyjściu z celi i powrocie do niej są dokładnie przeszukiwani. A wie pani, jak wyglądają wspomniane spacerniaki? To zabetonowane placyki, otoczone murami i zabezpieczone od góry kratami. Naprawdę, nie ma czego zazdrościć. Wielu nie wytrzymuje tego psychicznie. No dobrze, jesteśmy na miejscu.

Stanęli przed drzwiami, które strażnik otworzył kartą. Było to niewielkie, ale nowe i czyste ambulatorium. A raczej sterylna sala, pozbawiona zbędnych sprzętów, w której miała zbadać więźnia.

– Nie ma komputera? – zdziwiła się.

– Dokumentację wypełni pani w innej sali. Tutaj przeprowadza pani badanie. Oczywiście w obecności strażnika. Przyjdę po panią, kiedy pani skończy. – Blondyn pożegnał się i zniknął w czeluściach korytarza.

Zgodnie z planem wyjęła z torebki papierosy i włożyła je do bocznej kieszeni fartucha.

Głośne szuranie już z daleka zwiastowało nadejście Światły. Kiedy zjawił się w progu, dostrzegła przyczynę tych odgłosów – ręce i nogi więźnia były skute, ograniczając do minimum możliwość ruchu. W pierwszej chwili pomyślała, że wygląda zupełnie normalnie. Na przeciętnego Kowalskiego, który mówi sąsiadom dzień dobry i przytrzymuje drzwi windy. Dopiero kiedy wszedł do środka i na nią spojrzał, poczuła, że ma do czynienia ze złem w czystej postaci. Gdyby w ambulatorium rosły jakies rośliny, musiałyby w tej chwili zwiędnąć i rozpaść się w pył.

– Dzień dobry – przywitała się pierwsza. – Zapraszam bliżej. Proszę usiąść. – Wskazała ręką plastikowe, obłe i pozbawione jakichkolwiek ostrych elementów krzesło.

– Jest pani nowa – stwierdził Światło. W jego spojrzeniu pojawiło się zainteresowanie. Nie dotyczyło jednak Marty, a paczki papierosów, którą od razu zauważył.

– Tak, na zastępstwo. Marta Wolska. Jestem lekarzem chorób zakaźnych, chciałabym pana zbadać.

– Przy nim? – Ruchem głowy wskazał strażnika przy drzwiach. – Nie ma mowy.

– Józek, nie rób szopki. Zawsze jesteś badany w obecności funkcjonariusza. Jakoś do tej pory ci to nie przeszkadzało – skomentował strażnik.

– Nieprawda. Nie zawsze. Psychiatra bada mnie sam. Zresztą wkrótce wychodzę, a w niebezpiecznych siedzę z innego powodu.

- Ale doktor jest nowa, nie zna wszystkich reguł. Zostaję – uciął strażnik.
- W takim razie ja idę. – Światło podniósł się z krzesła. – Nie zgadzam się na badanie w takich warunkach.
- Chwileczkę. Może zrobimy wyjątek? – Marta spojrzała prosząco na strażnika. – Z tego co wiem, pan Światło nie wykazuje skłonności do agresji. Zresztą jest praktycznie unieruchomiony, a pan będzie zaraz za drzwiami. Krzyknę, jeśli będę pana potrzebować...
- W zasadzie nie powinienem, ale niech będzie. – Strażnik udawał wahanie, aby nie wzbudzać podejrzeń Światły. Tak naprawdę wszystko było zaplanowane i ustawione już wcześniej. – Tylko bez żadnych numerów, Józek – ostrzegł więźnia. – To ci się zupełnie nie opłaca. Skopię ci dupę, jeśli będziesz próbował coś wywinąć.
- Słyszała pani? Groził mi... Będzie pani świadkiem.
- Niech pan siada – poleciła. Strażnik wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. – Czytałam pana historię choroby. Jest pan zakażony wirusem HBV od co najmniej dwudziestu lat, tak?
- Czytała pani moją historię? Zatem wie pani, dlaczego tu siedzę?
- Tak, ale to nie ma nic do rzeczy. Jestem tu z powodu przewlekłego wirusowego zapalenia wątroby typu B, a nie z powodu tego, co pan zrobił.
- Czy wie pani, że lekarz powinien podchodzić do pacjenta holistycznie? – zauważył refleksyjnie. – Tak mi kiedyś jeden mądry internista powiedział. Zapamiętałem to słowo. Ładne, prawda? Tymczasem pani chce leczyć każdą moją dolegliwość oddzielnie. Czy tego uczą teraz na studiach medycznych?
- Nie wiem, czego teraz uczą. Studia skończyłam już dawno.
- O, a nie wygląda pani. Tym gorzej. Doświadczony lekarz powinien wiedzieć, jak słuchać pacjentów. Powinien to umieć.
- Ależ ja pana słucham. Tylko pan nie chce mówić. Spytałam o zakażenie HBV, o to, jak długo pan o nim wie.
- Światło zamyślił się przez chwilę.
- Powinna pani raczej spytać, jak się zaraziłem.
- No dobrze, jak się pan zaraził?
- Wie pani, pochodzę ze Śląska. Mój ojciec był górnikiem. Umarł, gdy miałem trzy lata. Wybuch gazu w sztolni... nie byłem z nim jakoś szczególnie zżyty, ale ojciec to

ojciec. Lepiej, żeby był, prawda? Pani kocha swojego ojca? – spytał nieoczekiwanie.

Drgnęła. Przełknęła ślinę, żeby zachować spokój, ale spóźniła się o sekundę. Światło czytał jej emocje jak książkę. Widziała to w jego spojrzeniu.

– Proszę pana, jesteśmy tu z pana powodu i wołałabym, żeby ta rozmowa dotyczyła wyłącznie pana i pana problemów z zakażeniem HBV.

– Tak, ojciec jest bardzo ważny... – kontynuował, nie przestając się w nią wpatrywać.
– Ja swojego straciłem tak wcześnie... Do tej pory za nim tęsknię. Często zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby wtedy nie zginął... Może byłbym normalny, może miałbym rodzinę, dzieci, pracował teraz w jakimś fajnym miejscu, ferie zimowe planował... A tak... – Pstryknął palcami. – Matka związała się z innym chłopem parę miesięcy po śmierci ojca. Wzięcie duże miała, bo kopalnia kasę z odszkodowania jej wypłaciła. Część dla mnie miała być. Ale ten jej nowy gach to szybko sobie z tą forszą poradził. Wszystko przepił i w karty przegrał. Moją dolę też. Nienawidził mnie, nazywał niedojdą. Ciągle bił mnie i kopał, aż któregoś dnia przesadził i do szpitala trafiłem. Niewiele pamiętam, i dobrze. Mówili, że ledwie z tego wyszedłem. Już mnie z powrotem do matki nie dali. Do sierocińca trafiłem, takiego przez siostry zakonne prowadzonego...

Światło urwał i wpatrzył się w ścianę przed sobą. Nie ponaglała go. Mogła spędzić z nim tyle czasu, ile było trzeba. Przyszła tu tylko dla niego.

– Na początku dobrze się tam czułem. Z dziećmi się dogadywałem, siostry były surowe, ale sprawiedliwe. No i świetnie gotowały. – Uśmiechnął się. – Wszystko się zmieniło po jakichś dwóch latach. – Zastukał palcami o blat stołu. – Przyszedł nowy wychowawca. Taki młody, sympatyczny. Cukierki nam kupował, na wycieczki zabierał. Kiedyś pojechaliśmy z nim do Zakopanego, ja i Maciek, taki kolega. Chyba sześć albo siedem lat wtedy mieliśmy. Nocowaliśmy pod namiotem. Maciek już pierwszego dnia się czymś zatruł i został w szpitalu na noc, na obserwacji. Tylko ja z wychowawcą na noc w namiocie zostałem. Jak tylko się położyliśmy, ściągnął spodnie i włożył mi swego fiuta w gębę... To było pierwszy raz wtedy, a potem przez tyle lat... – Światło zakrył twarz rękami. – Ciężko mi o tym wszystkim mówić. Zdenerwowałem się bardzo. Da pani papierosa, bo bez tego nic więcej nie powiem.

– Przecież pan wie, że to wbrew regulaminowi. – Odruchowo poprawiła w kieszeni paczkę. – Nie mogę tego zrobić.

– Roztrzęsiony jestem przez panią, to pani kazała mi mówić o tych wszystkich strasznych rzeczach... A teraz nawet papierosa mi pani żałuje...

– Nie wolno mi tego zrobić, niech pan nie nalega.

– Nie wolno, nie wolno. Wnosić ich też tutaj nie wolno. Na pokuszenie tylko. Bez strażnika siedzieć też nie wolno. A jednak go tu nie ma. Wiele rzeczy nie wolno, a się robi. Nic się pani nie stanie, jak da mi pani jednego. Przy oknie zapalę, nikt nie zobaczy. Na ostatnim piętrze jesteśmy.

Udała wahanie.

– Proszę, bardzo panią proszę! Już tylko one mi zostały, a te dranie mi nie pozwalają. Widzi pani, ile przeszedłem w życiu. Tak mnie skrzywdzili...

– No dobrze – uległa. – Ale jak pan zapali, to odpowie pan na wszystkie moje pytania? Konkretnie i na temat? I pozwoli się pan zbadać?

– Ma pani to jak w banku. Teraz muszę tylko się uspokoić, widzi pani, jak mi się ręce trzęsą. – Wyciągnął dłonie przed siebie.

– Ale stanie pan tuż przy kracie. I będzie pan wydychał na zewnątrz – upewniła się. – Nie chcę mieć przez pana problemów, jeśli strażnik poczuje dym.

– Wiadomo!

Poczęstowała go papierosem i odpaliła ogień zapalniczką. Której również nie wolno jej było wnosić do środka. Odsunęła się od niego i w milczeniu patrzyła, jak posłusznie dmucha w kraty.

W pewnym sensie był fascynujący. Nigdy wcześniej nie spotkała tak wybornego kłamcy. Doskonale wiedziała, że wychowywał się w dużej, pełnej rodzinie i nie był maltretowany. Wprost przeciwnie, to on od najmłodszych lat torturował innych. Zaczynał od zwierząt. Po raz pierwszy trafił do psychiatry, kiedy udusił kota swojej siostry. Nigdy nie przebywał w żadnym sierocińcu i nie był molestowany przez żadnego wychowawcę, a jego ojciec pracował na poczcie, nie w kopalni.

Światło rozkoszował się każdym wdechem. Nic dziwnego, był uzależniony od nikotyny, a od kilku dni trzymano go na głodzie. Jeśli Marek nie zawałił roboty, to spory wąglika przenikały właśnie do pęcherzyków płucnych więźnia. Panująca wewnątrz jego ciała temperatura była idealna dla przetrwalników, by rozpocząć kiełkowanie. Część z nich skończy w makrofagach, ale reszta przetrwa i rozpocznie swoją wędrówkę naczyniami limfatycznymi do śródpiersia. Wiedziała, że choroba może rozwinąć się

nawet po dwóch miesiącach, ale przy tym stężeniu spor, jakie zaaplikował Marek, spodziewali się objawów już po kilku dniach. Bakterie zaczną namnażać się, wytwarzając toksynę, a ta spowoduje obrzęki, krwotoki i martwicę. Ale dopiero na samym końcu. Końcu, który miał dla Światły nadejść nieuchronnie: śmiertelność w postaci płucnej wąglika sięgała 95%.

Objawy pierwszej fazy zakażenia będą przypominać zwykłe przeziębienie lub grype: ból gardła, gorączka, osłabienie, bóle mięśniowe, kaszel. Nic niezwykłego. Dolegliwości, których każdy mieszkaniec klimatycznej strefy umiarkowanej teoretycznie może doświadczać nawet kilka razy w roku, a już na pewno w listopadzie. Podanie antybiotyku w tej fazie mogłoby uratować Światłę. Tyle że przy przeziębieniu nie podaje się antybiotyków, prawda?

Faza druga przebiega bardzo gwałtownie, w postaci duszności, objawów wstrząsu i zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych. Na tym etapie antybiotyki nie zadziałają, bo w organizmie Światły nie będzie już bakterii – zgon nastąpi w wyniku działania toksyny. A tej w trakcie autopsji nikt nie znajdzie, ponieważ nie będzie jej szukać. Bo i po co? Niby w jaki sposób więzień „enki” miałby zarazić się śmiertelnie niebezpieczną bakterią?

Śmierć Światły uznana zostanie za naturalne powikłanie zapalenia płuc. W jego wieku nie jest to wcale taka rzadkość. Nikt nie będzie dociekał szczegółów, wszyscy odetchną z ulgą.

– Peta niech pan wrzuci tutaj. – Otworzyła pusty plastikowy pojemnik po miętówkach, kiedy skończył palić. – Jeśli ktoś go znajdzie, narobi mi pan masę problemów.

Światło wydawał się zrelaksowany i bez oporów spełnił jej polecenie. Tak jak obiecał, nie robił dalszych problemów. Okazało się, że potrafi odpowiadać na zadane pytania i współpracować przy badaniu fizykalnym.

– Da mi pani jeszcze jednego papierosa?

Zaskoczył ją. Zbliżali się właśnie do końca konsultacji.

– Słucham?

– Jeszcze jednego mi pani da? Proszę...

– Oczywiście, że nie. Wykluczone!

Uzgodniła z Michałem, że papieros będzie tylko jeden. Przy kolejnych rosło ryzyko, że Światło zwróci na siebie uwagę kogoś, kto nie był częścią planu.

– Jest pani dobrym człowiekiem, przecież to widać. Proszę mnie nie traktować jak śmiecia. Przecież odpokutowałem za to, co zrobiłem. – Jego jaszczurza twarz pełna była emocji, których tak naprawdę nie odczuwał. – Tyle zła mnie w życiu spotkało... Bez ojca się wychowywałem... Tak za nim tęskniłem... Jednego szluga, ostatniego, proszę!

– Nie mogę, niech pan mnie zrozumie... To zabronione...

– Zabronione? – Zrzucił maskę i znów patrzył na nią zimnymi jak lód oczami. – A ten pierwszy papieros nie był zabroniony? Chyba nie chce pani, żebym o nim komuś powiedział?

– Próbuje mnie pan szantażować?

– Nie. Mówię tylko, że lepiej mieć we mnie przyjaciela niż wroga. Zwłaszcza że za kilka miesięcy wychodzę na wolność...

Budził w niej obrzydzenie. Wołała, żeby zszedł z tego świata wcześniej niż później. Najwyżej coś wymyśli, jeśli ktoś zauważy go przy oknie.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale proszę zrobić to szybko. Naprawdę mogę mieć przez pana kłopoty...

Usłuchał. W pośpiechu zaciągał się teraz z twarzą przy kracie. Widocznie uznał, że nagłe wejście strażnika może skrócić mu tę przyjemność i dla własnej korzyści podjął walkę z czasem. Kiedy skończył, powachlował dłońmi, wygarniając na zewnątrz resztki niewidocznego dymu, a potem, już z własnej inicjatywy, wrzucił peta do plastikowego pudełka.

– Niech się pani nie martwi, nic nikomu nie powiem. Równa z pani babka. Przepraszam za to, co powiedziałem. To z nerwów było. Zawsze tak mam, kiedy ojca wspominam.

Uśmiechnęła się blado i zawołała strażnika, który z kamienną twarzą wyprowadził drobiącego Światłę z powrotem do celi. Ciekawe, ile wiedział. Znając sposób działania Michała, raczej niewiele. A w jaki sposób udało się go przekonać do złamania regulaminu? To pewnie na zawsze pozostanie dla niej tajemnicą.

Kiedy wychodziła, przez kraty spacerniaka zobaczyła kilku więźniów, których badała wcześniej. Pomachali do niej przyjaźnie. Odmachała i ruszyła w kierunku zaparkowanego samochodu. Wsiadła do środka i zadzwoniła do Michała.

– Jak było? – spytał lekko zaniepokojony.

– Wszystko zgodnie z planem. Wracam do domu, będę za dwie godziny. Zamów jakąś pizzę, powiedzmy za półtorej godziny, jak będę już w mieście. Jestem głodna jak wilk. Zawsze tak mam, kiedy umiera ktoś, kto na to zasłużył.

ROZDZIAŁ 10

Droga mijała im przyjemnie. Silnik granatowego mercedesa Kamili pracował cicho, nie zagłuszając piosenek śpiewanych z tylnego siedzenia przez Weronikę. Kiedy dziewczynka usnęła, Kamila włączyła radio. Leciał ich ulubiony jesienny utwór.

– Kochany, kochaaaany, lecą z nieba jak listy kasztaaaany – zafałszowały obie chórem.

– A wiesz, że słowa są inne? – spytała Marta.

– Serio? Niemożliwe. Zawsze tak śpiewałyśmy.

– Wiem, ale okazuje się, że śpiewałyśmy źle. Posłuchaj. – Marta podkreśliła dźwięk radia i Natasza Zylska zademonstrowała im, jak naprawdę powinien brzmieć refren.

– Hm. Nasze słowa są ładniejsze – skomentowała Kamila.

– Może. Ale nie mają za wiele sensu.

– Nie muszą. To poezja – upierała się przy swoim Kamila. Kiedy Zylska po raz kolejny zaczęła zawodzić „Kochany”, Kamila zagłuszyła ją swoją wersją tekstu.

– Po co tak naprawdę jedziemy do Białegostoku? – Marta zmieniła temat.

– Mówiłam ci, pozwiedzać Podlasie.

– W listopadzie? Serio?

– Listopad jest lepszy niż grudzień. Przynajmniej droga nie jest oblodzona.

– Ale jest zimno. I nie ma słońca. I pada. Nie wolałaś poczekać do wiosny?

– Kto wie, co będziemy robić na wiosnę? Może wtedy ty nie będziesz mieć czasu.

Może ja. A teraz obie mamy. Trzeba korzystać z okazji.

– Coś knujesz, czuję to.

– Zaraz tam knuję. Ale fakt, nie powiedziałam ci wszystkiego. Wracam do pracy.

– Serio?

– Tak. Cezary kupił hotel nad Zegrzem. Trzeba go wyremontować i wyposażyć. Będę za to odpowiedzialna. Za kilka miesięcy zostanę dyrektorem, wyobrażasz to sobie?

Marta pierwszy raz w życiu pomyślała z uznaniem o szwagrze. Po sobotnim obiedzie w „Elżbietówce” odbyła z nim długą rozmowę telefoniczną. Oboje byli zdania, że Kamila powinna pracować. Że muszą wyrwać ją z domu i ze szponów Lenory.

– Tylko jak mam to zrobić? Ona nie chce pracować. Mówiłem ci, że zaproponowałem jej biuro prawne mojej firmy. Nawet nie chciała o tym słyszeć. Werner też do niej dzwonił. Prosił, żeby wróciła. Odmówiła.

– Ona nie cierpiała pracy u Wenera. No i jakoś nie mogę jej sobie wyobrazić ślęczącej nad twoimi podatkami czy dzwoniącej po klientach, którzy zalegają z płatnościami.

– To co w takim razie? Nie mam pomysłu.

– A coś kreatywnego? Uwielbia projektować wnętrza.

– Marta, skąd ja jej niby mam wziąć wnętrza do projektowania? Widziałaś budynek mojej firmy? Szkło, aluminium i szare wykładziny. My tam pracujemy. Nie potrzebujemy arrasów na ścianach.

– Wymyśl coś. To ty jesteś jej mężem. Tylko tak, żeby się nie zorientowała. Nie zgodzi się na żadną jałmużnę.

No i wymyślił. Punkt dla niego.

– Ty dyrektorem hotelu? Poważnie? Przecież nie masz o tym pojęcia – droczyła się z siostrą.

– Nie jedynym. Będę miała zastępcę z doświadczeniem. Nauczy mnie wszystkiego. To fajna branża. Lubię pracować z ludźmi, lubię rozwiązywać problemy...

– Lubisz robić zakupy – odpowiedziała Marta.

– Żebyś wiedziała. A tam trzeba będzie wszystko urządzić na nowo. Mam nawet pomysł jak. Chcę z tego zrobić eleganckie miejsce. Takie, do którego jeździ się na romantyczny weekend. Albo luksusowe spotkanie biznesowe. Wiesz, porcelanowa zastawa, prawdziwe obrazy na ścianach, żadne badziewne reprodukcje... – rozmarzyła się Kamila.

– Żeby ci tylko kasy starczyło na tych wszystkich picassów.

– Właśnie robimy biznesplan. Zrobię tak, żeby zmieścić się w budżecie.

– Ty się nigdy nie mieścisz w żadnym budżecie.

– No dobra, fakt – zgodziła się siostra. – To zrobię tak, żeby za bardzo go nie przekroczyć. Wiesz – dodała po chwili – w styczniu wybieram się do Włoch, po tę hotelową porcelanę. Nie chciałabyś pojechać ze mną?

– To w Polsce nie mamy porcelany?

– Mamy, ale porcelana z Włoch brzmi bardziej elegancko. To jak, pojedziesz?

– Kamila, nie znam się na porcelanie.

– Nie musisz. Chcę tylko, żebyś ze mną pojechała, tak dla towarzystwa.

– Nie wiem, zobaczę. Pomyślę. Może tak.

– Dzięki.

Przez chwilę jechały w milczeniu.

– Mamo, ja nie chcę tej piosenki, puść mi moją płytę – oznajmił zaspany głos z tyłu.

Kiedy Kamila majstrowała przy przyciskach odtwarzacza, wyminął ich radiowóz. Jeden z policjantów dawał znać machaniem, by zjechały na pobocze.

– Szlag. Tylko tego brakowało. Co znowu? – jęknęła Kamila, ale posłusznie zatrzymała samochód na skraju drogi, tuż za radiowozem.

– Czy wie pani, dlaczego panią zatrzymaliśmy? – spytał groźnym głosem policjant, kiedy zajrzał przez otwarte okno do wnętrza mercedesa.

– Ojej, nie mam pojęcia, co mogłam zrobić nie tak. – Kamila załamała ręce, robiąc minę numer cztery, zarezerwowaną na takie okazje.

– Zapomniała pani włączyć światła mijania. – Głos policjanta nie był już tak surowy.

– Napraaaawdę? – Kamila zatrzepotała rzesami. – Zupełnie nie wiem, jak to się stało. Oczywiście, już włączam.

– Wie pani, że za brak świateł grozi mandat i punkty karne?

– Ale ja przecież nie zrobiłam tego specjalnie – zaprotestowała głosem Kaliny Jędrusik.

– Rozumiem, ale ja muszę w takiej sytuacji pouczyć kierowcę. Poproszę pani dokumenty – oznajmił już zupełnie rozbrojony. Wszystko szło w dobrym dla Kamili kierunku.

– Mamo, mamo, uciekajmy, to nie jest prawdziwy policjant! – krzyknęła nagle Weronika.

– Kochanie, bądź cicho, daj panu policjantowi pracować.

– Ale mamo, przecież mówię, że to nie jest prawdziwy policjant! Uciekajmy!

– Dlaczego uważasz, że nie jestem prawdziwym policjantem? – zainteresował się policjant.

– Bo prawdziwy policjant nie mógłby być taki gruby! Jak miałby łapać przestępców?

Piętnaście minut później i dwadzieścia kilometrów dalej, Kamila zasygnalizowała skręt w prawo. Siła odśrodkowa przesunęła rzucony na deskę rozdzielczą zmięty w kulkę stuzłotowy mandat. Dojeżdżały do hotelu.

Hotel położony był w małej, malowniczej miejscowości niedaleko Białegostoku. Kamila nie chciała nocować w mieście. Po wejściu do lobby Marta wiedziała już, że hotel się jej spodoba. Recepcja była ogromna, urządzona w dobrym guście i lśniła

nowością. Dobrze wróżyło to reszcie obiektu. Faktycznie, pokoje również okazały się przestronne i ładne. Po rozpakowaniu walizek zjadły smaczny posiłek w przeszklonej restauracji, stylizowanej na oranżerię.

– Na kilka godzin zostawię cię pod opieką tej miłej pani, dobrze? – Kamila pogłaskała Weronikę po głowie. Hotelowa animatorka uśmiechnęła się sztucznie i pomachała pieskiem z baloników. Zachęcona Weronika pobiegła w stronę innych dzieci, czekających na wejście do dmuchanego zamku.

– Dlaczego chcesz ją tu zostawić? – spytała Marta. – Myślałam, że jedziemy na wspólne zwiedzanie.

– Jutro. Dzisiaj mamy coś do załatwienia tylko we dwie. Chodź. – Pociągnęła Martę w stronę hotelowego garażu.

– Wiedziałam, że coś kombinujesz. I miałam rację. – Marta pogroziła Kamili palcem, gdy mercedes ruszył. – Gadaj, o co chodzi.

– Jeszcze nie. Boję się, że jeśli ci powiem, wysiądziesz z samochodu.

– Wsiądę, jeśli mi natychmiast nie powiesz.

– No dobrze. Ale obiecaj, że nie będziesz na mnie krzyczeć.

– Krzyczeć? Ja cię zastrzelę. Gadaj!

– Jedziemy do szeptuchy.

– Gdzie???

– Szeptucha to taka...

– Wiem, kim jest szeptucha. Wyłumacz mi, po co tam jedziemy.

– Bo bardzo chcę mieć drugie dziecko, a nie mogę.

Marta z niedowierzaniem pokręciła głową.

– A nie możesz iść do ginekologa zamiast do baby-jagi?

– Myślisz, że nie byłam u ginekologa? Żeby to u jednego. Nawet nie pamiętam, ilu mnie konsultowało. Ale żaden nie potrafił mi pomóc. Wszyscy mówili to samo. Że wszystko z nami w porządku. Ze mną i Cezarym.

– Czasami takie rzeczy wymagają czasu...

– Jak długo? Rok? Dwa? Dziesięć?

– Nie wiem, różnie to bywa. Ale skąd pomysł, żeby jechać do szeptuchy?

– Medycyna zachodnia mnie zawiodła. Czas na metody niekonwencjonalne.

Wjechały w żwirową drogę. Była mokra i koła samochodu zapadały się nieco w podłoże, przechylając go na boki. Po obu stronach drogi stały domy, ale Kamila jechała dalej. Zatrzymała się dopiero przed drewnianą chatą stojącą samotnie na końcu, pod samym lasem. Zgasła silnik.

– To tutaj – oznajmiła, choć było to oczywiste.

– Jakim cudem trafiłaś na ten koniec świata? – Marta wyszła z samochodu, rozprostowała kości i rozejrzała się po okolicy.

– Współrzędne GPS. Szeptucha podaje je na swojej stronie internetowej.

– To ona ma stronę?

– Teraz wszyscy mają swoje strony. Pewnie jakiś wnuczek jej zrobił.

Oceniły chatę z pewnej odległości. Wyglądała współcześnie i normalnie. Nie miała kurzej stopki.

– Skąd ty w ogóle wytrzasnęłaś tę szeptuchę? – spytała Marta, nieufnie przyglądając się czarnemu kotu, który nagle zjawił się nie wiadomo skąd.

– Lenka mi o niej powiedziała. Też u niej była. Pomogła na jej krwotoki z nosa.

– Lenora? Zamiast jeździć po szeptuchach, powinna przestać koks wciągać. Bo inaczej krwotoki wrócą.

– Uważasz, że Lenka przyjmuje kokainę? – zainteresowała się Kamila. – Skąd wiesz?

– Bo wiem. Lata praktyki na oddziale zamkniętym. Popatrzę na człowieka i już wiem, co brał. Testy robię im tylko po to, żeby móc to wpisać do dokumentacji. Mam węża jak labrador.

– Interesujące – zamyśliła się Kamila. Podeszła do pomalowanych na biało drzwi i zapukała. Otworzyła blondynka, mniej więcej trzydziestoletnia.

– Tak? – spytała, lustrując siostry wzrokiem. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, my do babki Myszkowej, po pomoc.

– Dzień dobry. To ja. Zapraszam do środka. – Kobieta zrobiła im miejsce w progu. Ze środka chaty przyjemnie powiało ciepłem i zapachem suszonych ziół.

– To pani? – spytała podejrzliwie Kamila.

– Owszem, ja. Dziwi to panią?

– W sumie trochę tak.

– Spodziewała się pani kogoś innego?

– No, jeśli mam być szczerą, to myślałam, że będzie pani starsza. Taka koścista starowinka z chustką na głowie. I że będzie pani mówić jakąś gwara.

– Spóźniła się pani jakieś dwadzieścia lat. – Uśmiechnęła się szeptucha. – Teraz wyglądamy i mówimy wspólnie. No, wejdźcie wreszcie do środka, bo ciągnie niemiłosiernie.

Obie natychmiast skorzystały z ponownego zaproszenia, bo zimno faktycznie dawało się we znaki. Chata była znacznie przestronniejsza, niż mogło się wydawać z zewnątrz. Stały teraz w progu, rozglądając się niepewnie dookoła. „Babka” Myszkowa oparła się o stary piec, bez słowa przyglądając się gościom.

– Trudno będzie – oznajmiła wreszcie, wpatrując się w Martę.

– Słucham? – spytała Marta.

– Mówię, że trudno będzie. Naprawić pani szyszynkę. Ledwie zipie.

– Moja szyszynka?

– No, przecież mówię.

– Ale mojej siostrze nic nie jest. To ja przyszedłam po pomoc – wtrąciła się nieśmiało Kamila.

– Taaak? – zdziwiła się szeptucha. – Hm. – Podeszła do Kamili i pogładziła ją po policzku. – Bardzo chcesz czegoś, co nie nadchodzi. Ale nadejdzie. Potrzeba tylko trochę cierpliwości.

– A nie może pani zrobić tak, żeby jednak przyszło teraz?

– Lepiej poczekać – uparła się szeptucha.

– Ale ja nie chcę czekać, chcę już! Wszyscy każą mi czekać. Myślałam, że pani mi pomoże.

– Mogę pomóc, ale ma to swoją cenę.

– Mam pieniądze, zapłacę, ile pani zażąda.

– Nie mówię o pieniądzach. Otrzymasz, po co przyszedłaś, ale coś zostanie ci zabrane. Jesteś na to gotowa?

– Co zostanie zabrane? – Kamila nie zrozumiała.

– Tego nie wiem. Nie mnie o tym decydować. Coś za coś. Tak to działa.

– Wszystko mi jedno. Chcę mieć dziecko. Proszę mi pomóc!

– Pomogę. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam!

Marta z podziwem pomyślała o umiejętnościach aktorskich szeptuchy. Mogłaby się od niej sporo nauczyć. Ale wzmianka o szyszynce była zdumiewająca. Kobieta trafiła bezbłędnie i to bez wykonywania żadnych badań. Po latach dyżurów i zarywania nocy w „Błęńskiej” szyszynka Marty faktycznie ledwie zipała.

Tymczasem szeptucha rozpoczęła przedstawienie. Kazała Kamili uklęknąć przed małą ikoną w złotej ramie. Potem zapaliła gromnicę. Następnie posadziła siostrę na krześle, stanęła za nią, położyła ręce na jej głowie i zaczęła niezrozumiale odmawiać coś, co brzmiało jak mantra lub modlitwa. Kiedy skończyła, podeszła do pieca, odkroiła kromkę chleba z bochenka, podzieliła ją na siedem części, po czym wręczyła je Kamili.

– Przez tydzień każdego wieczora odmawiaj Ojcze nasz, tylko na klęczkach, a potem zjedz kawałek chleba.

– I to wszystko?

– Nie. Jeszcze najważniejsza rzecz. Ten sekret, który głęboko ukrywasz. To on wędruje po twoim ciele i powoduje problemy. Pozbądź się go.

– Jaki sekret?

– Nie wiesz jaki?

– Nie. Chyba nie.

Szeptucha spojrzała na Kamilę z powątpiewaniem. Podeszła do pieca, zdjęła z półki małe pudełko, przesyłała część jego zawartości do lnianego woreczka i wręczyła go Kamili.

– Pij to po przebudzeniu. Zrozumiesz, o jaki sekret chodzi. Teraz ty – ponownie zwróciła się do Marty. – Trzeba zrobić coś z twoją szyszynką. Nie mogę wypuścić cię w takim stanie.

– Niech się pani nie martwi. Teraz jest dobrze. Musiałaby pani widzieć moją szyszynkę pół roku temu – próbowała zażartować Marta. – Chodź, Kamila, widzę, że już skończyłyście. – Popchnęła siostrę w stronę drzwi.

– Poczekajcie. Proszę, to dla ciebie. – Szeptucha wręczyła Marcie jakieś zawiniątko, które wyjęła z kieszeni. – Noś to przy sobie. A wieczorem wkładaj pod poduszkę.

– Ale ja nie wierzę w takie rzeczy. Więc dziękuję, ale nie chcę. Proszę to dać komuś innemu. – Marta próbowała zwrócić zawiniątko, ale szeptucha nie chciała nawet o tym słyszeć.

Wolska wyszła pierwsza, niosąc zawiniątko jak zgniłe jajo. Jej siostra została w środku nieco dłużej, aby wręczyć szeptusze kopertę z „wyrazami wdzięczności”.

– To było dziwne, prawda? – spytała Kamila, kiedy siedziały już w samochodzie.

– Skąd? Wszystko przebiegło bardzo naturalnie.

– Mówisz poważnie?

– Nie, Kamila. To był jakiś *freak show*! Co ci przyszło do głowy, żeby mnie w to wplątać?! Czemu nic nie powiedziałaś?!

– Nie krzycz. Przecież nigdy nie zgodziłabyś się tu ze mną przyjechać, gdybym powiedziała ci prawdę.

– Ale do czego ja ci byłam tu potrzebna? Nie mogłaś wziąć ze sobą Lenory? Jest wystarczająco stuknięta. Poza tym skąd pomysł, żeby w ogóle tu przyjeżdżać? Nie mogłaś o tym ze mną pogadać? Jestem lekarzem, mogłabym ci pomóc. Znam dobre kliniki leczenia niepłodności. Skontaktowałabym cię z kim trzeba.

– Próbowałam działać konwencjonalnie. Kliniki leczenia niepłodności też zaliczyłam. Byłam nawet u tego słynnego doktora, co potrafił wszystko leczyć. Mrozka.

Marta przewróciła oczami.

– Kamila, Mrozek to szarlatan. On niczego nie leczył. Trzeba było mnie spytać.

– Są tacy, którzy twierdzą inaczej – obraziła się Kamila. – No, w każdym razie mi faktycznie nie pomógł – przyznała niechętnie. – Potem dowiedziałam się z sieci, co się z nim stało... Straszna historia. Akurat on wyglądał na porządnego faceta. Lubiłam go. Wiesz co, to trochę dziwne, ale byłam też u tego drugiego, zapomniałam nazwiska, którego też zamordowali. Jak on się nazywał...

– Kruk? – podpowiedziała Marta.

– Nie, jakoś inaczej. Tak śmiesznie. Trąbka. Tak, Trąbka.

– To Trąbkę też zamordowali? – spytała zdziwiona Marta. Trąbka był „ekspertem” od biorezonansu, którym „leczył” także nowotwory. Pisał też książki o wpływie księżyca na skuteczność terapii przeciw pasożytniczych. A więc trzecia ofiara... Michał nic jej nie powiedział, typowe dla niego. Najpierw angażuje ją w sprawę, prosi o pomoc, a potem zupełnie o niej zapomina, kiedy pojawiają się nowe trupy.

– Tak. Co za historia? Odwiedzam jednego, za chwilę zabity. Odwiedzam drugiego, to samo. Chociaż muszę powiedzieć, że tego Trąbkę to sama miałam ochotę zamordować. Cham nie z tej ziemi. Na dodatek próbował się do mnie dobierać.

– Cooo?

– Serio. Kazał mi ścisnąć w dłoniach jakieś metalowe końcówki, nie wypuszczać ich, a w tym czasie próbował obmacywać mi cycki. Jak zaczęłam krzyczeć, to wciskał jakiś kit o patologicznych drganiach, które rzekomo wytwarzałam i które on musiał rezonować.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Nie było o czym. Dostał ode mnie z liścia i więcej go już nie widziałam. A teraz... tym bardziej go już nie zobaczę.

– Po co w ogóle poszłaś do tego oszusta?

– Słyszałam, że biorezonans jest dobry na wszystko. Na problemy z zajściem w ciążę też.

– Mogłaś mnie spytać. Coś takiego jak biorezonans w ogóle nie istnieje. To kompletna bzdura wymyślona, żeby wyłudzać kasę od takich naiwniaków jak ty. Na dodatek ma nazwę łudząco podobną do rezonansu magnetycznego, badania, które jest prawdziwe. Niektórzy się nabierają.

– Co robisz?! – krzyknęła nagle Kamila.

Ręka Marty zawisła nieruchomo za oknem.

– Wyrzucam prezent od szeptuchy. Ciarki mnie od niego przechodzą.

– Zwariowałaś? Oddawaj!

Marta zasunęła szybę i wręczyła zawiniątko Kamili. Siostra przyłożyła je do nosa i powąchała.

– Ładnie pachnie. To jakieś zioła. Jeśli ty ich nie chcesz, to ja je wezmę. Mam problemy ze snem, mogą się przydać.

Wjechały do podziemnego garażu. Kamila zaparkowała samochód na tym samym miejscu, co poprzednio. Najwyraźniej w hotelu nie było wielu gości. W zasadzie nic dziwnego, w listopadzie podróżowali tylko ci, co musieli. I zdesperowane żony bogatych mężów.

– Co taka cicha nagle się zrobiłaś? – spytała Kamila.

– Bo myślę. Masz rację, to wszystko jest dziwne.

Czy powinna zadzwonić do Michała i powiedzieć mu o Trąbce? Może Kamila nie była jedyna, może molestował też inne swoje pacjentki? I może był to powód, dla którego ktoś go załatwił?

– Słuchaj, nie chciałabyś pojechać do Białegostoku i zjeść kolacji w jakiejś miłej knajpce na mieście? – zaproponowała Kamila.

– Pewnie, czemu nie, świetny pomysł. – Tak naprawdę Marcie nie chciało się już nigdzie jeździć, ale postanowiła być dla siostry miła i we wszystkim się z nią zgadzać.

– To przyprowadzę Weronikę i możemy ruszać.

– Dobrze, poczekam na was w lobby.

Hotel może i był turystycznym molochem, ale takim w eleganckim wydaniu. Miał ogromną, nowoczesną recepcję, w której stylowo porozmieszczano welurowe meble oraz cięte kwiaty w złotych wazonach. Nie wyglądał na miejsce przyjazne dzieciom, ale musiał taki być, skoro posiadał animatorkę i salę zabaw. O tej porze roku nie był pełny, ale wbrew temu, co myślała Marta, wcale nie świecił pustkami. Co pewien czas przez lobby przechodzili ludzie, najczęściej w parach, a hotelowa winda wybrzmiewała swój krótki dzingiel. Marta zajęła jeden z ogromnych foteli w kolorze butelkowej zieleni, stojących blisko recepcji. Zanurzyła się w morzu miękkiego weluru i przymknęła oczy. Miała ochotę się zdrzemnąć.

Do recepcji weszły dwie bardzo podobnie ubrane kobiety. Każda z nich miała na sobie różową puchówkę, różowe spodnie ze srebrnymi lampasami, różową czapkę z daszkiem i włochate buty, które wyglądały jak uszyte ze skóry mamuta. W rękach trzymały torby podróżne ze znanym logo, a twarze obu pokrywał mocny makijaż. Różniły się tylko kolorem włosów – kruczoczarny kontra biały blond. Blondyna żuła gumę i mrugała rzęsami, długimi jak u wielbłąda.

Podeszły do recepcji, wymieniając uprzejmości z pracującym tam młodym chłopakiem. Kruczoczarna wyjęła z torebki dowód osobisty i wręczyła go recepcjoniście.

– Ile dób? – spytał chłopak.

– Tylko ja i koleżanka – odpowiedziała bez zastanowienia blondyna.

Dźwięk windy zaanonsował Kamilę. Praktycznie wlokła za sobą naburmuszoną Weronikę. Marta pomachała im z fotela.

– Zjesz obiad i wrócisz – Kamila tłumaczyła córce z irytacją w głosie. – Ona nie chce nigdzie jechać – zwróciła się do Marty. – Chce wrócić do dzieci na górę. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zjemy tutaj, w hotelowej restauracji? – spytała i nie czekając na

odpowieź, usiadła w fotelu obok. – O matko, jakie to wygodne! – Pogładziła dłonią obicie siedziska.

– Przeszkadzać? Wprost przeciwnie. Prawie tu zasypiam i odechciało mi się gdziekolwiek jechać.

Z trudem wstały z wygodnych foteli i przeszły do niemal pustej restauracji. Pomimo niewielu klientów na jedzenie musiały trochę poczekać. Za to było naprawdę dobre.

– Mmm... – zachwycała się Weronika. – Zupka pomidorkowa. Ja ją od dziecka lubię. Pyszna. Ale mamusia gotuje lepszą.

Marta ze zdziwieniem spojrzała na siostrę. Kamila nie znosiła gotowania i miała problemy nawet z przygotowaniem jaj na twardo. Kiedyś, dawno temu, gdy dopiero zaczęła spotykać się z Cezarym, zaprosiła go na kolację, żeby zrobić na nim dobre wrażenie. Planowała podać spaghetti z sosem pomidorowym. W trakcie przygotowań zadzwoniła do Marty, by spytać, jak ugotować tę część makaronu, która wystawała z garnka.

– Dawne Smaki przy Akacyjowej. – Mrugnęła okiem Kamila. – Kupuję litrami i mrozę w porcjach – dodała cicho. – Mają najlepszą pomidorową pod słońcem.

Weronika skończyła jeść jako pierwsza i z nudów rysowała teraz na talerzu wzorki palcem umoczonego w resztkach zupy.

– Ciociu, a jutro zobaczymy łosiołki? – spytała nagle.

– Osiołki? – zdziwiła się Marta.

– Nie, łosiołki.

– Małe łosie – wyjaśniła Kamila. – Nie wiem, kochanie. Ale na pewno zobaczymy duże łosie. Duże łosie są fajniejsze, bo są duże. Naprawdę ogromne. I mają wielkie rogi. Żubry też zobaczymy. Pamiętasz, jak oglądałaś książeczkę o żubrach?

– A kiedy wrócę do dzieci i pani Pauliny? – Weronika zmieniła temat.

– Na pewno nie chcesz już nic więcej? Może chociaż frytki?

– Nie, nie jestem głodna.

Kamila westchnęła.

– Wiesz co, zaprowadzę ją na górę, zanim przyniosą nam drugie dania. Przynajmniej zjemy w spokoju.

Wróciła, już bez Weroniki, dokładnie w momencie, kiedy kelner położył na stole burgera z soczewicy i sałatkę z batatami. Marta nie lubiła sałatek, ale danie siostry

wyglądało smakowicie. Jak dotąd wszystko jej się w tym hotelu podobało. Może powinna przyjechać tu z Michałem, tak na kilka dni, żeby odpocząć od pracy i skupić się na związku, a zwłaszcza na seksie, na który ostatnio mieli coraz mniej czasu? Co za paradoks. Kiedy ona ograniczyła godziny pracy, Michał miał ich coraz więcej. Chyba że była to tylko wymówka, a on miał kogoś na boku. Jakąś inną sierotkę o pociągającej przeszłości.

– Coś się stało? – spytała Kamila.

– Nie, po prostu skupiam się na jedzeniu. Dobre.

– Wiem, dlatego lubię ten hotel. Wszystko tu jest dobre. Chciałabym, żeby mój hotel też był taki.

– Jak cię znam, to będzie lepszy.

Kamila się uśmiechnęła.

– Fajnie znowu robić coś razem, prawda? Tęskniłam za tym.

– Nie dziwię się. Jakbym miała takie koleżanki jak ty, też bym za sobą tęskniła.

– Oj, daj już spokój Lence. Ma swoje wady, ale w gruncie rzeczy da się lubić. O pewnych problemach wolę jednak rozmawiać z tobą. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę być szczerą. Najbliższą. Zaufaną. Taką, która nie będzie oceniać. Poprawka – dodała po namyśle. – Będzie oceniać, ale zrozumie i wybaczy.

– Nie musisz mi kadzić. I tak długo ci tej szeptuchy nie zapomnę. Przecież mogłaś pogadać ze mną w Warszawie już wcześniej. Zanim zaczęłaś odwiedzać znachorów. Mam znajomego, który zajmuje się diagnostyką niepłodności. To dobry specjalista. Dam ci na niego namiary. Będziesz miała...

– Marta, ja już byłam u wielu specjalistów. Może u twojego kolegi również. Każdy mówi to samo. Wszystko ze mną w porządku. Z Cezarym też. Teoretycznie nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów. Nikt nie wie, dlaczego je mamy. Podobno to kwestia problemów w mojej głowie, jakiejś blokady, którą muszę zwolnić.

– To idź do psychiatry.

– Byłam. Nadal nic, jak widzisz. Twoja medycyna mnie zawiodła. Szukam pomocy gdzie indziej, czy ci się to podoba, czy nie.

– No i? Myślisz, że ta dzisiejsza szamanka pomogła?

– Jeszcze nie wiem. Na pewno potwierdziła to, co wiedziałam już wcześniej. Dosięga mnie nasza przeszłość, tragedia związana z rodzicami, choć starałam się od niej uciec.

– Przecież ty nie masz żadnej przeszłości. A rodziców nawet nie pamiętasz. Byłaś za mała. Nie rób z siebie ofiary.

– Będziemy się teraz licytować, której było gorzej i która wyszła z większą traumą?

– Nie. Ale cieszę się, że nareszcie pierwsza poruszyłaś ten temat. Wiecznie irytowałaś się, kiedy to ja zaczynałam rozmawiać o rodzicach. Tak jakby udawanie, że nic się nie stało, miało cokolwiek zmienić. Mam nadzieję, że wreszcie szczerze porozmawiamy. Ten twój telefon zeszłego lata, kiedy powiedziałaś, że wiesz, kto zabił rodziców... Myślę o tym za każdym razem, kiedy cię słyszę. Za każdym.

– Znowu zaczynasz? Nie pamiętam, co wtedy mówiłam. Byłam pijana jak bela.

– Przestań udawać i powiedz prawdę. Mam prawo wiedzieć. – Marta nie odpuszczała. Druga taka okazja mogła już się nie powtórzyć.

Kamila spuściła głowę.

– Martwię się o ciebie. Tylko ty mi zostałam. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– A co miałoby się niby stać?

– Nie zdajesz sobie sprawy, kto za tym wszystkim stoi. To wpływowi ludzie. I bezwzględni. Zdolni do wszystkiego.

– Ty wiesz to, czego ja nie, a jednak nadal żyjesz.

– Bo oni nie wiedzą, że ja wiem. Ja nic z tą wiedzą nie robię. A ty jesteś nieobliczalna. Będziesz chciała się mścić. Nie zaprzeczaj, dobrze cię znam.

– Jesteś prawnikiem. Nie chcesz, żeby morderców rodziców spotkała sprawiedliwa kara?

– Chcę dożyć starości i zobaczyć wnuki. Poza tym byłam prawnikiem. Ten zawód nauczył mnie tylko jednego. Że żadna sprawiedliwość nie istnieje.

– Mylisz się. – Zapragnęła powiedzieć siostrze o Żakowskim, jednym z morderców rodziców, którego dopadła. W ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Spójrz na siebie – ciągnęła Kamila. – Przeszłość cię wykańcza. Zostałam lekarzem tylko dlatego, bo marzył o tym ojciec.

– Co ty opowiadasz?!

– Wiem od babci, że ciągle ci to powtarzał. Jaka jesteś mądra i że na pewno zostaniesz profesorem medycyny.

– Zostałam lekarzem, bo tak sama chciałam. Lubię to.

– Co lubisz? Przesiadywać nocami nad książkami albo w śmierdzącym szpitalu? Pracować po czterysta godzin w miesiącu? Użerać się z wiecznie narzekającymi pacjentami?

– Nie wiesz, o czym mówisz...

– I ta twoja habilitacja, o której tak marzysz, te artykuły... Po co to wszystko? Dlaczego to robisz, zastanawiałaś się kiedyś nad tym? Bo masz obsesję z powodu tego, co się wtedy stało – gorączkowała się Kamila. – Całe twoje życie podporządkowane jest temu, by stać się dzieckiem, o jakim marzył ojciec. Masz jakieś głupie poczucie winy, które każe ci teraz pokutować. Nawet ten twój cały Michał... Przecież on jest dopełnieniem tej pokuty. Policjant! To nie jest prawdziwy związek. Wykorzystujesz go tylko, żeby zdobyć informacje o rodzicach. Dlaczego nie możesz ułożyć sobie życia? Mieć prawdziwego faceta, dom, dzieci...

Marta pozwoliła siostrze dać upust emocjom.

– Skończyłaś już tę psychoanalizę? – spytała łagodnie. – Może jednak powinniśmy się skupić na tobie?

– Zmierzam do tego. Zawsze byliśmy ze sobą bardzo zżyte. Wszystko, co dzieje się z tobą, ma wpływ na mnie. Rzucasz w wodę kamień, a fale uderzają we mnie. Nie widzisz tego?

– Czyli co? To, że nie możesz zajść w ciążę, to moja wina? – Siostra zaczynała działać jej na nerwy.

– Nie wiem, może.

– Słuchaj, czego ty ode mnie oczekujesz? Że zapomnę o tym, że nasi rodzice zostali zamordowani, a winnych nie ma? Że sprawię sobie miłego męża, domek pod Warszawą i dwójkę dzieci, które będą się bawić z twoimi? Dzięki temu poczujesz się lepiej? No nie, to tak nie działa. Tobie przeszkadza moje zaangażowanie, mnie z kolei twój jego kompletny brak. Ale wiesz co? Możemy ubić interes. Ty powiesz, kto zlecił to morderstwo, a ja już nigdy nie wspomnę ani słowem na jego temat. Zgoda?

Kamila siedziała ze spuszczoną głową.

– Co zrobisz, jeśli ci powiem? – spytała cicho.

„Ukatrupię drania, wyrznię całą jego rodzinę i zrównam z ziemią groby jego przodków, to chyba oczywiste”.

– Nie wiem. Może nic. Może wybaczę i zajmę się swoim życiem, tak jak byś chciała.

Kamila pokiwała głową z niedowierzaniem.

– W każdym razie ty wreszcie zrzucisz z siebie ten ciężar. Zrób to, Kamila. To jedyne wyjście. Sama przecież wiesz. Dlatego tu jesteśmy, prawda? Bo chcesz mi powiedzieć.

– Dobrze. – Siostra zgodziła się niechętnie. – Ale na twoją odpowiedzialność. Jeśli coś się stanie po tym, jak ci powiem, to będzie to tylko twoja wina, tak?

– Tylko moja.

– Było ich dwóch – zaczęła Kamila. – Dwóch ludzi weszło wtedy do naszego domu. Szukali pieniędzy, które nasz ojciec rzekomo gdzieś ukrył. Dużych pieniędzy. Żakowski i Czajka. To nazwiska morderców, na których tak ci zależało. Ale wiesz co? Nie są już istotne, bo obaj nie żyją. Jeden zmarł w wyniku powikłań po jakiejś operacji, kilka miesięcy temu, drugi miał wypadek samochodowy, też jakoś niedawno. Żadnego z nich już nie ma.

Marta nie doceniła siostry. Informacja o śmierci drugiego bandyty była zaskoczeniem i nieco ją zmartwiła. Planowała wymierzyć mu sprawiedliwość na własnych warunkach.

– Skąd to wszystko wiesz?

Kamila wzruszyła ramionami.

– Nadal mam znajomości tu i tam. I kasę Cezarego.

– Skoro nie żyją, to dlaczego nie mogłaś mi o nich powiedzieć wcześniej?

Kamila znów spuściła głowę.

– Zleceniodawcy! Chodzi o nich, prawda? Ci dwaj nie działali przecież na własny rachunek. Powiedz, co wiesz o zleceniodawcach!

Kamila westchnęła.

– To grupa ludzi, którzy rozmyli się gdzieś w świecie. Izrael, Panama, Malta... Ta afery nigdy nie została do końca wyjaśniona. I zapewne już nie zostanie. Za to w Polsce pozostał ktoś, to wykonywał dla nich brudną robotę. Żakowski i Czajka pracowali dla niego. Właśnie ten człowiek jest powodem, dla którego nie chciałam ci nic mówić. Jego nazwisko nie powinno do ciebie nigdy trafić.

– Już za późno. Kto to jest?

– Marta...

– Kto to jest?!

– Nazywa się Salpeter.

Marta osłupiała.

– To były gangster, obecnie mówi o sobie lobbysta – pospieszyła z wyjaśnieniem Kamila.

– Wiem, kim jest Salpeter. Bywał u Starego, mojego szefa.

Salpeter oficjalnie był właścicielem firmy o nazwie „WS Public Affairs Management”, która w teorii miała zajmować się „obroną interesów swoich klientów poprzez nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z politykami i instytucjami publicznymi”. W rzeczywistości, co było tajemnicą poliszynela, Salpeter był zwykłym przestępcą, byłym członkiem jednego z podwarszawskich gangów, a firma służyła mu jako przykrywka do legalizowania brudnych interesów. Na dodatek Salpeter lubił rozpowszechniać informacje o swoich rzekomych powiązaniach ze służbami specjalnymi, dzięki czemu jego klienci mogli liczyć na parasol ochronny „tam, gdzie trzeba”. Nie wiadomo, czy była to prawda. Jedno było jednak pewne – Salpeter nie musiał być w służbach, żeby znać w Warszawie wszystkich, których znać należało. Bez jego błogosławieństwa nie mógł odbyć się tu żaden większy szwindel, a ci, którzy stawali mu na drodze, znikali bez śladu. Salpeter był bardzo niebezpiecznym człowiekiem i Marta schodziła mu z oczu zawsze, ilekroć pojawiał się na oddziale zakaźnym. Na szczęście od dłuższego czasu nie musiała mieć z nim do czynienia. Od czasu afery lekowej, w którą obaj ze Starym byli zamieszani, choć każdy w inny sposób, Salpeter przestał przychodzić do jej szefa.

– Skoro wiesz, kim on jest, to musisz zdawać sobie sprawę, dlaczego dotąd ci o nim nie powiedziałam. Ten człowiek nie bawi się w półśrodki. I jest nietykalny.

Siostra miała rację. Marta wiedziała o tym aż nazbyt dobrze, w końcu afera lekowa przebiegała z jej cichym udziałem.

Przez chwilę obie milczały.

– Lepiej mi. – Kamila odezwała się pierwsza. – Może nie powinnam, ale naprawdę czuję się lepiej. Tak jakby duży kamień przestał uciskać mi brzuch.

– To dobrze. Zrobiłaś dobrze, mówiąc mi to wszystko.

– Może pójdziemy na jakiś spacer? – zaproponowała Kamila. – Ten hotel położony jest w pięknym parku.

– Przecież pada. – Marta wskazała ruchem głowy panoramiczne okno, po którym spływały strugi wody.

– Fakt. W takim razie przez resztę wieczoru mamy labę. Czas wolny. Jutro poszukamy łośiołków. – Kamila skinęła na kelnera, prosząc na migi o rachunek. – Pójdę po Weronikę. Poczytam jej w pokoju. Przyjdź do nas, może jakieś puzzle wspólnie poukładamy, co?

– Jasne. Ale za jakiś czas. Muszę teraz pobyć sama.

Zrezygnowała z windy i wspięła się po szerokiej klatce schodowej, wyłożonej elegancką wykładziną. Dałaby wiele, żeby być teraz z Michałem, powiedzieć o rozmowie z siostrą i spytać go, co powinna zrobić. Z drugiej strony wiedziała, że mógł odpowiedzieć tylko jedno: „Marta, odpuść”. Salpeter był zbyt potężny, by mogła kiedykolwiek z nim wygrać. Michał wolałby, żeby zapomniała o przeszłości i żyła tym, co tu i teraz. Ale czy to w ogóle możliwe? Żyć tym, co tu i teraz? Nigdy nie próbowała. Wspomnienia wracały w najmniej spodziewanych momentach. Krzyki matki, tatuaż na ręce trzymającej nóż. „Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć dzieci, nakłoń męża do współpracy”. „Nie wiem, naprawdę nie wiem!”

Kiedy weszła do swojego pokoju, Michał zadzwonił. Musiała przyciągnąć go myślami. Zdarzało się to już wcześniej. Albo łączyło ich coś wyjątkowego, albo zainstalował aplikację szpiegującą również w jej mózgu.

– Wszystko u was dobrze? Co robicie? – spytał.

– Właśnie wróciłyśmy od szeptuchy. Nie chcesz wiedzieć. To długa historia, opowiem ci, jak się zobaczymy. W każdym razie wszystko w porządku. A u ciebie?

– Pracowicie, jak zwykle. Mamy kolejnego trupa w sprawie.

– Następnego? To już czwarty.

– Jak to czwarty? – zdziwił się Michał.

– No, Mrozek, Kruk, Trąbka i teraz ten. Kto tym razem?

Odpowiedziała jej cisza.

– Michał, halo, jesteś tam?

– Jak to Trąbka, skąd wiesz o Trąbce? – Zdumienie w jego głosie rozbawiło ją. Naprawdę sądził, że ma monopol na takie informacje?

– Od Kamili. Nawet miałam w tej sprawie do ciebie zadzwonić. Powiedziała mi coś, o czym chyba powinieneś wiedzieć. Swoją drogą, mógłbyś nie być taki tajemniczy, skoro i tak wplątałeś mnie w tę sprawę.

– A Kamila skąd o nim wie?

– Nie pytałam. Pewnie z gazet albo sieci. Takie wieści prędko się rozchodzą.
– Dasz mi ją do telefonu?
– Dlaczego? Co się stało?
– Marta, ciało Trąbki znaleziono dosłownie przed godziną. Prawdopodobnie ktoś go udusił, jak pozostałych. Dopiero rozpoczynamy czynności. Żaden dziennikarz jeszcze o tym nie słyszał.

Przez chwilę nie była w stanie zebrać myśli.

– Ale przecież to niemożliwe. Ja wiem o tym od kilku godzin.
– Daj mi ją do telefonu – powtórzył polecenie.
– Jest z Weroniką w sali zabaw. Zaraz ją odzuję. Oddzwonię, dobrze?
„Co tu się wydarzyło?” – myślała gorączkowo. Jakim cudem jej siostra została wplątana w sprawę, która nie mogła, po prostu nie mogła mieć z nią nic wspólnego?! „Tego Trąbkę to sama miałam ochotę zamordować”. Na pewno istniało jakieś logiczne wyjaśnienie i zaraz je od siostry usłyszy, pocieszyła się w myślach.

Znalazła ją w pokoju. Weronika siedziała w łazience. Tym lepiej, mogły porozmawiać tylko we dwie.

– Kamila, skąd wiesz o śmierci Trąbki?
– Nie pamiętam, ktoś chyba musiał mi powiedzieć.
– Ale kto?
– Naprawdę nie pamiętam.
– Przypomnij sobie!
– Dlaczego? Coś się stało? – spytała obojętnie. Jeśli jej siostra miała cokolwiek wspólnego z tą sprawą, była świetną aktorką.

Nie wyglądała na szczególnie przejętą nawet wtedy, gdy dowiedziała się, o co chodzi.

– Marta, bardzo chciałabym wyjaśnić tę sytuację, bo przyznaję, jest dziwna, ale naprawdę nie pamiętam.

– A pamiętasz, kiedy się dowiedziałas o jego śmierci?

– Parę dni temu, chyba.

– Trzy? Dwa?

– Jakoś tak.

– Przedwczoraj?

– Może.

– Kamila, na miłość boską, przypomnij coś sobie, cokolwiek! Zaraz muszę oddzwonić do Michała.

– To powiem mu to samo, co tobie. Naprawdę nie pamiętam.

Marta wybrała numer Michała.

– Dam ci ją, ale nie spodziewaj się za wiele po tej rozmowie – oznajmiła i przekazała telefon siostrze.

Po raz kolejny usłyszała „nie pamiętam” i „nie wiem”. Kiedy Kamila skończyła rozmawiać, oddała telefon Marcie. Wolska wyszła na korytarz.

– Michał, o co tu chodzi? – spytała.

– Ty mi powiedz. Twoja siostra wiedziała o śmierci Trąbki, jeszcze zanim umarł. Jakim cudem?

– Nie wiem, ale to wyjaśnię. Musi być jakaś sensowna odpowiedź. Pojutrze wracamy. Do tego czasu postaram się coś ustalić.

– Pojutrze to za późno. Musicie wrócić jutro.

– Żartujesz? Przecież ona nic nie wie. Na żywo powie ci to samo, co przed chwilą przez telefon.

– Musicie wrócić ze względu na ciebie, nie Kamilę.

– Jak to na mnie? Przecież ja nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

– Masz. Dlatego do ciebie zadzwoniłem. Przy zwłokach Trąbki znaleźliśmy twoją pieczętę.

– Moją pieczętę? – powtórzyła, nie do końca rozumiejąc. – Tę, która zginęła mi kilka dni temu?

– Zginęła ci pieczętka? – zainteresował się. – Kiedy?

– Przecież mówię, że kilka dni temu.

– W szpitalu?

– Tak mi się wydaje.

– Ale nie jesteś pewna?

– No, nie jestem.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– O pieczętce? Przecież to nic wielkiego. Zginęła mi nie po raz pierwszy. Jeśli się nie znajdzie, po prostu wyrobię sobie nową. Teraz każdy może wyrobić sobie taką

pieczętkę, jaką chce. Nie trzeba pokazywać żadnych dokumentów. Większość rzeczy i tak autoryzuję elektronicznie. Pieczętka stała się już prawie gadżetem.

– Jaki miała kolor?

– Żółty.

– Ta jest żółta.

– To nadal nie dowodzi, że jest moja.

– Dlatego powinnaś ją zobaczyć. Musi posiadać jakieś cechy, dzięki którym ją rozpoznasz. Albo uznasz, że nie jest twoja. Poza tym, nawet jeśli faktycznie nie jest twoja, pozostaje pytanie, dlaczego znalazła się przy zwłokach. Marta, musisz wrócić.

– Chcesz mnie przesłuchać?

– Zostaniesz przesłuchana, ale nie przeze mnie. Muszę oddać tę sprawę.

– Bo pojawiłam się w niej ja?

– Tak.

– Jestem świadkiem czy podejrzaną?

– Świadkiem. Oczywiście, że świadkiem. Ale i tak spytają cię o alibi.

– A kiedy go zabili?

– Nie mamy dokładnej godziny, ale znamy przedział czasu. Po raz ostatni widziano go żywego wczoraj koło południa. A dziś krótko po trzynastej jego przyjaciółka znalazła ciało. Będziesz musiała wytłumaczyć się z tych dwudziestu pięciu godzin.

– Przez całe popołudnie pracowałam w przychodni więziennej, chyba trudno o lepsze alibi, co? Wieczorem wróciliśmy do domu mniej więcej w tym samym czasie. Krótko przed północą skończyliśmy się bzykać, a potem spaliśmy razem do siódmej. O ósmej odebrała mnie Kamila.

– Właśnie, co z Kamilą?

– Co z nią? – nie zrozumiała.

– Też musi mieć jakieś alibi. Porozmawiaj z nią.

– Mówisz poważnie? Przecież o tym dziwnym zbiegu okoliczności wiemy tylko my dwoje. Wolę, żeby tak pozostało. Ona i tak ma już za dużo problemów na głowie.

– Marta, powtórzę to raz jeszcze. Twoja siostra wiedziała o śmierci Trąbki, zanim faktycznie umarł. Jakim cudem?

– Na pewno istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie. Przecież powiedziałam, że to ustalę. Proszę, nie wciągaj jej w tę sprawę. Przynajmniej na razie.

– Daję ci czas do jutra. Potem sam z nią porozmawiam. Masz jakiś pomysł, o co w tym wszystkim może chodzić? – dodał już łagodniej.

– Nie mam pojęcia. Przysięgam, że tym razem niczego nie robiłam za twoimi plecami.

– Okej, wierzę ci. Niech Kamila prowadzi ostrożnie. Pogoda pod psem. Nietrudno o wypadek. Miałyście głupi pomysł z tym wyjazdem.

Marta wróciła do pokoju siostry i powtórzyła jej rozmowę z Michałem.

– I co teraz? – zmartwiła się Kamila. – Jak mam powiedzieć Weronice, że nie zobaczy złości ani łosiołków?

– To jest w tej chwili twój największy problem? Powinnaś raczej skupić się na swoich zdolnościach do przepowiadania przyszłości. Ja też uważam, że sprawa jest co najmniej dziwna.

Kamila wzruszyła ramionami.

– Zbieg okoliczności, nic więcej.

– Jakich okoliczności?

– Nie wiem. Może tak bardzo chciałam, żeby umarł, że w końcu naprawdę umarł. Takie samospełniające się proroctwo.

– Poważnie chciałaś, żeby umarł?

– A ty byś nie chciała? Idziesz do lekarza, ufasz mu bezgranicznie, a on nagle zaczyna miętosić twoje sutki, jęczeć i dźgać cię w udo penisem w stanie wzwodu. To była praktycznie próba gwałtu.

– Trąbka nie był lekarzem, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Był oszustem, który tylko udawał, że potrafi cokolwiek wyleczyć.

Marta właśnie uświadomiła sobie, że zapomniała powiedzieć Michałowi o skłonnościach Trąbki do molestowania „pacjentek”. Ale może i dobrze. Jak na razie wiadomo było tylko o jednej. Tej samej, która wiedziała o jego śmierci, zanim ta nastąpiła. Nie stawiało to Kamili w najlepszym świetle.

– Dla kobiet, które szukały u niego pomocy, był kimś w rodzaju lekarza, nawet jeśli faktycznie nim nie był. Wysłałam wtedy od niego taka wściekła, że mogłabym go zabić.

– Ale tego nie zrobiłaś?

– Co za pytanie! Poza tym to było dawno. Sama powiedziałaś, że ktoś wykończył go dopiero wczoraj.

– À propos, co robiłaś wczoraj?

– Teraz bawisz się w policjanta? W takim razie lepiej zastanów się, skąd wziął twoją pieczętę.

Marta westchnęła.

– Kamila, nie mam do ciebie siły. Sprawdzę, co Weronika robi tak długo w tej łazience.

Siostrzenica siedziała w wannie, napelnionej płytko wodą i rządziła królestwem plastikowych zwierząt morskich z pomocą Barbie syrenki.

Marta poudawała przez chwilę delfina, który wrócił z kosmosu. Nie przekonało to Barbie, która głosem Weroniki poprosiła, by ciocia wyszła z łazienki.

Kamila leżała na łóżku z nosem w komórce. Nawet w takiej chwili nie widać było po niej zdenerwowania. Za to Marta czuła się jak snop ciasno owinięty sznurkiem. Nie była pewna, co martwiło ją bardziej. Perspektywa starcia z Salpeterem czy nagły zwrot akcji w sprawie zgonów medycznych oszustów. Kamila w roli przepowiadającej przyszłość Pytii, jej własna pieczętka przy trupie, którego nawet nie znała... Wszystko jak zwykle musiało dziać się w tym samym czasie. Chyba że te zdarzenia miały ze sobą jakiś związek. A tego nie mogła wykluczyć. Nie mogła wykluczyć żadnego scenariusza. „Tego Trąbkę to sama miałam ochotę zamordować”.

– Co mi się tak przyglądasz? – burknęła Kamila. – Chyba mnie nie podejrzewasz? Zresztą właśnie ustaliłam, w jaki sposób dowiedziałam się o Trąbce. Chodź tu, to ci pokażę. – Przesunęła się na środek łóżka i poklepała dłonią wolne miejsce obok siebie.

ROZDZIAŁ 11

Nigdy wcześniej nie odwiedzała Michała w pracy. Technicznie rzecz biorąc, teraz również nie były to odwiedziny, ale przynajmniej mogła przekonać się na własne oczy, w jakich warunkach pracował. Właściwie nie była zdecydowana, czy wszechobecna tu lichota zaskoczyła ją, czy wprost przeciwnie. Każda budżetówka, która nie była ZUS-em czy urzędem skarbowym, zmagala się z takimi samymi problemami. Jej własny oddział szpitalny także przepełniony był fuszerką i mizerią, choć to, co działo się na komisariacie, wołało o jeszcze większą armię majstrów i co najmniej kontyngent materiałów budowlanych. Jednak nawet najlepiej przeprowadzony remont i najbardziej designerskie meble biurowe nie rozwiązałyby problemu ciasnoty, z którą musieli zmagać się policjanci.

W pomieszczeniu, do którego ją poproszono, nie można było zakręcić kaloryferów i z upałem próbowano radzić sobie tak jak w „Błęńskiej” – otwierając wszystkie okna. Z tą różnicą, że tutaj faktycznie się otwierały. W środku było przez to na zmianę upalnie i mroźnie, ale nigdy w sam raz. Officer, który przejął od Michała dochodzenie, okazał się chodzącym policyjnym memem. Otyły, spocony, bez skrępowania podjadał przy niej kanapki z wędliną, która wydzielala intensywną woń. Nazywał się Tylicki, ale od Michała wiedziała, że wszyscy mówią na niego Borsuk. Musiała się pilnować, by przypadkiem nie zwrócić się do niego tym przezwiskiem, tak bardzo do niego pasowało. Podobno Borsuk wcale nie był taki tępy i leniwy, na jakiego wyglądał, i w przeszłości był postrachem wszelkiej maści kryminalistów. Jednak, jak to w życiu bywa, im bliżej emerytury, tym mocniej obojętniał na sprawy zawodowe. A że na emeryturę miał przejść już za trzy miesiące, to jego zapał nie robił wrażenia. Spadek po Michale wyraźnie mu nie pasował i od początku dawał Marcie do zrozumienia, kogo obwinia o ten stan rzeczy. Gdyby tak pochopnie nie wskoczyła mu do łóżka, Łazowski nadal wykonywałby swoją robotę, a Borsuk mógłby planować wypadki na ryby. Nie powiedział tego wprost, ale Marta zbyt długo pracowała z ludźmi, by nie umieć czytać między słowami.

Zanim zaczęli, Borsuk pozbył się dwóch współpracowników, z którymi dzielił pokój, chcąc stworzyć namiastkę prywatności. Pomieszczenie było przechodnie i nikt nie przewidział, że kiedyś stanie w nim biurko, a już na pewno nie trzy. Żeby wstać i wyjść, policjanci musieli wciągać brzuchy i przeciskać się między obdartymi blatami.

Zakomunikowali, że idą na papierosa, choć sądząc po zapachu, normalnie nie przejmowali się takimi szczegółami jak palenie na zewnątrz.

Samo przesłuchanie było krótkie. Nie miała zbyt wiele do powiedzenia, choć pieczętka odnaleziona przy zwłokach Trąbki bez wątpienia należała do niej. Kilka miesięcy temu upuściła ją na podłogę, przez co pękła plastikowa osłonka. Rysa nie była widoczna, ale Marta wiedziała, gdzie szukać, i szybko wskazała ją na jednej ze ścianek. Na pieczętce nie odnaleziono żadnych odcisków palców. Nawet Marty.

Zgodnie z prawdą oświadczyła, że nie ma pojęcia, w jaki sposób przedmiot, należący do niej, znalazł się na miejscu zabójstwa. Miała żelazne alibi na czas, o który pytał Borsuk. Nie sposób wyobrazić sobie lepszego.

Teoretycznie mogła zakończyć rozmowę z Borsukiem w ciągu piętnastu minut. Z jakiegoś powodu uznała jednak, że musi złamać jego niechęć i przekonać go do siebie. Było to głupie i infantylne, ale chciała, żeby koledzy Michała polubili ją i zazdrościli mu po cichu, ale tak, by to dostrzegali. Może wtedy poważniej zaczęłyby podchodzić do ich związku. W rezultacie już od godziny siedziała w mroźno-gorącym pomieszczeniu, na blacie biurka. Pokój wypełniał gwar rozmów, bo do pogawędki przyłączyli się z czasem także inni policjanci, urzędujący w sąsiednim pokoju. Okazało się, że zna jednego z nich – współpracowała z nim kiedyś w związku ze sprawą handlu dopalaczami na oddziale zamkniętym. Całe towarzystwo bawiło się teraz przednio, racząc się nawzajem dykteryjkami o narkomanach.

– Co wam tak wesoło? – przerwał im zimny głos.

W progu stała wysoka blondynka z długimi włosami upiętymi w koński ogon.

– Było miło, ale czas wracać do pracy. – Pierwszy pożegnał się znajomy z „Błęńskiej”. W jego ślady poszli pozostali. Najwyraźniej blondynka była czymś w rodzaju tutejszego dementora.

– To pani jest tą lekarką zamieszaną w sprawę dusiciela? – Bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Nie przesadzaj z tym zamieszaniem. Pani jest po prostu świadkiem w sprawie – prychnął Borsuk.

– To się jeszcze okaże – zagroziła. – Odprowadzić panią do wyjścia?

Było już jasne, dlaczego blondynka nie była specjalnie popularna wśród kolegów.

– Nie, trafię sama. – Marta zeskoczyła z biurka i skierowała się w stronę drugich drzwi.

– Niech pani poczeka, pójde z panią – sapnął Borsuk. – I tak muszę zapalić.

Wyszli na długi korytarz.

– Pani nie bierze tego do siebie. O nic pani nie podejrzewamy. Zośka krzywo na panią patrzy, bo jej pani chłopca podebrała.

– Jak to?

– Lata za Michałem, odkąd tu zaczęła pracować. Ale on na nią nie zwraca uwagi. Teraz już wiem dlaczego. – Puścił oko i uściśnął jej rękę. – Do zobaczenia. Powodzenia w pracy, bo widzę, że lekko tam pani nie ma.

– Wzajemnie. – Uśmiechnęła się. – Niech pan złapie tego boa dusiciela. Wisi mi kasę za nową pieczętkę.

– Boa dusiciel, he, he, dobre! – Pomachał jej zapalonym papierosem.

Za rogiem wyjęła komórkę i zadzwoniła do Michała.

– Jesteś gdzieś niedaleko? Dasz się zaprosić na obiad? Musimy porozmawiać.

Wróciła do Warszawy dziś przed południem i zaczęła od spotkania z Borsukiem. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie Michałowi o wszystkim, czego się dotąd dowiedziała.

Pół godziny później siedzieli w restauracji. Każde z nich zamówiło pizzę.

– Zosia z twojej pracy kazała cię pozdrowić. Bardzo żeśmy się skumplowały – oznajmiła, kiedy kelner przyniósł napoje.

Michał parsknął śmiechem.

– Wątpię.

– Wątpisz, że kazała cię pozdrowić, czy że się skumplowałyśmy?

– Jedno i drugie.

Marta pokiwała głową.

– Co to za larwa?

– Jest naszym profilerem.

– Kim?

– Profilerem. Zajmuje się tworzeniem profili przestępców na podstawie różnego rodzaju dowodów i wskazówek.

– Nie wiedziałam, że taki zawód w ogóle istnieje.

– W Polsce nie istnieje. To pomysł naszych speców od PR, żeby ocieplić wizerunek policji. We wszystkich kryminałach jest jakiś profiler. Ludzie się naczytają i naoglądają, a potem oczekują, że rzeczywistość dostosuje się do ich wyobrażeń. Komendant łyknął to niczym pelikan. Oczywiście musiała to być jakaś atrakcyjna kobieta po psychologii. Tego też ludzie oczekują. No i Zośce na pewno nie zaszkodził fakt, że jest bratanicą wiceministra sprawiedliwości.

– Uważasz, że ona jest atrakcyjna? – zainteresowała się Marta.

– Nie jest w moim typie.

Zośka była w typie każdego mężczyzny, ale Marta uwierzyła w to, co powiedział jej przed godziną Borsuk. Zresztą profilerka była psychologiem, a tych Michał szczerze nie znosił, mimo że sam był jednym z nich.

– A dobra jest chociaż w tym, co robi?

– To temat rzeka. W skrócie – nie. W mniejszym skrócie – jest po prostu tragiczna. Jak dotąd nie sprawdził się żaden z jej profili. Utrudnia nam prowadzenie spraw, bo musimy pochylać się nad jej trefnymi teoriami, choć z góry wiadomo, że to ślepe uliczki. Tracimy tylko czas.

– To po co to robicie?

– Nakaz z góry. Przecież w swojej robocie też tak masz. Dziewczyna jest gwiazdą mediów społecznościowych, faktycznie ociepla wizerunek. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby wyszło na jaw, że ta młoda, zdolna, tak świetnie dająca sobie radę w zdominowanym przez mężczyzn świecie, to w rzeczywistości wypromowana idiotka? Tak jak kiedyś powiedziałaś, wszyscy wokół udają. Ten świat opiera się na kłamstwie. Kręci się tylko dlatego, że jest okrągły... To była trafna diagnoza. Tak właśnie jest.

Marta znów pokiwała głową.

– Nie pokochała mnie. Wiesz może czemu? – Była ciekawa, czy powie jej o zalotach profilerki.

– Mogę się tylko domyślać. Prawdopodobnie podejrzewa, że to ty dusisz tych wszystkich facetów.

– Co?! – Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Pasujesz do jej profilu. Uznała, że taki rodzaj zadawania śmierci jest typowy dla kobiety, zwłaszcza drobnej. Zabójczyni ma według niej między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat i wyższe wykształcenie.

– Wierzysz w to?

– Przecież przed chwilą powiedziałem ci, że kobieta produkuje bzdury. Profilowanie samo w sobie jest kontrowersyjne. Ale żeby miało jakieś cechy wiarygodności, musi być przeprowadzone przez doświadczonego śledczego, a nie jakąś zaburzoną dziunię.

– A gdybyś ty miał stworzyć taki profil, to co byś powiedział? Kto zabija?

– Mężczyzna po czterdziestce, bez wyższego wykształcenia.

– Mówisz poważnie czy żeby dopiec Zośce?

– Zaprosiłaś mnie na obiad, żeby rozmawiać o jakiejś obcej babie, której na dodatek nie lubię? – zirytował się.

Najwyraźniej Zośka rzeczywiście nie przypadła mu do gustu. Być może chodziło o zwykłą koleżeńską zawiść. W końcu oboje byli psychologami, ale to jej przypadała sława i przywileje, których mógł jej zazdrościć. A może o coś innego. W każdym razie Zośka nie wydawała się zagrożeniem. Chyba.

Marta wyjęła komórkę.

– Muszę coś ci pokazać. Kamila przypomniała sobie, skąd wiedziała o śmierci Trąbki. Stąd.

Wziął do ręki jej telefon i przyjrzał się temu, co zobaczył, na przemian przysuwając wyświetlacz w stronę twarzy, a następnie znów odsuwając. „Powinnam umówić go do okulisty” – pomyślała.

– Co to za grupa?

– Jak na mój gust to jacyś desperaci, których zawiodła tradycyjna medycyna. Wymieniają się opiniami na temat metod alternatywnych. Kamila często to przegląda. Też jest desperatką. Nieważne. W każdym razie dwa dni przed śmiercią Trąbki ktoś zamieścił post z informacją o jego zgonie.

– Sankiulota...

– Tak się podpisał.

– Wszystkie okoliczności opisał z dużą precyzją.

– Albo opisała. Może Sankiulota to lekarka, między dwudziestym piątym a czterdziestym rokiem życia...

– Znał nawet kolor sznura, którym uduszony został Trąbka. – Michał zignorował jej uwagę, skupiając się na czytaniu. – To nasz człowiek, Marta. Mamy go.

– Na razie macie wpis na forum. Nie powiedziałam o tym Borsukowi, bo musiałabym wyjaśniać, skąd mam tę wiedzę, a nie chcę wciągać w to Kamili. Wystarczy, że ja znalazłam się w samym środku tej sprawy...

– Co to znaczy sankiulota?

– Też zadałam to pytanie. Kamila jest dobra z historii. Powiedziała, że sankiulota to uczestnik rewolucji francuskiej, wywodzący się z prostego ludu. Najbardziej zawzięty i radykalny.

– Ma to sens. W kontekście tego, co robi...

Kelner przyniósł pizzę. Jedli w milczeniu.

– Jest jeszcze coś. – Pierwsza odezwała się Marta. – Trąbka to chutliwy gnojek. – Opowiedziała mu o molestowaniu. – Pewnie próbował również z innymi kobietami. Może z którąś mu się udało, a ona postanowiła się zemścić. W sposób radykalny i zawzięty. Zadając śmierć w sposób typowy dla kobiety.

– Duszenie nie jest sposobem zadawania śmierci typowym dla kobiet. – Michał nie załapał dowcipu, co zupełnie przekonało Martę, że nie lubił Zośki. – Ale informacja o napastowaniu jest ważna. Dzięki.

– Co będzie ze mną?

– Nic, co ma być?

– Dziwna sprawa z tą pieczętką. Martwię się.

– Dziwna, fakt – przyznał niechętnie. – Być może znasz tego gnoja, a on z jakiegoś powodu cię nie lubi. Z drugiej strony, może jest wręcz przeciwnie, wcale cię nie zna i w ogóle go nie interesujesz. Po prostu przypadkiem zdobył twoją pieczętkę, nie wiem, znalazł, i stwierdził, że pobawi się z policją w „ciepło-zimno”. W każdym razie bądź ostrożna, dobrze?

– Zawsze jestem.

– W tym sęk, że nie jesteś. Muszę już iść. – Wstał i pocałował ją na pożegnanie. – Będę wieczorem. Może obejrzymy jakiś film, co?

– Jasne. – Zmusiła się do uśmiechu.

Została przy stoliku sama, ale nie spieszyła się do wyjścia. Nie miała nic do roboty. Była na urlopie i w tej chwili powinna karmić łosie. Podniosła szklanekę i wysączyła do końca gazowany napój.

Pieczętka była wiadomością dla niej, nie miała co do tego wątpliwości, niezależnie od tego, co mówił Michał. Ale wiadomością od kogo? Dlaczego Sankiulota wybrał właśnie ją? Nie znała żadnego z zamordowanych mężczyzn, ich los zupełnie jej nie interesował. Pracowała w więzieniu w czasie, gdy uduszono Trąbkę... Czy jej alibi było tylko zbiegiem okoliczności? A może częścią jakiegoś planu? Pamiętała o anonimach, które Michał skrupulatnie niszczył. Ktoś wiedział o *Naeglerii*. Czy była to ta sama osoba, która podrzuciła pieczętkę? I wreszcie scenariusz, o którym wołała nie myśleć... „Tego Trąbkę to sama miałam ochotę zamordować”.

Miała w głowie mętlik. W tej sytuacji mogła zrobić tylko jedno.

Wróciła do domu i zajęła się swoimi roślinami. Zrobiła przegląd parapetów, starannie sprawdzając stan liści i obcinając przy okazji te pożółkłe. Podwiązała fikusa, który piał się w górę w takim tempie, że za kilka miesięcy z pewnością dosięgnie sufitu. Przesadziła także dieffenbachię, bo jej doniczka była już o dwa rozmiary za mała. Wreszcie wlała zapas wody destylowanej do podstawek rosiczek, których torf zaczynał przesycać. Te czynności zazwyczaj odprężyły ją i kierowały myśli na właściwe tory. Zwykle, ale nie tym razem. Teraz jej nieposłuszny umysł nieustannie wracał do tematu pieczętki i analizował wszystkie możliwości, nawet najbardziej absurdalne. „Czy wy też macie takie gadatliwe mózgi?” – spytała pewnego razu Weronika, gdy we trzy, razem z Kamilą, układały w ciszy puzzle. Mózg Marty był w tej chwili gadułą do kwadratu. Męczył ją tak, że nie mogła już tego wytrzymać. Żeby nad nim zapanować, włączyła telewizor. Uznała, że tylko słuchanie innych gadających głów może uciszyć jej własną.

– Akcja o nazwie „Obcinacz do paznokci”, nowy modny *challenge* w mediach społecznościowych. Zjawisko niepokojące czy wprost przeciwnie, normalna reakcja na bezsilność policji? – pytała ładna prezenterka ubrana w zbyt ciasną bluzkę. – Zanim zaczniemy dyskusję, przypomnę, że akcja ta polega na przewożeniu w środkach komunikacji publicznej rozmaitych pułapek, umieszczanych w torbach i plecakach. Próba ich wyjęcia powoduje uszkodzenie ciała, włączając w to amputacje części palców. Dodajmy, że jest ona skierowana przeciwko kieszonkowcom i przeprowadzana obecnie na szeroką skalę przez ludzi w różnym wieku.

No tak, Marta wiedziała, kiedy zacząć oglądać.

– Zaprosiliśmy dziś do studia dwoje ekspertów, panią mecenas Beatę Wilczyńską oraz pana Bogumiła Kostkowskiego, prezesa fundacji Defensio, która od lat walczy

o złagodzenie kar za przekroczenie granic obrony koniecznej. Proszę państwa – prezenterka zwróciła się w stronę gości – z czym mamy do czynienia?

– Niewątpliwie jest to rodzaj samosądu, a ten, jak wiadomo, podlega w Polsce karze. Jest to zachowanie, które powinno być z całą surowością napiętnowane – zaczęła Wilczyńska.

– Pani mecenas, z całym szacunkiem, ale pani się myli. To nie jest żaden samosąd. Nikt nie gilotynuje palców złodziejom, robią to sami, wkładając je tam, gdzie nie powinni.

– Ale uszkodzenie ciała następuje w wyniku działania naumyślnego sprawcy, czyli osoby, która umieściła pułapkę w swojej torbie lub swoim plecaku, dokładnie w takim, a nie innym celu.

– Jak pani słusznie zauważyła, jest to torba lub plecak należące do osoby podróżującej komunikacją publiczną. I tylko one mają prawo wyjmować znajdujące się tam przedmioty. To raz. Dwa, regulaminy dotyczące zawartości przewożonego bagażu nie wspominają nic na temat pułapek na myszy. Każdy może je mieć, nie są nielegalne.

– Na razie. Nasz zespół pracuje już nad tym problemem. Być może wkrótce przewożenie takich przedmiotów będzie nielegalne.

– Czy ja dobrze słyszę? – zbulwersował się Kostkowski. – Wymiar sprawiedliwości od dziesiątek lat nie może poradzić sobie z kieszonkowcami, ale kiedy obywatele wzięli sprawy we własne ręce, w ciągu dosłownie kilku dni jesteście państwo w stanie wymyślić takie mechanizmy, które im to utrudnią?

– To państwo i jego powołane do tego instytucje mają stać na straży prawa, obywatele nie mogą ich wyręczać i samowolnie wymierzać sprawiedliwość. Tego rodzaju działania wymagają adekwatnej reakcji karnej.

– Adekwatnej? Czy wie pani, że od początku tej akcji liczba drobnych kradzieży, tak zwanych kieszonkowych, zmniejszyła się stukrotnie? Stukrotnie! Polska jest w tej chwili w ogonie świata, jeśli chodzi o liczbę popełnianych przestępstw tego typu. One w tej chwili praktycznie u nas zanikają.

– A pan wie, że kilkanaście osób odniosło w związku z tym obrażenia?

– Nie kilkanaście osób, pani mecenas, tylko kilkunastu złodziei. Ich przykład podziałał odstrasżająco na pozostałych, dlatego przestali kraść. Boją się. Jest to najskuteczniejszy środek prewencyjny, z jakim się do tej pory spotkałem.

– To nie ma znaczenia. Rozwiązywanie problemów w taki sposób jest barbarzyństwem i, jak już wspomniałam, podlega w Polsce karze. Do czego by nas to doprowadziło dalej? Dyby za graffiti na murach, pręgierz za wybijanie szyb na przystankach? – szydziła mecenas.

– Czemu nie? Jeśli byłyby skuteczne, jestem za.

Marta wyłączyła telewizor. Nie miała pojęcia, że jej pomysł znajdzie naśladowców, na dodatek na tak ogromną skalę. Chociaż właściwie nie powinno ją to dziwić, dobre pomysły są zawsze chętnie kopiowane. Jak widać, ten był świetny. Szkoda tylko, że nie wpadł na niego nikt przed nią. Może nadal miałyby medalik po babci, którego pewnie nie uda jej się już odzyskać.

Zadzwonił telefon.

– Cześć, to ja – usłyszała głos Michała. – Będę dzisiaj wcześniej. Właściwie to już jestem w drodze. Stęskniłem się przez ten twój wyjazd. Pomyślałem, że dobrze byłoby pobyć dziś razem dłużej. To jak, znalazłaś nam jakiś film?

Uśmiechnęła się, tym razem szczerze.

ROZDZIAŁ 12

Marta kończyła poranny obchód, wchodząc do ostatniej sali, w której miała pacjenta.

– Wszystko u pana w porządku? – spytała siedemdziesięciolatka ze świeżo rozpoznaną cukrzycą.

– Tak, tylko te tabletki, co mi je pani na cukrzycę dała, są takie gorzkie, że muszę je z dżemem jeść.

Nie zdążyła zareagować, kiedy ktoś zapukał. W drzwiach ukazała się głowa pani Joli z sekretariatu.

– Pani doktor, jakiś list do pani na adres szpitala przyszedł. – Sekretarka wyciągnęła dłoń z kopertą.

– Do mnie? – zdziwiła się Marta. – Od kogo?

– Nie ma nadawcy.

Marta schowała kopertę do kieszeni i zupełnie o niej zapomniała. Otworzyła ją dopiero po śniadaniu, w dyżurce.

Na zwykłej białej kartce wydrukowano wiadomość: „Wiem, co zrobiłaś. Poniżej znajdziesz współrzędne GPS. Bądź w tym miejscu 25 listopada o dziewiątej. Inaczej wszystkim powiem. A potem skończysz jak ONI”. Zamiast podpisu odcisk jej własnej pieczętki. Tej skradzionej i odnalezionej przy zwłokach Trąbki.

– Wiecie, co przed chwilą powiedział mi pacjent? – spytała rozbawiona doktor Makowska, wchodząc do dyżurki. – Że ma „jelito zdradliwe”!

– Takie czasy, Kasia, że człowiek nawet własnej dupie zaufać nie może... – refleksyjnie zauważył doktor Hołowacz.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Co z tobą, Marta? – spytała doktor Makowska. – Dobrze się czujesz? Kiepsko wyglądasz...

– Sama jeszcze nie wiem... – Włożyła list do kieszeni i wyszła z dyżurki. Jak na złość wszędzie kręcili się ludzie, a ona potrzebowała prywatności. Wyszła przed szpital, do otaczającego parku, gdzie nikogo nie było. Nic dziwnego, lekko kropiło, a migające niebo wskazywało na zbliżającą się burzę. Pogoda nie zachęcała do spacerów nawet największych fanatyków świeżego powietrza. Schroniła się pod rozłożystą sosną i wyjęła komórkę. Pan od przyrody nie byłby z niej dumny, ale jej było już wszystko jedno – i tak czuła się jak uderzona piorunem.

– Michał? – Nietypowo odebrał po pierwszym sygnale. – Stało się coś dziwnego. –
Opowiedziała mu o liście.

– Marta, zaraz do ciebie przyjadę, to bardzo ważne!

– Nie możesz, przecież pracuję.

– Skontaktował się z tobą Boa Dusiciel, nie interesuje mnie, że pracujesz.

– Boa Dusiciel?

– Borsuk tak nazwał seryjnego. Przyjęło się. Będę za dwadzieścia minut. Chcę zabrać ten list.

– I co z nim zrobisz?

– To dowód w sprawie.

– Sprawie, której nie prowadzisz.

– Ale Borsuk ją prowadzi. To tak, jakby była moja.

– Nie możesz tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo tam jest napisane „Wiem, co zrobiłaś”. Co jeśli to ta sama osoba, która wysłała anonimy o *Naeglerii*?

– Niby jakim cudem?

– Nie mam pojęcia. Może to ktoś ze szpitala. Nie chcę ryzykować.

– To co chcesz, żebym zrobił?

– Nie wiem. Musiałam ci o tym powiedzieć. Ale teraz potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić. Porozmawiamy o tym wieczorem, dobrze?

– Okej. Będę u ciebie o osiemnastej. Nie zgub tego listu. I już go więcej nie dotykaj. Włóż go do jakiejś teczki albo foliowej koszulki.

Krople deszczu zaczęły gęstnieć. Biegiem wróciła do środka. W dyżurce lekarskiej zastała spore poruszenie. Powiedziano jej, że na oddział zakaźny przyjęto z SOR-u Mariolę Kreskę, senator, która podczas jednej z debat o warunkach pracy polskich lekarzy i nadchodzącym kryzysie kadrowym powiedziała: „Niech jadą. Na ich miejsce czeka tysiące ukraińskich lekarzy. System publiczny jakoś sobie poradzi bez tych, co wyjeżdżają”.

Los, jak to zwykle bywa, okazał się przewrotny i Kreska, zgodnie z systemem rotacyjnym, który wprowadził Stary, trafiła na dziesiątkę pod opiekę Olgi Krawczuk.

– Widzieliście, co się dzieje? – spytał doktor Kurek, wchodząc do dyżurki. – Pacjentów z dziesiątki przenoszą na korytarz, żeby Kreska mogła leżeć sama.

– Przecież dziesiątka to duża sala, czteroosobowa – zdziwiła się doktor Makowska.

– Widocznie senatorzy potrzebują więcej powietrza niż zwykli ludzie.

– Widzieliście, jakie cyrki? – Do dyżurki wszedł po chwili Młody. – Tę całą senator na wózku z SOR-u wiozą! Ma asystę czterech osób!

– Co jej w ogóle jest? – spytała Marta.

– Pewnie nic – odpowiedział doktor Kurek. – Na diagnostykę przyjechała. Przecież nie będzie badań w przychodni robić. Tyle chodzenia, zamieszania. Tutaj zrobią jej wszystko za jednym zamachem i jeszcze w lektyce będą nosić.

Rozmowy umilkły, kiedy w dyżurce pojawiła się Olga Krawczuk.

– Dzwonili z zabiegowego, pacjentka już leży na dziesiątce – powiedział Młody, odkładając słuchawkę.

Wszyscy, jak jeden mąż, spojrzeli na Olę. Ta, niczego nieświadoma, zabrała z biurka swój stetoskop i ruszyła do pacjentki.

– Pani dokąd? – Przeszkodził jej Stary, który nagle zmaterializował się w drzwiach.

– Nowa pacjentka czeka na sali – odpowiedziała doktor Krawczuk ze śpiewnym akcentem.

– Chyba pani żartuje. Pani weźmie następnego pacjenta.

– Jakiego następnego?

– Wszystko mi jedno jakiego. Do tej pacjentki pójdzie doktor Wolska.

– Dlaczego ja? – oburzyła się Marta. – Zgodnie z kolejnością przyjęć Kreska przypada Oldze.

– Bo tak mówię.

– Przypominam, że sam pan ustalał reguły przyjęć – Marta nie dawała za wygraną.

– Teraz sam je zmieniam. Proszę nie dyskutować.

– Naprawdę, nie ma problemu, ja pójdę – wtrąciła się Olga, która najwyraźniej źle zinterpretowała sytuację.

– Niech pani siada na dupie i siedzi! – huknął Stary w jej stronę. – Naprawdę jest pani taka głupia czy tylko pani udaje? Wczoraj się pani urodziła? A może znudziło się pani tu pracować? Bo jak tak dalej pójdzie, to jutro może pani wrócić na Ukrainę.

Olga spuściła głowę. Była bliska płaczu. Nie rozumiała, co zrobiła źle, i Marcie zrobiło się jej żal. Samotna, w obcym miejscu – musiała wykazać się dużą odwagą, żeby porzucić swoje dotychczasowe życie i przenieść się do kraju, którego języka nawet dobrze nie знаła. Puszczono ją na głęboką wodę bez szans na koło ratunkowe, gdyby zaczęła tonąć. Nie trzeba było dużej wyobraźni, żeby wiedzieć, jak mogła się teraz czuć. Doktor Krawczuk była sympatyczną osobą, możliwe, że dobrym specjalistą i jej współpraca z lekarzami z „Błęńskiej” układałaby się zupełnie inaczej, gdyby nie Stary i systemowy burdel, w którego środek trafiła.

Marta zrezygnowała z dalszej dyskusji wyłącznie ze względu na Olgę. Inaczej Stary nie przestawałby się pastwić i atmosfera zgęstniałaby jeszcze bardziej.

Senator Kreska siedziała sama w dużej sali, na nowoczesnym łóżku z wygodnym antyodleżynowym materacem, który specjalnie dla niej wyciągnięto z magazynu. Nie wyglądała na osobę, która potrzebowałaby środków zaradczych tego typu, ale wygodny materac miał umilić jej pobyt i sprawić wrażenie komfortu typowego dla prywatnej kliniki. Komfortu, na który bezsprzecznie, w ocenie zarządzających szpitalem, zasługiwała.

– Och, pani doktor, dzień dobry – przywitała Martę z błogim uśmiechem na twarzy. – Muszę powiedzieć, że jestem mile zaskoczona tym, jak wygląda państwa szpital. – Rozejrzała się po sali. – Tyle mówi się na temat złej sytuacji w służbie zdrowia...

Marta się skrzywiła. Miała alergię na wyrażenie „służba zdrowia”.

– Wszyscy tylko narzekają – kontynuowała senator. – Że nie ma ludzi do pracy, długo się czeka, szpitale pękają w szwach. Tymczasem ja na SOR-ze czekałam może dziesięć minut. Wszyscy mili, starają się bardzo, ta izolatka ogromna. Świetne warunki do chorowania – cmoknęła z zachwytem. – Oby tak dalej!

Marta pokiwała głową. Przeprowadziła z pacjentką wywiad na temat jej dolegliwości i przyczyn, dla których zgłosiła się do szpitala. Następnie poprosiła o przygotowanie się do badania. Podeszła bliżej łóżka i – przyłożywszy stetoskop do skóry pacjentki – poleciała:

– Dyszy, nie dyszy. Dyszy, nie dyszy.

* * *

Wróciła do domu po siedemnastej. Ledwie zdążyła zaparzyć herbatę, kiedy w zamku zazgrzytał klucz Michała. Wiadomość od Boa Dusiciela musiała faktycznie go poruszyć,

rzadko kończył pracę tak wcześnie.

– Pokaż mi ten list – zażądał od progę. Przez chwilę czytał w milczeniu. – Marta, trzeba to oficjalnie zgłosić. On chce się z tobą spotkać. Co jeśli faktycznie tam przyjdzie? Mamy szansę go dorwać.

– Lub ją – poprawiła. – Wasza profilerka może mieć rację.

– To facet, jestem tego pewien. Ale w tej chwili to nieistotne. Najważniejsze, żebyś poszła z tym na policję.

– Nie mogę, nie widzisz tego? Ten ktoś dużo o mnie wie.

– Nic nie wie – zdenerwował się Michał. – To blef. On chce cię sprowokować, żebyś przyszła na to spotkanie.

– Udało mu się. Chcę pójść.

– Nie ma sprawy. Pójdiesz, ale z obstawą.

– Chcę pójść tylko z tobą.

– Oszalałaś? – pieklił się Michał. – Nie ma takiej opcji. Nie mogłaś wymyślić nic głupszego? Ten człowiek to seryjny morderca. Co chcesz mu powiedzieć?

– To raczej on będzie mówił. To, co wie.

– Nic nie wie, jeszcze raz ci to powtarzam.

– Przecież z jakiegoś powodu mnie wybrał. Lub wybrała.

– No właśnie. Dzięki temu listowi mamy szansę ustalić, z jakiego.

– I ustalimy. Razem.

– Nie. Nie pójdziemy tam tylko we dwoje. To zbyt niebezpieczne. I jeszcze bardziej głupie. Co ty sobie w ogóle ubzdurałaś? Jaki masz plan? Co zrobisz, jak już się dowiesz, kim on jest i czego od ciebie chce? Poprosisz, żeby sam się zgłosił na policję? Dokonasz obywatelskiego zatrzymania? Kropniesz go?

Marta nie miała zamiaru nikogo zabijać. Miała przecucie, że list wysłał jej ktoś, kogo dobrze znała. Kamila. Tak, to było śmiałe przypuszczenie, zdawała sobie z tego sprawę, ale uważała, że oparte na solidnych podstawach. W końcu intuicja rzadko ją zawodziła. List mógł być wołaniem o pomoc, choć w dziwnej formie. Jej siostra nie radziła sobie najlepiej, wszyscy to widzieli. Przyciągała pijawki pokroju Lenory nie bez powodu. Również nie bez powodu odwiedzała Mrozka i Trąbkę – zagubione istoty ciągnęły do nich jak muchy do miodu. Ci dwaj ją wykorzystali, jeden finansowo, drugi – finansowo i fizycznie. Co jeśli Kamila szukała odwetu? Pragnienie zemsty bywało nieodparte,

sama wiedziała o tym najlepiej. Zresztą policyjna profilerka od początku twierdziła, że Boa jest kobietą. A jeśli miała rację?

Jeśli to Kamila była Boa Dusicielem, nie mogła zostać złapana. Jeśli był nim ktoś inny... cóż. Z całą pewnością znał Martę i wiedział o niej rzeczy, których wiedzieć nie powinien. Zwykle ufała intuicji Michała, ale w tej sprawie nie miał racji. Musiała znaleźć sposób, aby go przekonać.

– Słucham, co zamierzasz zrobić, jak już się dowiesz, kim jest Boa? – nalegał Michał.

– Wtedy zobaczymy.

– Kiedy?

– No, jak już dowiemy się, kim jest.

– I wtedy albo go wypuścimy, albo oddamy w ręce policji, albo się go pozbedziemy?

– W sumie tak. W dużym uproszczeniu.

– Marta, czy ty się słyszysz? Zdajesz sobie sprawę, jak absurdalnie brzmi to, co mówisz?

– Michał, to chyba ty...

– Przestań! – Uniósł dłoń. – Nie zamierzam z tobą na ten temat więcej dyskutować. Nie pójdziesz na to spotkanie, a ten list biorę ze sobą. – Ruszył w stronę wyjścia, wkładając kurtkę.

Tego się nie spodziewała.

– Nie bierzesz. Nie pozwalam ci. – Wyrwała mu z ręki kartkę.

– Oddaj to!

– Nie ma mowy.

– Oddaj, bo...

– Bo co?

– Zaraz zobaczysz co. – Przyparł ją do ściany, mocno ściskając jej nadgarstki i usiłując odebrać list.

Pozostało jej tylko jedno. Zaczęła delikatnie masować kolanem okolice jego krocza. Uścisk zelżał. Masowała teraz trochę szybciej. Jęknął. Puścił ją wreszcie i oparł się dłońmi o ścianę, poddając się zupełnie temu, co z nim robiła. Rozpięła rozporek i przez chwilę pieściła dłonią jego penisa, a potem uklękła i dokończyła pieśczoty ustami. Doszedł szybko. Jeszcze dysząc, mocno ją przytulił. Pachniał deszczem, a z wilgotnej

kurtki unosiła się prawie niedostrzegalna para – sezon grzewczy był w pełni i w mieszkaniu było jak zwykle za gorąco.

– Nie wiem, co ty ze mną robisz – wyszeptał jej do ucha.

– To nie ja. To twój nerw sromowy.

– I romantyzm szlag trafił. – Parsknął śmiechem.

„Mężczyźni dziwnie definiują romantyzm” – pomyślała.

– Twoją złość też – powiedziała zamiast tego. Ich związek był pokręcony, wiedziała to od początku. Z czasem robił się coraz dziwniejszy. – Dasz mi chociaż wyjaśnić, dlaczego chcę iść na spotkanie z Boa?

– Masz pięć minut – odparł zrezygnowany.

„Każdy facet zrobi wszystko dla dobrego seksu oralnego”. Lekcja życia udzielona przez Cezarego właśnie się przydała. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– No to słuchaj... – zaczęła mówić. Zajęło jej to więcej niż pięć minut, ale Michał wysłuchał uważnie do końca.

ROZDZIAŁ 13

– Jestem pewien, że będę tego żałował – zawyrokował Michał, kiedy wyszli na ulicę.

Od kilku dni intensywnie przygotowywali się do dzisiejszego spotkania, wielokrotnie odwiedzając miejsce wyznaczone przez Boa Dusiciela. W tej lokalizacji nie było nic charakterystycznego – ani polany, ani jeziora, ani wiaty na piknik. Tylko drzewa – a te również nie wyróżniały się niczym szczególnym spośród pozostałych drzew w Lesie Kabackim. Z drugiej strony, nie była to też żadna wielka głusza. Parę metrów dalej przebiegała ścieżka wydeptana przez spacerowiczów i rowerzystów, a wielkomiejskim dźwiękom udawało się nawet przebić przez szum wiatru w gałęziach, z rzadka, ale jednak. Boa musiał wybrać to miejsce zupełnie przypadkowo lub kierował się sobie tylko znanymi pobudkami.

– Przecież mamy plan. Idziesz ze mną. Co może pójść nie tak?

– W zasadzie to wszystko.

– Tego właśnie potrzebowałam. Słów otuchy przed spotkaniem z seryjnym mordercą.

– To był twój pomysł. Czego się spodziewałaś, że będę zagrzewał cię do boju? Jeszcze nie jest za późno, możemy zrezygnować.

– Naprawdę nie interesuje cię, kto za tym wszystkim stoi?

– Oczywiście, że tak. Ale moglibyśmy dowiedzieć się tego na moich zasadach.

– Wolę swoje, mimo wszystko.

Michał nie odpowiedział.

Milczał całą drogę.

Samochód zostawili na parkingu publicznym w Powsinie. Paradoksalnie zapewniało im to anonimowość. Ot, kolejni warszawscy spacerowicze, spragnieni tlenu i spokoju, którzy wybrali się na wycieczkę, mimo kiepskiej pogody. Z Powsina poszli piechotą, zataczając pętlę; mieli dużo czasu, dojechali grubo przed wyznaczoną godziną. Rozdzielili się na ostatnich rozstajach – Michał musiał się ukryć. Gęsty zagajnik spełniał swoją funkcję idealnie.

Marta знаła drogę i wiedziała, gdzie iść. Po dotarciu do celu spojrzała na wyświetlacz telefonu: współrzędne potwierdziły, że stoi dokładnie w wyznaczonym miejscu. Oprócz niej nie było tu nikogo. Dla bezpieczeństwa spojrzała w górę, w korony drzew, ale poza wroną siwą nie było tam żadnych żywych istot. Poszukała wzrokiem kamery, w końcu

Boa mógł zabezpieczyć się na wypadek niespodzianek, jednak nic podejrzanego nie przykuło jej uwagi. Jeśli kamera gdzieś była, została dobrze ukryta.

Dla rozgrzewki zrobiła kilka pajacyków, ale szybko dała spokój. Z nudów i nerwów przestudiowała wzory na korze okolicznych drzew. Na pniu jednego z nich ktoś wrył inicjały zamknięte w koślawym sercu. Może to miejsce nie było jednak tak przypadkowe, jak sądzili, skoro z jakiegoś powodu przyciągało nastolatków?

Minęło kilkanaście minut beczynnego czekania. Boa się spóźniał. A co, jeśli w ogóle się nie pojawi? Może spostrzegł Michała i się wycofał. Albo nigdy nie zamierzał się ujawniać i teraz obserwuje ich gdzieś z ukrycia. A może był przebieglejszy, niż sądzili, i realizował jakiś szczególny plan, którego się nie domyślali?

Albo realizowała... Przecież Boa miał być nią, nie nim. Nadal w to wierzyła.

Jakby na potwierdzenie, zza zakrętu ścieżki wyłoniła się kobieca postać. Była zbyt daleko, by Marta mogła dokładnie jej się przyjrzeć. Postać szła szybkim tempem. Wyraźnie patrzyła w stronę Marty, ale to jeszcze niczego nie dowodziło. Kobieta, sama w lesie – nieufność i czujność w stosunku do przypadkowo spotykanych osób była w pełni zrozumiała. Kiedy podeszła bliżej, szczegóły jej garderoby stały się wyraźniejsze – ocieplane legginsy, kurtka z odblaskami, sportowe buty. Wyglądała na biegaczkę, której nawet paskudny listopad nie był stanie zniechęcić do dbania o formę. W jej sylwetce było jednak coś znajomego. Szczupła, zwiewna blondynka o tanecznym chodzie...

„Co mam robić, co robić?” – myślała gorączkowo Marta. Co powiedzieć siostrze? Jak wyjaśnić jej obecność Michałowi? Słabością jej planu było to, że nie istniał. Michał miał rację, spontaniczność miała swoje wady. Machnęła kobiecie na powitanie i ruszyła w jej kierunku. Ta zatrzymała się na sekundę, wyraźnie zaskoczona. Następnie ruszyła ponownie, najpierw lekkim truchtem, potem przyspieszając. Biegła coraz szybciej i była coraz bliżej, teraz dzieliło je może dziesięć metrów. I nagle stało się coś dziwnego – przestała być Kamilą, a stała się zupełnie obcą osobą. Krótsze włosy, ciemne oczy, większy nos... „Jak mogłam się tak pomylić?” – pomyślała zaskoczona Marta. Z bliska kobieta zupełnie nie przypominała Kamili. Na twarzy biegaczki malował się wyraźny niepokój.

„Muszę wyglądać jak kompletna wariatka, stojąc wśród drzew i machając do obcych ludzi”.

Kobieta nie zwalniała tempa, prędko przebiegła ścieżkę, na koniec obejrzała się przez ramię i znikła za zakrętem.

„Przez to wszystko tracę rozum” – uznała Marta. „Muszę wziąć się w garść”.

Odwróciła się w stronę, z której przyszła. I przystanęła jak wryta. Kilka metrów dalej stała kolejna postać. Zmaterializowała się jak duch, praktycznie bezszelestnie. Jej ubiór potęgował wrażenie upiorności: od stóp po czubek głowy ubrana była na czarno. Czubek głowy nie był przesadą – postać nosiła kominiarkę zasłaniającą twarz, również w czarnym kolorze. To ona przeraziła biegaczkę. I nic dziwnego. Marta cofnęła się odruchowo o kilka kroków.

– Jesteś złym lekarzem – odezwała się postać. – Szkodzisz pacjentom, zamiast im pomagać. Musisz ponieść karę.

Postać miała osiemdziesiąt kilo wagi i mówiła barytonem. Marta mogła wykluczyć Kamilę.

– Czego ode mnie chcesz? – krzyknęła w stronę mężczyzny. – Kim jesteś?

– Sprawiedliwością – odpowiedział.

– Daruj sobie. Skąd mnie znasz?

– Wyraź skruchę, to odpuszczone zostaną twoje winy.

– Jakie winy, o czym ty mówisz?

Mężczyzna nie odpowiedział, zamiast tego zbliżył się w jej kierunku.

– To ty ukradłeś moją pieczętkę? – spróbowała ponownie.

Zjawa podchodziła coraz bliżej, a Michał zapadł się pod ziemię. Dlaczego jeszcze go tu nie było? Zaczęła ogarniać ją panika. Nie tak się umawiali. Co miała robić? Krzyczeć? Zaatakować jako pierwsza? Uciekać? Uznała, że to ostatnie miało najwięcej sensu. Ruszyła biegiem w stronę miejsca, gdzie powinien być Łazowski. Nie obejrzała się za siebie, ale trzask łamanych gałęzi wskazywał na to, że mężczyzna ruszył za nią. Na dodatek był szybki. Przeklinała się teraz w duchu za to, że tak się kondycyjnie zaniedbała. Lata dyżurów i siedzenia przed komputerem sprowadziły jej formę do parteru. Po kilku sekundach przewróciło ją na ziemię silne uderzenie w plecy. Kiedy upadła, poczuła, jak coś zaciska się jej na szyi i utrudnia oddychanie. Nie zdążyła zareagować, kiedy opór zelżał. Cichy jęk został poprzedzony tępym dźwiękiem i po chwili napastnik leżał obok niej. Marta obróciła się na plecy. Nad nią stał Michał z grubym kawałkiem drewna w rękach.

- Mówiłem, że to nie był dobry pomysł – oznajmił.
- Długo cię nie było. Myślałam, że się rozmyśliłeś i wróciłeś do domu.
- Zaskoczył mnie. Nie wiem, skąd się tu wziął. Pojawił się zupełnie jak duch. – Wzruszył ramionami. – Wiesz kto to? – Kopnął leżącego w nogę.
- Nie mam pojęcia. Praktycznie nie zaczęliśmy rozmawiać. Niemal od razu rzucił się na mnie. – Zdjęła z szyi żółtą, nylonową pętlę. – Ściągnij z niego tę kominiarkę.
- Michał nachylił się nad leżącym. Nagle tamten chwycił go za rękę i przewrócił na ziemię, siadając na nim okrakiem i próbując dusić.
- Noż kurwa! Naprawdę? – Marta zerwała się na równe nogi i podniosła konar upuszczony przez Michała. Wzięła duży zamach i walnęła napastnika w głowę, ponownie powalając go na leśną ściółkę. – Nie ma za co – zwróciła się w stronę Michała.
- Dobra, należało mi się. Zachowałem się jak żółtodziób. – Michał podniósł się, masując szyję. – Co on ma z tym duszeniem? Borsuk miał rację, to jakiś pieprzony boa – dodał, zakładając napastnikowi kajdanki. Kiedy upewnił się, że jest bezpiecznie, odsłonił leżącemu twarz.
- I jak? – Spojrzał pytająco na Martę.
- Tak, wiem, kto to jest. – Powinna być zaskoczona, ale nie była. Właściwie, gdyby się nad tym zastanowić, było to oczywiste. Mogła domyślić się już wcześniej.
- Jakiś znajomy?
- Można tak powiedzieć.
- Boa jęknął i otworzył oczy.
- Tylko leż spokojnie, bo będę musiał użyć tego – Michał wyjął paralizator i podsunął napastnikowi pod nos. – No i? – zwrócił się w stronę Marty. – Co to za typ?
- Mirosław Cywiński. Był moim pacjentem.
- Dlaczego chciał cię zabić?
- Bo to świr. Ma to na piśmie. Z pieczętką psychiatry.
- Nie jestem wariatem! – zaprotestował Cywiński.
- To dlaczego chciałeś ją zabić? – ponownie spytał Michał, tym razem Cywińskiego.
- Bo jest złym lekarzem. Krzywdzi swoich pacjentów.
- Co z Krukiem, Mrozkiem i Trąbką? Też byli źli?
- Tak. To szuje. Szarlatani.

- Załatwiłeś wszystkich trzech? Przyznajesz się?
- Zasłużyli na to, co ich spotkało.
- Sam to zrobiłeś czy z kimś?
- Nikogo nie potrzebowałem.
- Nie pytam, czy potrzebowałeś, tylko czy miałeś współników.
- Nie.
- Trzeba zawiadomić chłopaków, niech go zabierają. – Michał wyjął z kieszeni telefon. – Resztę opowie na przesłuchaniu.
- Poczekaj. – Marta przykucnęła obok leżącego. – Moja pieczętka przy zwłokach Trąbki to też twoja robota?
- Tak.
- Po co to zrobiłeś?
- Cywiński przekręcił się na bok.
- Myślałem, że gliny chwycą trop.
- Chciałeś zrzucić na nią winę? – parsknął Michał. – Naprawdę myślałeś, że ci się uda?
- Nie musiało. Podejrzenia i plotki napsułyby jej krwi. A gdyby nie miała alibi... Wtedy byłoby ciekawie.
- A co z anonimami? Je też wysyłałeś? – wtrąciła się Marta.
- Anonimami? – zdziwił się Cywiński.
- *Naegleria fowleri*. Ameba zjadająca mózg.
- Patrzył na nią pytającym wzrokiem.
- Nie udawaj. Napisałeś, że to ja go zaraziłam. Jestem pewna, że to ty! – Chwyciła go za kołnierz kurtki.
- Marta, daj mu mówić!
- Nie pisałem żadnych anonimów. Po co miałbym to robić?
- Kłamiesz!
- Marta, zostaw go!
- Przecież widzisz, że kłamię. Dowiedział się, że byłem lekarzem Schulza, i chciał mnie załatwić.
- Nie wysyłałem żadnych anonimów – upierał się Cywiński.
- A dlaczego napisałeś w liście do niej: „Wiem, co zrobiłaś”?

– Bo na pewno coś zrobiła. Jest lekarzem. Oni wszyscy mają coś na sumieniu. Chciałem, żeby przyszła na spotkanie. Podziałało. Jak widać, miałem rację.

– Dobra, dokończymy tę rozmowę na komisariacie. – Michał znów sięgnął po telefon.

– Świetnie. Spytałem przy okazji o Schulza i amebę zjadającą mózg. Czy wiedzą, że to robota Marty Wolskiej.

– Co?

– To, co słyszeliście. Jeśli zawiadomicie policję, to powiem, że zabiła Schulza.

– Przed chwilą twierdziłeś, że nie wiesz, o co chodzi.

– Bo nie wiedziałem. Ale już wiem. Coś ukrywacie. Zniszczę was, jeśli będziecie próbowali zniszczyć mnie. Ale możemy się dogadać. Puśćcie mnie, a zapomnę o wszystkim i nie będziemy już sobie wchodzić w drogę.

– Chodź na chwilę. – Michał odciągnął Martę na bok.

– Co teraz? – spytała.

– To ja ciebie pytam, co teraz. Cała ta porąbana akcja była twoim pomysłem. Na dodatek jak ostatnia frajerka nakarmiłaś go informacjami o Schulzu. Co teraz, Marta?

– To chyba oczywiste, że gnojka trzeba się pozbyć.

– Tutaj chcesz się go pozbywać? – zdziwił się.

– Jasne, że nie. Musimy go zabrać. Najlepiej do jego własnego domu. Mieszka sam. Gdzieś na odludziu.

– Dużo o nim wiesz. Zawsze jesteś tak blisko ze swoimi pacjentami?

– Ten był wyjątkowy. – Cywiński lubił opowiadać o swoim życiu z najdrobniejszymi szczegółami. Nie sądziła, że ta wiedza może jej się kiedykolwiek do czegoś przydać.

– Dobra, spadajmy stąd, zanim wszystko jeszcze bardziej się spieprzy. Gdzie on mieszka?

– Daj mi chwilę. – Marta pogrzebała w komórce, logując się zdalnie do szpitalnego systemu danych, gdzie zapisane były adresy pacjentów.

Kiedyś nie robiła takich rzeczy. Była bardziej ostrożna. Miała w pamięci przestrogi ze szkoleń, że w systemach nic nie ginie i że każde logowanie, każdą próbę kradzieży informacji można w prosty sposób ustalić. Do czasu. Kilka tygodni temu szpital na wniosek prokuratora miał udostępnić dane medyczne dotyczące jednego z pacjentów. Okazało się, że zniknęły. Rozpłynęły się gdzieś w gąszczu serwerów i nikt nie mógł ustalić, co się z nimi stało. Nie sposób było również znaleźć winnych tego stanu rzeczy.

Mechanizmy zabezpieczające nie działały, ponieważ w ogóle ich nie było. A platforma medyczna, na której przechowywano dane pacjentów, była jednym wielkim supermarketem, do którego dostęp miał prawie każdy: lekarze, pielęgniarki, informatycy, sekretarki medyczne, pracownicy bloków administracyjnych, panie z NFZ...

– Mieszka w Markach – zakomunikowała Michałowi. – Ustawię dokładną lokalizację w nawigacji, poprowadzi nas.

Wrócili do leżącego Cywińskiego.

– To twój szczęśliwy dzień – oznajmił Michał. – Masz samochód?

– Nie.

– Oczywiście, że ma – prychnęła Marta. – Jak inaczej mógłby się tu dostać?

Michał schylił się, przeszukał kieszenie leżącego i znalazł kluczyki od samochodu.

– Słuchaj, wydaje ci się, że jesteś sprytny, ale tak naprawdę nie jesteś. Więc albo będziesz mówił prawdę, albo nie będziesz mówił wcale. Bez żalu utopię cię w jakimś bagnie po drodze. To są twoje dwa wyjścia, zastanów się dobrze. Innych nie masz. Rozumiesz? W porządku. Skoro ustaliliśmy, że masz samochód, to teraz powiedz, gdzie zaparkowałeś.

Cisza.

– Nie zmuszaj mnie, żebym powtarzał pytania. – Palec Michała znalazł się za uchem Cywińskiego, tuż przy wyrostku sutkowatym.

– W Powsinie, aaaaa! Na parkingu w Powsinie!

– Dobrze się składa. My też. No to idziemy. Wstawaj, ale powoli. Żadnych głupich pomysłów. – Zdjął własną kurtkę i zarzucił na Cywińskiego. Nie potrzebowali zdziwionych spojrzeń, prowadząc gościa zakutego w kajdanki.

Parking był nadal prawie pusty. Nieliczni spacerowicze mijali ich obojętnie, zatopieni we własnych myślach i problemach. Guzik przy breloczku zidentyfikował szarą skodę octavię, Michał wpakował Boa na tylne siedzenie.

Marta otworzyła drzwi z drugiej strony.

– Ty jedziesz moim – zaprotestował Łazowski.

– Wiem – odpowiedziała. Wyjęła strzykawkę zakończoną igłą, którą wbiła w udo Cywińskiego. Poszamotał się przez chwilę i znieruchomiał.

– Co to było? – spytał Michał.

– Nie chce mi się tłumaczyć. Zresztą i tak się nie znasz na farmakopei.
– Mówisz poważnie? – Uniósł brwi.
– No. – Wzruszyła ramionami. – To gwarancja, że nie wytnie nam po drodze żadnego numeru.

Pokiwał głową z niedowierzaniem.

– Zawsze nosisz w torebce takie rzeczy?
– Lepiej być przygotowaną na różne scenariusze.

Marta pojechała pierwsza, samochodem Michała. Za nią Łazowski z nieprzytomnym Boa na tylnym siedzeniu.

GPS doprowadził ich do piętrowego budynku o bryle klocka, stojącego samotnie przy leśnej drodze. Bez żadnych sąsiadów w pobliżu, jak zdążyli zauważyć. Na wszelki wypadek Marta zadzwoniła do drzwi, ale nikt nie otworzył. Zrobiła to sama, kluczem znalezionym przy Cywińskim.

– Halo, jest tu kto? – zawołała, wchodząc. Dom był pusty.

Otworzyła bramę i wpuściła Michała. Zaparkował skodą w garażu. Samochód Michała umieścili w szopie, żeby nie rzucał się w oczy ewentualnym przechodniom.

Przenieśli Cywińskiego do pokoju i przykuli do kaloryfera. Spodnie w okolicy krocza miał mokre – efekt uboczny podanego leku. Nie przejęli się tym ani trochę.

– Co teraz? – spytała ponownie Marta.

– Teraz mamy czas, żeby się zastanowić, co dalej. Tak przy okazji, ile on jeszcze pośpi? – Wskazał palcem na Cywińskiego.

– Ile będzie trzeba. Mam w torbie całą aptekę.

– No tak... – Pokiwał głową. – To pomóż mi rozejrzeć się po domu. Chcę znaleźć dowody na to, że faktycznie zabił Kruka, Mrozka i Trąbkę.

– Przecież się przyznał.

– To jeszcze nic nie znaczy.

– A ja? Przecież chciał zabić mnie!

– Fakt, chciał. Ale to nie znaczy, że zabił tamtych trzech.

– Chyba żartujesz!

– Też myślę, że ich zabił, nie oburzaj się tak. Chciałbym jednak znaleźć jakieś potwierdzenie. Lubię wiedzieć, co jest grane. Poza tym Cywiński może jednak mieć

wspólnika, nie pomyślałaś o tym? Pomóż mi. To duży dom. Tylko nie ściągaj rękawiczek.

– Przecież tu jest zbyt ciepło na rękawiczki. Już mi się dłonie zaczynają pocić.

– To włóż lateksowe. – Podał jej opakowanie.

– Na co te środki ostrożności?

– Na wszelki wypadek. Nie mamy żadnego planu. Nie wiemy, jak wszystko się skończy.

Rozdzielili się. Michał zaczął od piętra, gdzie mieściła się sypialnia, gabinet i duża łazienka. Marta została w salonie, zdominowanym przez czeczotową meblościankę. Pokój wyglądał na urządzony przez matkę lub babkę Cywińskiego. W porcelanowych baletnicach, kryształowych koszyczkach i szydełkowych serwetach znać było kobiecą rękę, choć raczej była to ręka kobiety urodzonej co najmniej pokolenie wcześniej. W całym domu unosił się duszący zapach leków i ziół – Cywiński był hipochondrykiem do kwadratu i na każdą z urojonych dolegliwości miał odpowiedni specyfik. Wiedziała o tym, bo już pierwszego dnia hospitalizacji wręczył jej długą listę preparatów z żądaniem, by szpital zapewnił mu do nich bezpłatny dostęp, który „przecież mu się należy”. Na liście nie było żadnego leku, same niepotrzebne suplementy, więc żądanie zostało zignorowane.

Podeszła do okna, uchyliła je i z ulgą zaciągnęła się świeżym leśnym powietrzem. Przewentylowała się łapczywie kilka razy i z żalem wróciła do poszukiwań. Smród był trudny do wytrzymania. Otworzyła wszystkie szafki, szuflady i barek, ale nie znalazła nic, co mogłoby zainteresować Michała. Natomiast jedyną rzeczą, która przykuła jej uwagę, była donica z ogromnym gruboszem nazywanym też drzewkiem szczęścia. Naprawdę pięknym, rozłożystym i symetrycznym. W pokoju stały też inne doniczki, ale sterczały z nich tylko suche badyle. Najwidoczniej Cywiński nie miał ręki ani serca do roślin. Grubosz przeżył, bo był sukulentem i nie przeszkadzał mu niedostatek wody.

– Znalazłaś coś? – spytał Michał, schodząc z piętra.

– Nie. A ty?

– Tylko to zdjęcie. Stało w sypialni. Oprawione w drogą ramkę, musi mieć dla Cywińskiego jakąś wartość.

Fotografia w złotej oprawie przedstawiała Cywińskiego i jakąś kobietę. Uśmiechnięte twarze, duże zbliżenie, najwyraźniej selfie, w tle drzewo i serce wyryte w jego korze.

– K+M? – przeczytała Marta. – Michał, ja wiem, gdzie zrobiono to zdjęcie!

– Jakim cudem?

– To drzewo rośnie w miejscu wyznaczonym przez współrzędne GPS z listu Cywińskiego. Widziałam to serce, kiedy na niego czekałam!

– To tłumaczy jego wybór. Ciekawe, kim jest kobieta ze zdjęcia?

– Spytamy go, kiedy się obudzi. Co dalej?

– Musimy przeszukać jeszcze kuchnię i łazienkę. No i piwnicę.

W dwóch pierwszych pomieszczeniach nie było niczego interesującego. Cywiński musiał żywić się poza domem, bo nie znaleźli śladów jedzenia, a pustą lodówkę odłączono od prądu. Do piwnicy postanowili zejść wspólnie. Schody prowadzące w dół były strome, lecz szerokie, co nieco łagodziło poczucie upiorności. Ale nie całkiem. Nikłe światelko klatki schodowej oświetlało tylko górne stopnie, te dolne tonęły w ciemnościach, podobnie jak i sama piwnica. Michał wyjął komórkę i włączył latarkę. Na końcu schodów znaleźli włącznik i Marta z ulgą zapaliła światło. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, przypominało niewielką kotłownię. Stał tu piec, przy nim leżał stos węgla. Poza tym było puste, nie licząc dwojga drzwi na przeciwległych ścianach. Otworzyli pierwsze z nich, Marta znów sięgnęła do włącznika.

– Niezła kolekcja! – Michał wszedł do środka i przystanął przed jedną ze ścian.

– Wygląda na to, że właśnie znalazłeś swoje dowody. – Marta stanęła obok niego.

Przez kilka sekund w milczeniu wpatrywali się w zdjęcia, którymi oklejono ścianę. Przedstawiały trzech różnych mężczyzn. Jednego znała z widzenia – był to Mrozek. Drugi musiał być Krukiem, trzeci Trąbką. Kolaż przedstawiał zwyczajne sceny z ich życia: mężczyźni rozmawiali przez telefony, kupowali bułki, wsiadali do samochodów, wyprowadzali psy. Uwagę Marty przykuły jednak fotografie wykonane po ich śmierci, na których zauważyła jedną wspólną cechę: w ostatniej drodze towarzyszył im taki sam przedmiot, żółta nylonowa linka, zaciśnięta wokół szyi. Wyglądała niepokojąco znajomo.

– Brrr... – Marta dotknęła dłonią własnego karku. – Ktoś tu się chyba naoglądał seriali kryminalnych.

– Poczekaj tu – polecił jej Michał i ruszył w stronę kotłowni.

– Nie zostawiaj mnie samej! – zaprotestowała. – Gdzie idziesz?

– Muszę sprawdzić, co jest za drugimi drzwiami.

– Idę z tobą!

Drugie drzwi były zamknięte na klucz. Klucz tkwił w zamku od ich strony. Spojrzeli na siebie. Marta zapukała.

– Jest tam kto? – krzyknęła.

– Co robisz?

– To raczej jasne, że nikt nie zamyka pustego pomieszczenia. A jeśli ktoś jest w środku, to niech wie, że przychodzimy z pomocą.

– Odsuń się – polecił i wyjął broń. Przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Marta wstrzymała oddech. Wbrew jej obawom przywitała ich jednak cisza. W pomieszczeniu nie było nikogo. Białe światło żarówki oświetliło ceglane ściany niewielkiej komórki. W kącie stało metalowe łóżko, na nim leżał materac i stos szmat, służący za posłanie. Poza tym w pomieszczeniu nie było innych sprzętów.

– Bardzo dziwne – skomentowała Marta. – Ktoś tu chyba mieszkał.

– Muszę porozmawiać z Cywińskim. Kiedy się obudzi? – spytał Michał.

– Nie wiem... może za godzinę. Może za dwie. Nie mam za dużego doświadczenia z takimi lekami.

– Musimy go tu przynieść.

– Tu? – zdziwiła się.

– Przecież nie możemy zostawić go na górze. Będzie się darł, ktoś go usłyszy. Tutaj nie ma okien.

– A dlaczego go nie załatwimy, tak po prostu? Mam w torbie to, co potrzeba.

– Bo z nim nie skończyłem. Jeszcze mi wszystkiego nie powiedział.

– Ty wiesz lepiej. – Wzruszyła ramionami.

Cywiński był nadal nieprzytomny, kiedy znosili go po schodach. Nawet się nie skrzywił, kiedy wyrznął głową o jeden ze stopni.

– Mówiłem, żebyś nie szarpała tak jego nogami, znowu mi się wysunął! – syknął Michał. – Za chwilę nie będzie kogo nieść.

– Te schody są naprawdę strome!

Położyli Cywińskiego na łóżku i dla pewności przykuli do wezglowia.

– Dobra, możemy wrócić do biura i dokończyć poszukiwania.

Biuro było trafnym określeniem. Pomieszczenie z kolażem na ścianie, również pozbawione okien, najwyraźniej pełniło taką funkcję. Wielki stół zasypano papierami,

a metalowy regał zamiast słoików mieścił gazety, książki i segregatory. Obrotowe krzesło stojące w rogu miało żółte obicie i nie pasowało do miejsca, w którym stało.

– Po co trzymał to wszystko w piwnicy? Przecież na górze jest wiele pomieszczeń, w których jest czym oddychać. Nie mógł tam się urządzać? – zdziwiła się.

– Idź go zapytaj. A nie, przepraszam, zapomniałem, że dostał od ciebie końską dawkę czegoś tam i śpi.

– Nie musisz być złośliwy. Przecież nie prosiłam się o to wszystko. Tak w ogóle to czego szukamy? – Przeczesywanie dokumentów Cywińskiego napawało ją obrzydzeniem.

Musieli przekopać się przez góry kser, ogłoszeń i wycinków z gazet. Jak zdążyła zauważyć, Cywiński był monotematyczny, wszystkie dotyczyły zdrowia: „Lekarze go nienawidzą. Odkrył prosty sposób na radzenie sobie z bólem stawów”, „Masz dość antybiotyków? Nikt nie wie, co ci dolega? Nasi specjaliści skutecznie radzą sobie z beznadziejnymi przypadkami za pomocą ultranowoczesnej lampy bozonowej, prosto z CERN”, „Doktor Ho-Ming-Chi posiada wieloletnie doświadczenie w tajnikach akupunktury oraz chińskim horoskopie. Leczy nowotwory, wrzody żołądka, zgagę oraz niepowodzenie w miłości”.

– Nie wiem, jak znajdę, to ci powiem. Po prostu szukaj. Daj znać, jak trafisz na coś ciekawego.

Westchnęła i zabrała się do roboty. Po dwudziestu minutach natrafiła na notatnik oprawiony w czerwone płótno. Otworzyła na ostatniej zapisanej stronie.

– Posłuchaj – zwróciła się w stronę Michała. – *Obowiązkiem każdego lekarza jest pomagać choremu, diagnozować go i leczyć. A nie śmiać się z niego i próbować robić z niego wariata. Takie bydlaki nie zasługują na miano lekarzy. Nie zasługują również na życie. Należy ich eliminować. Za kilka godzin wyeliminuję taką jednostkę. To lekarka, która jest kobietą i jako kobieta powinna być bardziej empatyczna od mężczyzn. Wcale nie jest. To wredny babsztyl, który nic nie wie, ale robi z siebie wielką panią doktor. Nienawidzę jej. Wkrótce dołączy do reszty. Dzisiejsza data. To jego pamiętnik – dodała, choć było to oczywiste. – Kto w dzisiejszych czasach pisze pamiętniki? A zwłaszcza odręcznie? Ma pismo jak ośmiolatek...*

– Pokaż. – Michał odebrał jej notatnik i zaczął go kartkować. – Miałem nadzieję, że znajdziemy coś takiego. Wszystkie świry piszą pamiętniki. Nie wiem dlaczego, ale tak

właśnie jest. Może to rodzaj testamentu, jaki chcą zostawić światu.

– Naprawdę chciał mnie zabić, bo nie wzięłam na poważnie jego urojonych dolegliwości?

– Tak, trafiłaś na „misjonarza”.

– Na kogo?

– To jest taki typ seryjnego mordercy, któremu wydaje się, że realizuje misję zbawiania świata poprzez eliminowanie szkodliwych jednostek.

– Coś jak my?

– Tak, Marta, zupełnie jak my!

– Ale ja mówię poważnie. Przyznaj, że dostrzegasz analogię.

– My eliminujemy jednostki, które są obiektywnie szkodliwe, ten tutaj kierował się zwykłą antypatią.

– Ja też kieruję się antypatią. Nie obchodzi mnie, że zabił Mrozka, Kruka i Trąbkę. Nie znoszę drania tylko dlatego, że chciał zabić mnie. I właśnie dlatego chcę teraz zabić jego.

– Marta, to nie jest miejsce ani czas na takie dyskusje. Cywiński to przypadek dla policji. A może dla psychiatrów. W każdym razie nie dla Wyleczonych. Nie chcę go zabijać, ale nie mam wyjścia. Żywy jest dla nas zbyt dużym zagrożeniem.

– Chyba dla mnie. Gdybyśmy nie złapali go dzisiaj, jutro być może udusiłby mnie w piwnicy „Błęńskiej”.

– Niewykluczone. Może i mieliśmy szczęście. Ale teraz przestań już tyle gadać. Jest późno i chce mi się spać. Skończmy wreszcie tę robotę i wracajmy do domu.

– A co z Cywińskim?

– Cywiński tu zostaje.

– Tak sam?

– A co, teraz ci go żal?

– Nie boisz się tak go tu zostawiać? Co jeśli ucieknie? Albo ktoś go w nocy uwolni?

– Siedzimy tu już tyle godzin i nikt się nie pojawił. Zamknę go porządnie, nie ma szans się stąd wydostać.

– Czemu go po prostu nie kropniemy?

– Już ci mówiłem. Nie znam jeszcze wszystkich odpowiedzi, chciałem z nim pogadać, a przez ciebie był dziś wyjątkowo mało rozmowny. Zresztą musimy się zastanowić, co

z nim dalej zrobić. Stworzyć jakiś plan. Nie możemy go tak po prostu zabić. Trzeba oficjalnie zamknąć tę sprawę, ustalić mordercę. Znaleźć trupa, ale nie takiego, do którego przypieprzy się toksykolog. A ja nawet nie znam nazwy tego farmaceutycznego syfu, którym go uspiłaś. Poza tym tutaj jest pełno innych śladów, które prowadzą do ciebie. Na przykład ten pamiętnik. Dobra, koniec gadania, bierz się do roboty. Naprawdę chcę już wracać.

– Ale ja też mam tego dość – jęknęła. – Czego my właściwie szukamy? Przecież masz już pamiętnik.

– W sumie to masz rację – zgodził się po krótkim namyśle. – Zbierajmy się. Wrócę tu jutro rano i... – przerwał nagle. Przez kilka sekund wpatrywał się w zawartość kartonowego pudła, którego wieko przed chwilą odłożył na bok. – Powinnaś to zobaczyć – oznajmił, wyjmując ze środka plik zdjęć. Podał jej kilka z nich.

Była na nich Marta. Zapatrzona w komórkę podczas jazdy autobusem, oglądająca rośliny w supermarkecie, rozmawiająca z kimś na oddziałowym korytarzu. Cywiński już od pewnego czasu śledził ją i fotografował, a ona nie miała o tym pojęcia.

– To chujek – przekleła. – Teraz nienawidzę go jeszcze bardziej. Postaram się, aby pocierpiał.

– Lepiej postaraj się, żeby to wyglądało na naturalny zgon. Nie chcemy już więcej problemów.

– Przynajmniej nie mam zdjęć z nylonową linką – próbowała zażartować. Odruchowo pomasowała kark. – Chcę już stąd iść. Zawieź mnie do domu.

Cywiński nadal spał. Zostawili mu wodę do picia oraz wiadro na wypadek innych potrzeb. Zamknęli drzwi jego celi oraz wejście do piwnicy. Oba klucze powędrowały do kieszeni Michała.

Kiedy mijali salon, Marta nagle sobie o czymś przypomniała. Weszła do pokoju.

– Pomóż mi wsadzić tę donicę do samochodu. – Zaczęła mocować się z gruboszem.

– Naprawdę chcesz to zabrać ze sobą? – Michał patrzył na nią z osłupieniem.

– No jasne. Nie mogę zostawić takiego drzewka szczęścia. Spójrz co zostało z innych roślin, same badyle. Przecież umrze bez wody.

– Cywińskim się tak nie przejmowałaś. To ja nalegałem, żeby zostawić mu wodę.

– Bo grubosz nie próbował mnie udusić. Poza tym spójrz na jego rozmiary. Musi mieć ze dwadzieścia lat. Jest piękny.

Michał przewrócił oczami, ale zabrał się do podnoszenia donicy. Był zbyt zmęczony, żeby się kłócić, poza tym wiedział, że i tak nie miało to sensu. Marta uwielbiała rośliny i uważała je za istoty doskonałe. „Nikogo nie krzywdzą, nie pieprzą farmazonów, a odchody potrafią przerobić na kwiaty” – zawsze mu powtarzała.

Na zewnątrz było ciemno. Nic nie usłyszeli, z wyjątkiem odgłosów lasu otaczającego dom. Bliskość Warszawy była tu niedostrzegalna. Umieścili grubosza na tylnym siedzeniu i przypięli donicę pasem.

Jechali powoli leśną drogą, aż dotarli do utwardzonej nawierzchni. Dopiero od tego miejsca zaczynały się inne zabudowania. Światła w większości okien były już pogaszone, a wokół nie było widać żywego ducha. Jak dotąd, drzewko szczęścia przynosiło pomyślność im, nie Cywińskiemu.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy Marta otworzyła oczy, za oknem było jeszcze ciemno. Miała dziś dyżur, więc mogła spać nawet do południa, ale Michał obudził ją, wymykając się cichaczem z łóżka. A raczej próbując. Wołała, gdy wstawał normalnie. Za każdym razem, kiedy starał się wyjść z sypialni tak, by jej nie obudzić, zrzucał z szafki nocnej przedmioty albo zaplątywał się w pościel. Dziś potknął się o jej kapcia, który ze stukiem uderzył w kaloryfer. Próbowała zasnąć ponownie, ale im bardziej się starała, tym bardziej jej to nie wychodziło. W końcu wstała z łóżka i poszła do kuchni.

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą pojechała? – spytała Michała po raz kolejny, kiedy ten wręczył jej kubek świeżo zaparzonej kawy.

– Na pewno. Będziesz mi tylko przeszkadzać.

– Co jeśli nie będzie chciał gadać?

– Będzie. Zawsze gadają. Mam swoje sposoby.

– Tortury? – próbowała zgadnąć.

– Co ci przyszło do głowy? To nie średniowiecze – roześmiał się.

– To jak inaczej można zmusić kogoś do powiedzenia czegoś, czego wcale nie chce powiedzieć?

– Sposób stary jak świat. Wielokrotnie wypróbowany – odparł i wyjął z torby półlitrową butelkę wódki.

– Na mnie również?

– Na ciebie mam inne metody. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Tak? Jakie? – spytała. Pomyślała o aplikacji szpiegowskiej w telefonie.

– Dobry oficer śledczy nie zdradza tajników swojego warsztatu.

Przewróciła oczami.

– Co jeśli coś ci się stanie? – spytała.

– Nic mi się nie stanie.

– A jeśli?

– Marta, wszystko będzie dobrze. – Pocałował ją w czubek głowy. – Idź spać, jeszcze ciemno. Wrócę po południu, zanim wyjdiesz na dyżur.

I już go nie było.

O powrocie do łóżka nie było mowy. Zapaliła lampkę nocną i wzięła do ręki teczkę wiceprezydenta Woźniaka. Wczoraj przesłał jej za pomocą komunikatora wyniki

dotatkowych badań, o które go wcześniej prosiła. Potwierdzały jej przypuszczenia. Jeszcze raz wszystko dokładnie przeanalizowała. Musiała być pewna swojej diagnozy, zanim skontaktuje się z Woźniakiem. To, co było w teczce, nie pozostawiało wątpliwości. Uśmiechnęła się sama do siebie.

Wzięła prysznic i zjadła śniadanie, dając szansę prezydentowi na dotarcie do biura, dopiero wtedy wybrała jego numer. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Dzień dobry, pani doktor, właśnie się zastanawiałem, czy dostała pani moje wiadomości.

Rzeczywiście, nie potwierdziła ich otrzymania. Była zajęta ucieczką przed Boa Dusicielem.

– Nie tylko dostałam, ale również wiem już, co panu dolega. – Nie miała zamiaru się usprawiedliwiać. To on potrzebował jej, a nie na odwrót. – Ma pan czas dzisiaj przed południem? Chciałabym się z panem spotkać i porozmawiać.

– O... – Był wyraźnie zaskoczony. – Jest pani pewna? Inni lekarze poszukują już od roku...

– Jeśli pan woli, możemy porozmawiać za rok. Czy wtedy będę bardziej wiarygodna?

– Przepraszam. Samo mi się wyrwało... – zmieszał się. – Czy mogłaby pani przyjechać do mnie, do mojego gabinetu? Wiem, że pewnie to ja powinienem do pani, ale...

– Nie ma problemu – zgodziła się. – Ma pan czas tak za godzinę?

– Za godzinę...Hm... – Usłyszała szelest kartek. – Mam wtedy spotkanie z miejskimi aktywistami, ale nic nie szkodzi. Oni mogą poczekać.

– Świetnie, zatem do zobaczenia.

Po godzinie ponownie stała przed znajomą bramką do wykrywania metalu, z tym samym emerytowanym ochroniarzem na warcie. Przed déjã vu ustrzegł ją fakt, że dziś korytarze budynku pełne były ludzkiego gwaru. Niektórzy z przechodzących stwarzali pozory biurowej aktywności, niosąc w rękach również dokumenty. Dla innych udawanie o tak wczesnej porze było zadaniem ponad siły. Ci nieśli wyłącznie parujące kubki. Zapach kawy był dziś jeszcze bardziej intensywny niż ostatnio.

Prezydent Woźniak wyszedł po nią na korytarz. Eskortował ją teraz w stronę swojego gabinetu, co nadawało jej status gościa VIP. Może dlatego mijani przechodnie spoglądali

na nią z szacunkiem i lekkim przestraczem, co bardzo jej się podobało. Zwykle kiedy odwiedzała urzędy, wywoływała w ich pracownikach jedynie niechęć.

– Pani Wiesiu, dwie kawki poprosimy – rzucił w stronę tlenionej sekretarki. – Pije pani z mlekiem i cukrem? – spytał Martę.

– Tak, poproszę. – Co prawda piła już dzisiaj kawę, ale czuła się w obowiązku wypić kolejną. Zresztą była ciekawa, jaką pija się w Ratuszu.

Posadził ją w skórzanym fotelu, sam usiadł obok, w identycznym. Kiedy sekretarka przyniosła kawy i zamknęła za sobą drzwi, zwrócił się do niej pełnym niepokoju głosem:

– Proszę mnie dłużej nie trzymać w niepewności. Będę żył?

– Do samej śmierci, obiecuję – rzuciła suchym dowcipem. Był prawie świt, jej poczucie humoru jeszcze spało.

Udał, że go rozbawiła.

– Oddaję pana wyniki badań. Niczego nie brakuje. Niczego nie skopiowałam. Może pan być spokojny. – Nie spiesząc się, wyjęła z torby pękata teczkę i podała Woźniakowi.

– O to akurat jestem spokojny. – Odebrał od niej teczkę. – Natomiast wolałbym, żeby powiedziała mi pani wreszcie, co mi jest. Ten suspens mnie wykończy.

– Rozumiem. Już mówię, To hemochromatoza.

– Hemochromatoza? Pierwsze słyszę. To coś zakaźnego? Coś poważnego?

– Nie i nie. A raczej nie i niespecjalnie, pod pewnymi warunkami. Hemochromatoza to choroba genetyczna. W jej przebiegu dochodzi do zwiększonego wchłaniania żelaza, co prowadzi z kolei do nadmiernego gromadzenia żelaza w tkankach, szczególnie w wątrobie, trzustce, przysadce czy stawach. Stąd objawy ze strony tych narządów.

– Czyli to nie jest zakaźne? Nie mogłem się tym zarazić na przykład w wyniku kontaktów płciowych?

– Nie, w żadnym wypadku. To choroba wrodzona, dziedziczna.

– Czyli nie mogę tym nikogo zarazić?

– Własne dzieci. Niech wykonają te same badania, o które poprosiłam pana.

– Ale nikogo więcej? Na przykład przez kontakty płciowe? – naciskał Woźniak.

– Nie. Nie przez kontakty płciowe. – Marta traciła cierpliwość.

– Przepraszam, że taki monotematyczny jestem, ale wie pani, dla mężczyzny pewne problemy są końcem świata... – Wyczuł jej irytację.

No tak, to było sedno sprawy. Główny objaw, który przeszkadzał Woźniakowi najbardziej i sprawił, że szukał jej pomocy.

– A jak się to leczy?

– Upusty krwi. Mniej więcej co dwa tygodnie. Może częściej.

– Będą mi puszczać krew? I co jeszcze, może na trzy zdrowaśki do pieca? – Roześmiał się Woźniak. – Pani tak na serio? – spoważniał, kiedy zobaczył minę Marty.

– Zupełnie serio. Upusty są standardową metodą leczenia hemochromatozy.

– A nie ma jakichś leków? Żebym mógł je brać na przykład rano i wieczorem, tak żeby nikt o tym nie wiedział? Częste wizyty w szpitalu będą nasuwać pytania o stan mojego zdrowia. Wie pani, jakie tu w Ratuszu źmije pracują? I co się stanie, jak dowiedzą się o mojej chorobie?

Biurowe relacje międzyludzkie nie interesowały Marty, ale postanowiła pomóc Woźniakowi.

– Nie ma pan zmian narządowych, więc pana krew może być wykorzystywana w lecznictwie. Co oznacza, że może pan zostać honorowym dawcą krwi. I tak proszę wszystkim mówić. Że wspiera pan banki krwi. Jeszcze pan na tym zapunktuje u wyborców... – podsunęła.

– Ależ to jest doskonała myśl – ożywił się Woźniak. – Znakomita. Powinna pani w pijarze pracować. Chociaż lepiej nie – zmitygował się. – Cwaniaków mamy tu w nadmiarze. A osób, które faktycznie coś wiedzą i umieją – jak na lekarstwo.

Jej telefon oznajmił nadejście esemesa. Spojrzała na wyświetlacz, wiadomość wysłał Michał: „Wszystko dobrze. Wracam do domu. Będę za godzinę”.

– Niech pani robi dalej to, co pani robi. Jest pani w tym świetna – kontynuował wiceprezydent. Zabrzmiało to dwuznacznie, w kontekście wiadomości od Michała.

– Zamierzam. – Sama już nie wiedziała, co miała na myśli.

Woźniak zadawał masę pytań. Odpowiadała cierpliwie, choć w pewnym momencie spojrzała na zegarek.

– No cóż, widzę, że się pani spieszy. Nie będę pani zatrzymywał. – Zauważył to.

– Przepraszam, ale mam dzisiaj dyżur.

– Nie musi pani przepraszać, to zrozumiałe. Zostało nam tylko jedno. – Wyjął z szuflady kopertę, tę samą, którą próbował wręczyć jej poprzednio. – Pani honorarium.

– Nie wezmę od pana pieniędzy.

– Wykonała pani kawał dobrej roboty. One się pani należą. Czy wie pani, ile już wydałem na te wszystkie badania i konsultacje? – Wskazał ręką teczkę. – Nie wspominając, ile czasu straciłem na poszukiwania. Na koniec usłyszałem, że jestem hipochondrykiem.

– Nie wezmę tych pieniędzy – powtórzyła. – Nie potrzebuję ich. Wolę, żeby miał pan wobec mnie dług wdzięczności.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Ma pani na myśli jakiś barter?

– Nie wiem. Jeszcze niczego nie mam na myśli. Po prostu, jeśli byłabym kiedyś w sytuacji, w której potrzebowałabym pana pomocy, chciałabym, żeby mi jej pan udzielił. Nic nielegalnego, obiecuję – dodała, widząc, jak na jego twarzy maluje się niepokój. – Czy zgadza się pan na taki układ? Czysto hipotetyczny. Być może nigdy się do pana nie odezwę.

– Oczywiście, zgadzam się. – Podał jej rękę. – Choć wolałbym, żeby się pani odezwała. Nawet jutro... I, na przykład, wypła ze mną kawę. Wybiorę jakiś stosowniejszy *entourage*. I poczęstuję panią lepszą kawą. Ta z przydziału smakuje jak pomyje, wiem o tym.

– To miłe, ale na pewno jest pan zajęty.

– Dla pani... – zaczął, kiedy przerwało mu pukanie do drzwi.

– Panie prezydencie, proszą pana natychmiast na to spotkanie w dziesiątce. Byli już trzy razy, mówią, że to naprawdę pilne – oznajmiła sekretarka i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Do zobaczenia. Bądź nie. – Marta wykorzystała okazję, by uwolnić dłonie z uścisku Woźniaka i wyjść z jego gabinetu. Wiceprezydent Warszawy był ewidentnym kobieciarzem, a ostatnie, czego w tej chwili potrzebowała, to znaleźć się na świeczniku tabletek lub służb.

Kiedy wróciła do domu, Michał siedział w kuchni i jadł pizzę.

– Kupiłem bez mięsa, zjedz kawałek, zanim wyjdiesz do pracy. – Podał jej talerz.

– I jak, czegoś się dowiedziałeś? – spytała zniecierpliwiona.

– Ze szczegółami opowiedział o tym, jak wykończył Mrozka, Kruka i Trąbkę. I jak planował wykończyć ciebie. Podobno jesteś najgorszym lekarzem, jakiego w życiu spotkał. – Michał był w wyjątkowo radosnym nastroju. Zastanawiające, biorąc pod

uwagę, że spędził cały ranek i przedpołudnie z seryjnym mordercą, który chciał udusić mu dziewczynę.

– Są tacy, którzy sądzą inaczej. Prawdziwie chorzy i potrzebujący – odpowiedziała z przekąsem. – Co z kobietą ze zdjęcia?

– Nazywa się Karolina Relich. Ale poza nazwiskiem prawie nic o niej nie wiem. Zupełnie się rozkleił, kiedy zaczęliśmy o niej rozmawiać. Powtarzał tylko, że ją kochał i że była miłością jego życia. Poszukam w pracy czegoś na jej temat. Używał czasu przeszłego, ale niekoniecznie musi to oznaczać, że kobieta nie żyje. Może po prostu chodziło o ich związek. Nie chciał nic więcej o niej powiedzieć.

Dokończyli pizzę i rozeszli się, każde w swoją stronę. O piętnastej była już w „Błęńskiej”, jak zwykle przed czasem.

Dyżur mijał spokojnie. Dwa rutynowe przyjęcia na oddział zakaźny, trzy konsultacje na innych oddziałach, kilka niegroźnych interwencji na oddziale zamkniętym. Nic szczególnego. O dziewiętnastej do drzwi dyżurki zapukał Janek Kołakowski, anestezjolog. Przyszedł skonsultować pacjenta, który miał na jutro zaplanowany niewielki zabieg kardiologiczny. Był to starszy człowiek, który leżał sam na sali numer trzy.

– Pan mi powie – pacjent zwrócił się do Janka, kiedy ten skończył go badać. – Ten zawód, anestazjolog, to po jakiej szkole jest?

– Wie pan, to zależy. – Janek zachował powagę. – Akurat ja usypiam pacjentów, śpiwając kołysanki, więc po muzycznej jestem.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

– Niech się pan na mnie nie gniewa, że tak spytałem – kontynuował pacjent. – Ale ostatnio dowiedziałem się, że psycholog nie jest lekarzem, i całkiem już zgłupiałem.

O północy Marta skończyła bieżące obowiązki. Dyżur przebiegał wyjątkowo spokojnie, więc pomyślała, że wykorzysta czas na przegląd branżowej literatury. Mieli na oddziale pokaźną bibliotekę, prenumerowali też kilka ważnych periodyków. W końcu „Błęńska” była szpitalem klinicznym. Biblioteka, oficjalnie ze względów bezpieczeństwa, znajdowała się w gabinecie Starego. Marta podejrzewała jednak, że głównym powodem takiej lokalizacji był fakt, że stanowiła świetne tło do zdjęć. A Stary lubił się fotografować i udzielać wywiadów.

Zapasowy klucz do gabinetu Starego trzymany był w głównej dyżurce lekarskiej. Zabrała go ze sobą i przeszła przez korytarz. Otworzyła drzwi pokoju i zapaliła światło. Na biurku panował nieskazitelny porządek. Nie było w tym nic dziwnego, ordynator wszystkie dokumenty trzymał w kasie pancерnej za kanapą i w szufladach biurka zamykanych na klucz.

Wyjęła z biblioteczki nowego Mandella i skierowała się do wyjścia, kiedy coś przykuło jej uwagę. Jedna z szuflad biurka nie dosunęła się do końca, zablokowana wystającym kawałkiem tektury. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Stary był niezwykle skrupulatny i zawsze pilnował przed wyjściem, żeby żadne ważne dokumenty nie znalazły się w niepowołanych rękach. Szpara zionęła teraz zachęcająco, zapraszając do myszkowania w sekretach szefa. Marta nie mogła się powstrzymać, taka okazja nie zdarzała się dwa razy. Wysunęła szufladę szerzej i przejrzała jej zawartość. Na pierwszy rzut oka nie było tu nic ciekawego. Ulotki szczepionek przeciw wirusowemu zapaleniu mózgu, materiały informacyjne na temat probiotyków, jakaś ustawa wydrukowana z Internetu. I nagle...

Z wrażenia usiadła w prezydenckim fotelu szefa. Przez moment nie była pewna, czy dobrze rozumiała przeczytaną treść. Przeczytała raz jeszcze. Ze zdumienia otworzyła usta. Trzymała w rękach niepodpisane donosy. Treść jednego dotyczyła Leszka Skalskiego, który rzekomo defraudował związkowe składki. Drugi, z tych w rodzaju „uprzejmie donoszę”, zaadresowany był na nazwisko męża jednej z oddziałowych pielęgniarek, Kingi Kręglićkiej. Informował go o romansie żony: „Ona bierze dyżury razem z doktorem Kurkiem, różne rzeczy razem w nocy wyprawiają”. Trzeci opisywał kryminalne poczynania Marty Wolskiej, która celowo zaraziła Daniela Schulza *Naeglerią*, a teraz odcinała kupony z profitami. Były to wydruki z komputera, ale odręczne poprawki przy niektórych zdaniach nie pozostawiały wątpliwości, kto jest ich autorem. Wszędzie poznałaby pismo Starego. Przyzwyczajęń nie da się pozbyć tak łatwo – nawet donosy drukował, sczytywał i poprawiał odręcznie, by potem wprowadzić poprawki do komputera. A więc to on wysyłał anonimy na policję. To przez niego miała te wszystkie problemy i wmieszała się w aferę z Cywińskim.

Oczywiste było dla niej, że Stary nic nie wiedział. Strzelał ślepekami, żeby narobić huku. Leszek nigdy nie ukradłby żadnych pieniędzy, zresztą nie był nawet skarbnikiem i nie miał nic wspólnego z gromadzonymi składkami. Kinga z kolei była jedną

z najbardziej kompetentnych pielęgniarek w „Błęńskiej”, a jej jedynym przewinieniem było to, że Stary jej nie trawił i od miesiący robił wszystko, by zmienić pracę. Nie zdradzała męża podczas dyżurów z Jerzym Kurkiem z tej prostej przyczyny, że prawie nigdy z Kurkiem nie dyżurowała. Marta była tego pewna, bo Kinga nie znosiła Kurka i potrafiła zamienić dyżur, jeśli wypadał tej samej nocy, co Jerzego. Szef wymyślał te historie, by zepsuć im reputację, robiąc to na zasadzie „obrzucić gównem, na pewno coś się przyklei”. Nienawidził ich trojga, ale Marta nigdy nie podejrzewała, że mogłoby zniżyć się do takiego poziomu.

Zrobiła kopię wszystkich trzech donosów i schowała oryginały z powrotem tam, gdzie je znalazła. Wściekła wróciła do dyżurki lekarskiej. Miała ochotę zabić Starego. Przez chwilę delectowała się tą myślą. Właściwie naprawdę mogłaby to zrobić... Rozwiązałyby to wiele jej problemów... Tylko że byłaby to dla niego zbyt mała kara. Postanowiła zrobić coś zupełnie innego.

Na oddziale panował względny spokój, a z SOR-u nie spływały żadne prośby o konsultacje. Poleciała pielęgniarkom, by w razie problemów dzwoniły na jej komórkę, i wyruszyła w stronę Oz. Wizyty w Centralnym Laboratorium w środku nocy nie były niczym dziwnym. Była pracownikiem naukowym i miała prawo korzystać z mikroskopów w związku z prowadzonymi przez siebie badaniami, nawet o tak nietypowych porach. W przeszłości wielokrotnie, jeśli nadarzały się okazje, wykorzystywała dyżury do nadrobienia zaległości w pracy naukowej, w tym do przeglądania preparatów mikrobiologicznych. Tym razem jednak nie przyszła tu ze względu na mikroskopy.

Pracownia była pusta, tak jak się tego spodziewała. Dla ostrożności upewniła się, czy żaden z dyżurujących laborantów nie kręci się w pobliżu, dopiero wtedy podeszła do drzwi zabezpieczonych kodem. Przez moment obawiała się, czy Marek nie zmienił go po jej ostatniej wizycie, ale kiedy wcisnęła „12345”, drzwi otwarły się z cichym piknięciem. Kluczyk do urządzenia przypominającego autoklaw był w tym samym miejscu, w którym schował go Leśniowski. W środku znalazła jeszcze więcej pożywki dla buławinki niż ostatnim razem. Marek musiał założyć coś w rodzaju linii produkcyjnej. Przy najbliższej okazji spyta go, co zamierza z tym wszystkim zrobić. Napęłniła szarą breją przyniesiony przez siebie pojemnik na mocz, starając się nie robić

za głębokich wdechów. Pamiętała, co się działo, gdy spędziła kiedyś noc w pomieszczeniu, w którym rósł ten grzyb.

Starannie zamknęła za sobą pseudoautoklaw i schowała klucz w to samo miejsce, z którego go wzięła. Przy wyjściu raz jeszcze uważnie rozejrzała się dokoła. Jej wzrok znów przykuła kolonia *Leptospiry*, choć bakterie robiły wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi. Niepozorne, szarawe płytki Petriego upstrzone były równie bladymi kołami bujnie rosnących krętków. Najstarsza kolonia *Leptospiry*, o jakiej słyszał Marek. Jego szczęśliwa kolonia, przynosząca pomyślność i dostatek całemu laboratorium. Mikrobiologiczne drzewko szczęścia, pomyślała. Drzewko szczęścia... Drzewko szczęścia... Podeszła bliżej. Kolonia była w fazie odmładzania – obok starej płytki Petriego stały teraz cztery nowe. Tak właśnie utrzymywano ją przy życiu.

Jak zwykle pomysł przyszedł jej do głowy pod wpływem impulsu. Sięgnęła po jedną z nowych płytek z *Leptospirą*, zamknęła ją szczelnie i wsadziła do kieszeni. Przy odrobinie szczęścia nikt nie dostrzeże jej braku. A nawet jeśli, to co z tego? Hodowle były nielegalne i prowadzone niezgodnie z procedurami. Kto miałby odwagę zgłosić kradzież?

Niezauważona przez nikogo wróciła na oddział zakaźny.

Z głównej dyżurki lekarskiej znów zabrała klucz do gabinetu Starego. Do kieszeni wsadziła rulon samoprzylepnego filcu, którego lekarze używali do podklejania nóg biurek i krzeseł. Wycięła z niego spory prostokąt i wylała na niego pożywkę. Prostokąt przykleiła pod blatem biurka Starego, dokładnie nad półką na klawiaturę. Był niewidoczny, a jednocześnie umieszczony potencjalnie blisko twarzy ordynatora. Na efekty musiała poczekać kilka dni, ale wiedziała, że nadejdą nieuchronnie.

Po powrocie do dyżurki zalogowała się do szpitalnego systemu i wpisała nazwisko „Salpeter”. W końcu człowiek w jego wieku musiał mieć jakieś dolegliwości, a „Błęńska” była najlepszym szpitalem w Polsce. Nie pomyliła się. Kliknęła dwa razy i otworzyła dokumentację medyczną gangstera. Wiedza o jego słabych stronach mogła jej się przydać. Kiedy przeczytała wszystko, co było tam napisane, wyjęła kartkę i spisała jego adres oraz numer telefonu.

ROZDZIAŁ 15

- Leptospiroza. – Marta wyjawiała swój pomysł na pozbycie się Cywińskiego.
- Lepto co? – odpowiedział z pełnymi ustami. Siedzieli z Michałem przy stole w kuchni i kończyli jeść śniadanie.
- Leptospiroza – powtórzyła. – Taka choroba zakaźna. Bakteryjna. Nieleczona może powodować niewydolność wielonarządową. Wyjątkowo groźne powikłanie.
- Wszystko pięknie, ale jak miałyby się tym zarazić? Pamiętaj, jak skończył się twój pomysł z amebą. Wolałbym tym razem coś mniej egzotycznego.
- Leptospiroza nie jest wcale egzotyczna. Występuje w Polsce stosunkowo często. Krętki *Leptospiry* można znaleźć w glebie i w wodzie zanieczyszczonych moczem zakażonych zwierząt. Dzikich i domowych. Jestem pewna, że w bagnach, które zaczynają się parę metrów od domu Cywińskiego, też byśmy je znaleźli. Wystarczy nawet krótki kontakt błon śluzowych lub uszkodzonej skóry z płynami ustrojowymi chorych zwierząt lub brudną wodą, żeby się zarazić.
- Będziesz go ciągać po tych bagnach? Bez żadnej gwarancji, że coś złapie? Ryzykowne.
- No skąd. Mam inne sposoby.
- Skoro lepto coś tam jest takie częste, to jakim cudem nigdy o tym nie słyszałem?
- Bo chorób zakaźnych w Polsce praktycznie się nie diagnozuje. Nie ma na to pieniędzy. Pacjent przychodzi z gorączką, to daje mu się antybiotyki. Jeśli to coś bakteryjnego, to zdrowieje.
- Lepto też można wyleczyć?
- No pewnie.
- W takim razie jak chcesz tym zabić Cywińskiego?
- Jemu żadnych antybiotyków nie damy. Umrze z powodu infekcji.
- Długo potrwa to umieranie?
- Zrobimy tak, żeby krótko. – Schyliła się i wyjęła spod stołu plastikową butelkę napełnioną wodą. – Będziesz mu to dawał do picia. To zwykła woda, ale wymieszana z krętkami *Leptospiry*. Codziennie będę przygotowywać nową.
- Wziął od niej butelkę i popatrzył na nią pod światło.
- Wygląda normalnie.
- Smakuje też normalnie. Cywiński niczego się nie domyśli.

Pokiwał głową.

– Jeszcze jedna sprawa. W domu Cywińskiego jest pełno naszych śladów. Musimy to jakoś wyjaśnić.

– Przecież mieliśmy rękawiczki.

– Mówię o włosach, zwłaszcza twoich. Trzeba znaleźć powód, dla którego się tam znalazły. Chyba mam pomysł. – Zdradził jej swój plan.

Uznała, że był dobry.

Kilka godzin później weszła do budynku komendy. W dużym pomieszczeniu panował tłok. Poustawiane pod ścianami ławki i krzesła wypełnione były delikwentami oczekującymi na swoją kolej. Z połową tu zgromadzonych nie chciałyby się spotkać nocą na pustej ulicy. Wyglądali na takich, co powinni unikać kontaktu z policją, a nie szukać jej towarzystwa. W pomieszczeniu było jednak cicho i spokojnie. Większość czekających siedziała cierpliwie z nosami w komórkach, nie zwracając uwagi na pozostałych.

– Słucham panią? O co chodzi? – spytał dyżurny policjant, który był tu jedyną osobą za kratami.

– Chciałam zgłosić włamanie do mojego mieszkania – odpowiedziała.

– Proszę wypełnić ten formularz. – Przez szparę podsunął jej kartkę papieru. – Jak pani skończy, proszę mi go oddać.

Zrobiła, jak jej polecił, i już po chwili sama pochylała się nad komórką, ściśnięta między dwoma dryblasami. Ten po lewej wyglądał jak zawodnik sumo. Próbowwała nie zwracać uwagi na gapiącego się na nią spode łba Jokera, którego Sumo miał wytatuowanego na bicepsie. *Why so serious?* pytał Joker, nie dając za wygraną. Odwróciła głowę w drugą stronę.

– Co tak piękna kobieta robi w takim miejscu? – usłyszała od sąsiada po prawej, który jej zachowanie potraktował jako zachętę do rozmowy.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Jego nos nie miał już żadnego kształtu, wielokrotne złamania pozbawiły go anatomicznego wyglądu. Sumo, boks... nie sądziła, że na komisariacie można spotkać tylu sportowców.

– Miałam włamanie do domu, chcę to zgłosić. – Postanowiła powiedzieć bokserowi prawdę, skoro i tak było to kłamstwo.

– Zabiłbym drani, którzy zrobili krzywdę tak pięknej kobiecie.

Marta wierzyła. Na wszelki wypadek uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Takie rzeczy trzeba załatwiać inaczej, nie przez psy. Mogę pomóc. – Przeszedł do rzeczy. – Za darmo. Od tak pięknej kobiety żadnych pieniędzy i tak bym nie przyjął. – Mrugnął porozumiewawczo.

– To miłe, ale nie trzeba. Naprawdę. – Rozejrzała się w poszukiwaniu wolnych krzeseł, z dala od boksera, ale w pomieszczeniu panował tłok. – W każdym razie bardzo panu dziękuję za dobre chęci.

– Mirek jestem. – Bokser wyciągnął do niej łapę wielkości mrożonego kurczaka.

– Ani. Ani Sakis. – Syknęła z bólu, kiedy uściśnął jej dłoń. Poczowała chrupnięcie w okolicy kości łódeczkowatej.

– Ani co? – zdziwił się Bokser. – To prawdziwe imię? – Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Ani Sakis. Greckie. Mój ojciec był Grekiem.

– Greckie... – powtórzył z nieufnością i nagle stracił zainteresowanie Martą. Może nie miał zbyt dobrego doświadczenia z Grekami.

Mogła wrócić do swojej komórki. Po godzinie miała nowych sąsiadów: sumo i bokser zostali wywołani przez dyżurnego i już ich więcej nie widziała.

– Marta Wolska. – Policjant, który wszedł do „poczekalni”, odczytał z kartki jej nazwisko, nie przejmując się żadnym RODO. Miała to gdzieś, siedziała tu prawie dwie godziny i była zmęczona długim czekaniem. Nie protestowałaby, nawet gdyby wyrecytował jej PESEL. Wstała i posłusznie dała się zaprowadzić do małej kanciapy zagraconej starymi meblami ze sklejki, z których żaden nie pasował do pozostałych.

– Co zniknęło? – Policjant popatrzył na nią jak na wariatkę, kiedy wymieniła „skradzione” rzeczy.

– Sweter, bluza, szczotka do włosów, stanik, kilka par majtek... – powtórzyła. – O tych wiem. Być może są jeszcze inne przedmioty, których braku nie zdążyłam zauważyć.

Bieliznę dodała od siebie, z czystej ciekawości – chciała się przekonać, jaką teorię wymyśli Zośka, kiedy policja znajdzie te rzeczy w domu Cywińskiego. No dobrze, oprócz ciekawości mogła być w tym również odrobina złośliwości.

– Czyli nie zamknęła pani mieszkania na klucz? – upewnił się policjant.

– Tak. Nie. Nie wiem. Nie jestem pewna. Prawie zawsze zamykam, ale kilka razy zdarzyło mi się zapomnieć. Nie mam pojęcia, jak było tym razem...

Policjant popatrzył na nią z politowaniem.

– Jakiej wartości są skradzione przedmioty?

– Nie wiem, kilkuset złotych.

– Sto? Dwieście? Sześćset? – Skrzywił się. Rozumiała jego frustrację. Odczuwała ją za każdym razem, kiedy na pytanie „od kiedy pana boli?” zadane pacjentowi słyszała „od ślubu kuzynki”.

– Coś koło tego – odpowiedziała.

Jako ostrzeżenie pstryknął długopisem.

– Proszę pani, musimy znać dokładną wartość przedmiotów zaboru mienia. Niech się pani zdecyduje.

– Pięćset jeden złotych.

– Pięćset jeden?

– Chciał pan dokładną wartość.

Zanotował jej zeznania, wydrukował i dał do podpisania.

– To wszystko. Odezwiemy się, jak uda nam się coś ustalić. – Sam nie wierzył w to, co mówił. – Do widzenia – pożegnał ją, nie podnosząc głowy znad papierów.

Wyszła z budynku, nie kierując się w stronę domu. Miała do załatwienia coś jeszcze. Metrem dotarła do stacji Dworzec Gdański, stamtąd wzięła tramwaj, a potem autobus. Kierując się mapą w telefonie, odnalazła ulicę, której szukała. Piękna, cicha, obrosnięta eleganckimi willami i iglakami, sprawiała wrażenie sanatoryjnego kurortu.

Nie miała planu. Chciała zobaczyć, w jakich warunkach żyje człowiek, który zlecił zabójstwo jej rodziców. Nie była zaskoczona, spodziewała się właśnie tego, ale i tak poczuła bolesne ukłucie gdzieś w środku. Aby pozwolić sobie na zakup domu w tej okolicy, musiałyby pracować kilka żyć z rzędu.

Willa Salpetera była duża i ładna. Jej nazwa, „Hubertus”, widniała w kilku miejscach. Bogaci ludzie mieli jakąś obsesję z nadawaniem nazw swoim budynkom, przy pierwszej okazji spyta siostrę dlaczego. Musiała przyznać, że Salpeter miał dobry gust, jeśli chodzi o architekturę. On albo ktoś, kto ten dom budował. Dyskretnie obejrzała bryłę przez ogrodzenie, nie zatrzymując się ani na chwilę. Posiadłość z pewnością najeżono kamerami i gapiąc się bez powodu, wzbudziłyby czujność ochrony.

Na końcu ulicy znalazła pusty teren, którego granice obsadzono tujami. Wsunęła się za najbliższą i spojrzała w stronę „Hubertusa”. Działka znajdowała się na wzniesieniu,

więc dom Salpetera widoczny był stąd jak na dłoni. Stała tak prawie godzinę. Po co? Sama nie wiedziała. Nie padało, ale dzień był wietrzny i chłodny, jej dłonie i stopy szybko skostniały. Nie ruszała się jednak z miejsca, patrzyła jak zaczarowana. Czekwała na Salpetera. Zobaczyła go po kolejnych kilkunastu minutach. Wszedł z domu ubrany w gruby płaszcz. Za nim wybiegła znacznie od niego młodsza kobieta. Wręczyła mu niewielki przedmiot, a on pocałował ją w usta. W progu pojawiły się dwie kilkuletnie dziewczynki, które pomachały w jego kierunku, Salpeter odmachał. Kobieta wróciła do domu, zaganiając dziewczynki do środka. Salpeter wszedł do samochodu i odjechał. Wszystko trwało maksymalnie dwadzieścia sekund. Dwadzieścia sekund, które wywróciło wszystko do góry nogami. Salpeter miał rodzinę. Nie spodziewała się rodziny. Co teraz? Nie wiedziała. Postąła jeszcze przez chwilę, szelniej owinęła się szalem i ruszyła w drogę powrotną.

ROZDZIAŁ 16

Wróciła przed południem. Miała za sobą dwadzieścia cztery godziny pracy, ale licząc dojazd i odprawę po dyżurze, nie było jej w domu prawie trzydzieści. Zrobiła jajecznicę i zaparzyła świeżą kawę.

Michał wszedł do mieszkania kilka minut po tym, jak skończyła jeść śniadanie.

– Z Cywińskim jest już źle – oznajmił. – Chyba ma gorączkę, bo zaczyna bredzić. Nazwał mnie dzisiaj Karoliną. Myślę, że umiera.

– Czas najwyższy. Długo mu to zajęło.

Wbrew grubej medycznej kartotece i temu, co lubił o sobie opowiadać, Cywiński miał końskie zdrowie. Marta martwiła się już, czy rozsądnie zrobili, pozwalając mu chorować tyle czasu na leptospirozę. Potas i insulina zadziałałyby od razu. A tak, dużo ryzykowali, regularnie dostarczając mu jedzenie i picie. Musieli go jednak karmić, skoro zdecydowali, że ma umrzeć „z przyczyn naturalnych”. Jego ciało miało zostać odnalezione, a następnie poddane autopsji. Powód jego zgonu nie mógł budzić żadnych wątpliwości.

– Zajrzę do niego raz jeszcze wieczorem – zdecydował. – Chcesz pojechać ze mną?

– Niekoniecznie. Chyba rozpoznasz nieboszczyka. Główną wskazówką będzie to, że przestanie oddychać. – Była po dyżurze i wszystko ją irytowało.

Kiedy Michał wyszedł, położyła się do łóżka. Nie spała półtorej doby, więc sen przyszedł szybko. Na dodatek lało i deszcz, który dzwonił o szyby, podziałał jak narkoza. Obudziła się późnym popołudniem, jak zwykle niewyspana, co było naturalną konsekwencją nieregularnego rytmu snu i czuwania. Znów wypła kawę i wzięła prysznic, to był jej drugi poranek tego dnia. Coraz gorzej znosiła pracę zmianową, pomimo tego, że poluzowała grafik i nie brała więcej niż pięć dyżurów w miesiącu.

Pijąc kawę, usłyszała dźwięk przychodzącego esemesa. „Przeczytaj ten artykuł” – pisał Michał, wysyłając link do strony internetowej. Kliknęła. „Pedofil morderca już nie wyjdzie na wolność” – głosił nagłówek. „Śmierć Józefa Światło nastąpiła z przyczyn naturalnych” – czytała dalej. „W więzieniu, w którym przebywał Światło, panuje obecnie epidemia grypy. Światło padł jej ofiarą”.

„Przynajmniej jego mam już z głowy” – pomyślała Marta.

Jak zwykle po dyżurze przejrzała swoje rośliny, sprawdzając, czy nie potrzebują wody lub oprysku. Poprzenosiła te marniejsze na bardziej doświetlone parapety. Koniec roku

i brak słońca był trudnym okresem nie tylko dla ludzi. Drzewko szczęścia zabrane Cywińskiemu stało w salonie na metalowym stoliku. Wyglądało na to, że roślina już się u niej zadomowiła. Rosnący obok bluszcz potraktował grubosza jak podpórkę i zaczął bezczelnie owijać się wokół jego łodyg. Marta rozplątała pędy bluszczu i podniosła doniczkę, by przenieść go w inne miejsce. Niestety, nie rozplątała wszystkich. Bolesnie przekonała się o tym, kiedy stolik z hukiem runął na ziemię, a wraz z nim grubosz. Marta przeklęła pod nosem i oceniła skalę zniszczeń. Ogromna donica pękła na pół, ułamało się też kilka łodyg, ale generalnie obyło się bez większych strat. Dotknęła skorupy donicy i zamarła. Wewnątrz było coś jeszcze. Ostrożnie rozchyliła kawałki ceramiki. Poczowała, jak robi jej się niedobrze. Między korzeniami a warstwą keramzytu ktoś umieścił ludzką głowę szczelnie zawiniętą w folię. Procesy gnilne w tkankach miękkich wyraźnie zaczęły już zachodzić, choć nie towarzyszył temu żaden zapach, folia skutecznie temu zapobiegła. Przyjrzała się głowie. Mimo zaawansowanego rozkładu z całą pewnością można było stwierdzić, że należała do kobiety. Wyglądała znajomo.

W takiej sytuacji mogła zrobić tylko jedną rzecz.

- Przyjeźdź natychmiast – rzuciła do słuchawki, kiedy Michał wreszcie odebrał.
- Teraz? Nie dam rady. To musi poczekać.
- To nie może poczekać. Rzucaj wszystko i przyjeżdżaj.
- Co się stało? – zaniepokoił się.
- Donica drzewka szczęścia się rozbiła. Nie uwierzysz, co znalazłam w środku.
- No?
- Kojarzysz Karolinę ze zdjęcia? Myślę, że to mogło należeć do niej.
- Co?
- Coś bardzo integralnego. Nie przez telefon. Musimy to odstawić tam, skąd zabraliśmy. Nie wytrzymam z tym w moim mieszkaniu!
- Już jadę. – Jakimś cudem zrozumiał przekaz albo przynajmniej wyczuł powagę sytuacji. – Zapakuj to do jakiejś torby i schodź na dół. Będę przed twoim domem za dziesięć minut.

Włożyła rękawiczki i ostrożnie wsunęła głowę do reklamówki. A tę do kolejnej. Włożyła buty, kurtkę i czapkę i wyszła na zewnątrz. Przed kamienicą nie było żadnego wolnego miejsca parkingowego, ale nie miało to znaczenia. Pomyślała, że gdy Michał

podjedzie, zatrzyma się na awaryjnych, a ona szybko wskoczy do środka. Ostrożnie weszła na jezdnię i spojrzała w stronę, z której spodziewała się jego przyjazdu. Nie było go jeszcze widać.

Przeciskając się w stronę ulicy, otarła rękawem kurtki o drzwi czarnego vana, zaparkowanego przy krawężniku. Oczywiście samochód był brudny, tak jak teraz jej kurtka. Znów zaklęła pod nosem i kopnęła w oponę brudasą. Nagle drzwi vana otworzyły się, a czyjeś ręce wciągnęły ją do środka. Chciała krzyknąć, ale te same dłonie skutecznie to uniemożliwiły. Van ruszył. Wszystko trwało nie więcej niż pięć sekund.

– Nie drzyj się, to może nic ci się nie stanie – odezwał się męski głos. Łysy mężczyzna z bliznami na twarzy patrzył na nią bez emocji. Widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Szef chce z tobą pogadać. Potem cię odwieziemy. Chyba że będziesz się stawiać – dodał drugi, kudłaty i bez blizn. Jego również nigdy wcześniej nie spotkała.

– To jak, będziesz grzeczna? – spytał łysy. Marta kiwnęła głową i łysy zabrał rękę z jej twarzy.

– Kim jesteście i czego chcecie? – spytała. Powinna martwić się tym porwaniem, ale myślała wyłącznie o reklamówce z ludzką głową w środku i o tym, co się stanie, kiedy ktoś ją znajdzie.

– To nieistotne. Wszystkiego dowiesz się na miejscu.

– Kim jest wasz szef? – zwróciła się do Łysego. Był najbliżej. Poza tym wyglądał na starszego i stojącego wyżej w hierarchii niż Kudłaty.

– Nie interesuj się – odburknął. – Zresztą nie jestem jego rzecznikiem. – Powiedział coś jeszcze, czego Marta nie zrozumiała, a co rozśmieszyło Kudłatego.

Zadzwoił jej telefon, Kudłaty wyjął go z kieszeni jej kurtki. Chwilę przy nim pogrzebał i telefon przestał dzwonić.

Van służył do przewozu ładunków i nie miał okien, nie widziała więc, w jakim kierunku jadą. Samochód podskakiwał na zakrętach i Marta objęła się o karoserię. Głowa w reklamówce wpadła pod jakąś skrzynkę. W milczeniu jechali tak przez kilkadziesiąt minut, robiąc przerwy na czerwone światła. Miała sporo czasu na snucie domysłów, zresztą nic innego jej nie pozostało. Sądziła, że porwanie było związane z pracą Michała. Łazowski miał wielu wrogów w warszawskim półświatku i któryś z nich mógł wpaść na pomysł, by wysłać mu wiadomość za jej pośrednictwem. Już raz

się to zdarzyło, tak właśnie trafiła w ręce pewnego zbira, młodego Dreja. Wtedy uratował ją Leszek Skalski, teraz nie mogła liczyć na żadną pomoc z zewnątrz. Michał na pewno domyślił się, że coś poszło nie tak, pewnie to on do niej dzwonił. Ale co mógł zrobić? Nie wiedział, co się stało ani gdzie była.

Marta miała nadzieję, że porywaczom faktycznie chodziło o wiadomość. Przecież powiedzieli, że odstawią ją do domu. Tylko czy mogła ufać gangsterom?

Nagle van gwałtownie zahamował. Pisk opon wdarł się do wnętrza i wszyscy troje stracili równowagę, wzajemnie na siebie wpadając.

Kiedy samochód się zatrzymał, usłyszała krzyki, a potem strzały. Kręciło jej się w głowie i bolał ją lewy bark. Kudłaty i Łysy czołgali się w stronę drzwi. Otworzyli je i we wnętrzu vana zrobiło się nagle boleśnie jasno. Zmrużyła oczy. Padły kolejne strzały i Marta schowała się za ławką. Nie była to kryjówka idealna, ale lepszej nie miała. Musiała trafić w środek wojny gangów, jak w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie sądziła, że w Warszawie nadal było to możliwe.

Strzały zamilkły, a wokół zapanowała cisza. Gdzieś w oddali zawyła syrena policyjnego radiowozu. Nasłuchiwała kilka sekund, ale z zewnątrz, poza syreną, nie dobiegał żaden inny dźwięk. Ostrożnie uniosła głowę.

– Marta? – Usłyszała znajomy głos. W otwartych drzwiach vana stał Michał.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Ratuję ci tyłek. Pytanie, co TY tu robisz? Nic ci nie jest?

Wygrzebała się z ładowni furgonetki i stanęła obok Michała. Na lewym rękawie kurtki miał krew.

– Ja jestem cała. Za to ty jesteś ranny. Pokaż!

– Wszystko w porządku, to tylko draśnięcie. – Zdjął kurtkę i odsłonił ramię. Faktycznie, rana była powierzchowna. Marta zabezpieczyła ją prowizorycznie rękawem koszuli.

Rozejrzała się wokół. Van stał zagrzebany na szutrowej ścieżce pośród pól. Parę metrów dalej drogę zagradzał samochód Michała.

– Co z nimi? – Wskazała ręką na Łysego i Kudłatego. Leżeli nieruchomo w przydrożnym rowie. Łysy miał otwarte oczy, a Kudłaty zamknięte. Za to obaj mieli w głowach rany wlotowe od kul.

– Śpią słodko, aniołki. – Wzruszył ramionami. – Kierowca też.

– Co to za ludzie?

– Nie mam pojęcia. Podjechałem pod twój dom, nie było cię. Zadzwoiłem, nie odbierałaś. Sprawdziłem, gdzie jesteś, i ruszyłem za tobą. Kiedy próbowałem zatrzymać ten samochód, kierowca zaczął strzelać, potem strzelali ci dwaj. Ja strzelam lepiej, jak widzisz.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

– Masz w swojej komórce lokalizator. Zawsze wiem, gdzie jesteś.

– Szpiegujesz mnie?

– Raczej dbam o twoje bezpieczeństwo. Przyciągasz kłopoty jak magnes.

Na horyzoncie pojawił się policyjny radiowóz. Z dużą prędkością zbliżał się w ich kierunku.

– Wezwałem pomoc – wyjaśnił Michał. – Nie wiedziałem, co jest grane. Zresztą dalej nie wiem.

– Nie patrz tak na mnie – zaprotestowała Marta. – Nie znam tych ludzi, nigdy wcześniej ich nie widziałam. Myślałam, że to twoi znajomi.

Radiowóz był tuż-tuż.

– Niech to szlag, głowa! – przypomniała sobie Marta.

– Co? – Michał nie zrozumiał.

Wyjaśniła mu w skrócie. Radiowóz zatrzymał się kilka metrów dalej. Wsiadło z niego dwóch policjantów. W oddali rozbrzmiały kolejne syreny.

– Dobra, za późno. Nic już z tym nie damy rady zrobić – uznał Michał. – Improvizuj – dodał.

Podszedł do kolegów i przywitał się z nimi uściskiem dłoni.

* * *

– Jeszcze raz, czyli nie domyśla się pani, z jakiego powodu panią uprowadzono? – spytał Borsuk. Siedziała u niego w pokoju już prawie pół godziny.

– Nie mam pojęcia. Jak już mówiłam, jeden z dwóch, którzy byli przy mnie w trakcie jazdy, powiedział, że ich szef chce ze mną porozmawiać.

– I tego szefa też pani nie zna? – Na twarzy Borsuka malowała się tym razem nieufność. Nic dziwnego, po raz kolejny znalazła się w centrum kryminalnych wydarzeń, a niewinnym rzadko się to przytrafia. „Niech to szlag” – przeklęła w duchu. Najgorsze, że naprawdę nie wiedziała, w co wdepnęła.

Zośka profilerka siedziała w rogu pokoju, gapiąc się na nią bez skrępowania. Nic nie musiała mówić, wyraz jej twarzy wyrażał wszystko. Triumfowała.

– Nie powiedzieli, kim on jest. Tylko że chce ze mną porozmawiać.

– Nie mówili, o czym?

– Nie, byli mało rozmowni.

– A ta głowa?

– Jaka głowa?

– W samochodzie znaleźliśmy ludzką głowę. Widziała ją pani?

– Głowę? – Udała zaskoczoną. – Ludzką? Nie. Nie widziałam.

– Muszę coś pani pokazać. Zdjęcie. Uprzedzam, że będzie drastyczne. Proszę powiedzieć, czy zna pani tę osobę?

Położył przed nią policyjną fotografię, na której technik uwiecznił głowę Karoliny Relich.

– Nie znam. Nigdy jej nie widziałam. To znaczy wydaje mi się, że nie. Trudno powiedzieć, zważywszy na... – Odwróciła wzrok.

– Rozumiem. – Schował zdjęcie.

Przez moment zapanowała cisza.

– A czy mówi coś pani nazwisko Salpeter? – zapytał po chwili Borsuk.

– Salpeter? – Tym razem nie musiała udawać. Naprawdę była zaskoczona. Co miał z tym wspólnego Salpeter?

– Tak, Salpeter. To zna go pani czy nie? – dociekał Borsuk.

– Tak. Widywałam go w pracy. Przychodził czasem do mojego szefa, ordynatora Czechowskiego. – Nie zamierzała informować Borsuka, skąd jeszcze zna Salpetera. – Ale ostatnio się nie pojawiał.

– Przychodził do pani szefa? Na oddział? – zdziwił się Borsuk. – W jakim celu?

– Z tego co się orientuję, to pan Salpeter prowadzi... hm... sprawy różnych firm farmaceutycznych. Niektóre produkują leki, stosowane w leczeniu chorób zakaźnych. A mój szef jest konsultantem wojewódzkim. Ale o szczegóły powinien pan pytać mojego szefa. Ja nic więcej nie wiem.

– To interesujące. – Borsuk pogładził brodę. – No dobrze. Na razie to wszystko. Zadzwoń do pani, jeśli będę potrzebował jeszcze jakichś informacji.

Zośka profilerka nie odezwała się ani słowem. Nie odpowiedziała nawet na „do widzenia”. Za to wszystkimi porami ciała emanowała z niej niechęć do Wolskiej. Jak na psychologa miała zaskakująco duże problemy z komunikacją werbalną i niewerbalną.

Michał czekał w samochodzie na policyjnym parkingu.

– Musimy jechać do Cywińskiego. Jeśli nadal żyje, musi natychmiast przestać – oświadczył.

– Co?

– Głowa w reklamówce. Policja pewnie dowie się wkrótce, do kogo należała. Ustaliłem, że to Karolina była właścicielką domu w Markach, nie Cywiński, więc Borsuk z pewnością złoży tam wizytę. Wolę, żeby Cywiński do tego czasu nie mógł już nic powiedzieć.

– Zamordował ją, żeby przejąć dom?

– Nie wiem, ale w tej chwili nie jest to nasz największy problem.

Ruszyli w stronę Marek.

– Powiesz mi, o co chodzi z Salpeterem? – spytał, nie patrząc w jej kierunku. – Tylko nie próbuj wciskać mi kitów.

– Nie wiem.

Zacząła liczyć w myślach mijane drzewa.

– Marta, zabiłem dzisiaj trzech ludzi. Trwa postępowanie wyjaśniające i nie wiem, jak się skończy. Jesteś mi winna wyjaśnienia. Dlaczego ich zabiłem? – nie odpuszczał.

– Naprawdę nie wiem. – Opowiedziała mu o rozmowie z siostrą i o niedawnych odwiedzinach w okolicy willi Salpetera. – Możliwe, że ktoś mnie widział. Możliwe, że Salpeter pokojarzył fakty. Naprawdę nie wiem – powtórzyła.

– Po co tam poszłaś?

– A ty byś nie poszedł? Nie chciałbyś spojrzeć w oczy człowiekowi, który zabił twoich rodziców? Zobaczyć, jak mu się powodzi? – Trafiła w czuły punkt, ale udał twardego.

– I? – spytał tylko.

– Ma dwie córeczki. Są w podobnym wieku jak ja i Kamila wtedy, gdy... – Znow zaczęła liczyć drzewa.

– Co chcesz zrobić?

Kiedyś chciałyby wbić Salpetera na pał, przypiekać go żywym ogniem, a na koniec rozerwać końskim zaprzęgiem. Ale dwie małe dziewczynki zmieniły wszystko.

– Nic, odpuszczę mu. Przebaczę. Zamknę ten rozdział i nigdy już nie będę wracać do przeszłości.

– Tak po prostu?

– Nie, nie tak po prostu. Ta decyzja sporo mnie kosztowała. Ale uważam, że tak właśnie należy zrobić.

Oderwał jedną rękę od kierownicy i pogłaskał ją po głowie. Przytrzymała jego dłoń przy swoim policzku; była przyjemnie ciepła i Marta zapomniała na chwilę, dokąd i po co jada.

Willa Cywińskiego, a raczej Karoliny, jak zwykle sprawiała wrażenie opuszczonej. Betonowe mury porastały mchem, bluszcz zbyt odważnie przysłaniał szklane oczy okien, a ogród powoli przestawał różnić się od otaczającego lasu.

Na szczęście Cywiński nie żył i Marta nie musiała korzystać z apteczki, którą ze sobą przywiozła. Jego skulone ciało leżało na łóżku piwnicznego pomieszczenia, w którym spędził ostatnie dni swego życia. Wyglądał na pogrążonego w głębokim śnie. Jego zdrowe, silne narządy okazały się bez szans w starciu z krętkami *Leptospiry*.

– W takich momentach człowiek naprawdę docenia działanie antybiotyków. – Marta wpadła w zadumę. – Wystarczyłoby kilka tabletek i nadal zawracałby wszystkim dupę swoimi opowieściami o urojonych dolegliwościach.

– Wykład o przełomowych odkryciach w medycynie przełoż na później. Chętnie go posłucham, ale nie teraz. Nie mamy czasu – przypomniał jej Michał. – Masz rękawiczki? Dobrze. Przynies kilka swoich zdjęć z tego pudła w pomieszczeniu obok. Poustawiaj je na materacu pod ścianą. Niech wygląda na to, że gapił się na nie przed śmiercią. Ja tymczasem porozkładam twoje ubrania.

Z przyniesionego worka zaczął wyjmować przedmioty, które Cywiński rzekomo ukradł z mieszkania Marty.

– Bielizna? – zdziwił się, kiedy trafił na biustonosz. – Miały być swetry, bo łatwo na nich o włosy. Jakiś grzebień. Może szczoteczka do zębów. O bieliźnie nic nie mówiłem.

– Pomyślałam, że zrobi się ciekawie. Taki możliwy twist w jego profilu psychologicznym. Rozumiesz. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Michał pomyślał przez chwilę, kiwnął głową na znak zgody i wsadził biustonosz Marty w spodnie Cywińskiego.

– A to po co? – zdziwiła się tym razem Wolska.

Michał uśmiechnął się chytrze.

– Właściwie to sam z chęcią przeczytam analizę naszej podinspektor Zofii na temat tego, co tu zaszło.

Z uwagą obeszli cały dom, szukając śladów, które mogłyby przeczyć fabrykowanej przez nich teorii. Wyglądało na to, że wszystko było pod kontrolą.

Zamknęli od środka główne drzwi, wychodząc wyjściem kuchennym, do którego znaleźli dwa pasujące klucze. Jeden powiesili na haku nad komodą, drugi zabrali ze sobą. Cywiński pozostał zamknięty od wewnątrz.

– Jak tu spokojnie – zauważyła Marta, kiedy przechodzili przez podwórko. – Tak blisko Warszawy, a tak cicho. Mogłabym tu mieszkać – rozmarzyła się.

– Na tym zadupiu? – Skrzywił się Michał. – Jeszcze ktoś by cię napadł. Nie ma żadnych sąsiadów, taki dom aż się prosi o szaber albo coś gorszego.

– Ten zawód cię wypaczył, wszędzie widzisz kryminał – zaprotestowała. – Kto miałby mnie napaść? To spokojny kraj i bezpieczne miasto.

Wsiedli do samochodu i dojechali do głównej drogi. Pozbyli się klucza, wrzucając go do rowu melioracyjnego.

Parę razy objechali okolice Mokotowskiej w pobliżu domu Marty, szukając wolnego miejsca parkingowego. Uroki mieszkania w Śródmieściu.

Wreszcie wspięli się po schodach kamienicy na pierwsze piętro.

– Dlaczego drzwi do mieszkania pani Marii są otwarte? – zdziwił się Michał.

– Faktycznie, nie zamknęła ich. Może zapomniała. – Marta zapukała do sąsiadki.

Nie usłyszeli odpowiedzi, ale i tak weszli do środka.

Pani Maria leżała bez ruchu na podłodze w korytarzu.

– Pani Mario, pani Mario, słyszy mnie pani? – Marta podbiegła do niej i potrząsnęła jej ramieniem. – Jest nieprzytomna. – Sprawdziła tętno i oddech, na szczęście były regularne. – Trzeba zadzwonić po pogotowie. – Wykręciła 112. – Nie wiem, jaka jest przyczyna. Znalazłam ją leżącą na podłodze. Nie, nie mamy piecyków gazowych – odpowiadała na pytania dyspozytora.

Ułożyła panią Marię w bezpiecznej pozycji i usiadła przy niej, sprawdzając co jakiś czas puls i oddech.

– Naprawdę nie wiem, co mogło jej się stać. Może potknęła się o dywan? – pytała bardziej siebie niż Michała.

– Wątpię – odpowiedział Łazowski. – Rozejrzyj się.

Teraz dopiero zauważyła bałagan panujący w mieszkaniu. Poprzewracane meble, rzeczy wytrząśnięte z szuflad.

– O Boże! To było włamanie!

– Sprawdziłem, całe mieszkanie tak wygląda. Ktoś czegoś szukał. Już go tu nie ma – dodał uspokajająco, widząc minę Marty. – Muszę zadzwonić po chłopaków.

– Michał, a co, jeśli pomylił mieszkania? – spytała. – Co jeśli chodziło mu o mnie?

– Zostań tu – rozkazał Łazowski i znikł.

Pani Maria poruszyła się i jęknęła.

– Pani Mario, spokojnie, jestem przy pani. – Marta delikatnie ścisnęła jej dłoń.

– Martusiu, dziecko, wezwij policję... To łobuzy były...

– Michał tu jest, dzwoni po pomoc. Niech pani nie wstaje. Zaraz przyjedzie karetka.

– Jeden mnie popchnął... i upadłam. Pytali o Polika. Mówili, że ma coś, co należy do nich. Że coś im zabrał i musi oddać. A przecież to dobry chłopak jest, on nic by nikomu nie mógł ukraść...

– Już dobrze, pani Mario, wszystko będzie dobrze. Ja się wszystkim zajmę.

Nie było dobrze. Apolinary, wnuk pani Marii, prowadził podwójne życie i zadawał się z nieodpowiednimi ludźmi. Jeśli zgłosili się po coś, co im zabrał, istniało ryzyko, że wrócą ponownie.

Pogotowie przyjechało po kilku minutach. Pani Maria odzyskała przytomność, ale i tak należało wykonać jej badania. Nie protestowała, kiedy zabrano ją do szpitala.

Kiedy Marta weszła do swojego mieszkania, starannie zarygnowała za sobą wszystkie zamki. Michał jak zwykle osobiście zajął się sprawą i miał wrócić dopiero za kilka godzin. Jego praca wydała jej się jakimś koszmarem, gorszym nawet od pracy w szpitalu. Nie rozumiała, jak mógł ją wykonywać.

Sądziła, że tej nocy nie uśnie. Jednak gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast straciła kontakt z rzeczywistością i śniła do rana, choć po przebudzeniu nie potrafiła przypomnieć sobie, o czym konkretnie.

ROZDZIAŁ 17

Od czasu porwania minęło wiele dni. Policja nie dawała Marcie spokoju, ale było to zrozumiałe, zważywszy na okoliczności. Jak można się było spodziewać, dość szybko ustalono, że odcięta głowa należała do Karoliny Relich. Kiedy funkcjonariusze dochodzeniówki dotarli do jej domu w lesie, natrafili na ciało Cywińskiego, rozkładające się w piwnicy. Zdjęcia i pamiętnik nie pozostawiały wątpliwości, że to on był sprawcą potrójnego zabójstwa – Kruka, Mrozka i Trąbki. Był pacjentem wszystkich trzech, co potwierdziła dokumentacja sporządzana przez ofiary. Kiedy Cywiński płacił, karmili go informacjami o rzekomych chorobach, które go trawiły oraz potrzebie przewlekłego leczenia i wykonywania kosztownych badań kontrolnych. Kiedy skończyły mu się pieniądze, wszyscy trzech odmówili dalszej pomocy.

Nie odnaleziono ciała Karoliny, ale w toku śledztwa stwierdzono, że Cywiński i Relich byli parą. Według zeznań kolegów z pracy Karoliny ich relacja trwała już ponad rok. Jednej z koleżanek Karolina zwierzyła się, że od miesięcy ze sobą mieszkają. Któregoś dnia Karolina po prostu nie pojawiła się w biurze, zawiadamiając pracodawcę drogą mailową, że wypowiada umowę o pracę i wyjeżdża za granicę. Pracodawca przyznał, że było to niezgodne z Kodeksem Pracy, ale odpuścił postępowanie dyscyplinarne i po prostu znalazł kogoś na jej miejsce, nie interesując się jej dalszym losem. Karolina nie miała bliskich, którzy mogli zauważyć jej zniknięcie, a znajomi z pracy nie pozostawali z nią w szczególnie bliskich relacjach. Wszyscy zgodnie uważali, że była dziwna, i właściwie to z ulgą przyjęli informację o jej odejściu z biura.

Według lekarza sądowego śmierć Cywińskiego nastąpiła z powodu niewydolności wielonarządowej wywołanej czynnikiem infekcyjnym. Bez udziału osób trzecich. Zdjęcia Marty oraz należące do niej rzeczy osobiste znalezione w domu Cywińskiego wskazywały na to, że planował czwarte morderstwo, a Marta cudem uniknęła śmierci. Najwyraźniej miał na jej punkcie obsesję i był skłonny posunąć się bardzo daleko, biorąc pod uwagę, że włamał się do jej mieszkania i zabrał należące do niej przedmioty. Było to nietypowe zachowanie, trzem pozostałym ofiarom nie ukradł niczego, dlatego profilerka Zofia uznała, że obsesja Cywińskiego mogła mieć złożone podłoże. Cywiński nienawidził Marty, bo odmówiła leczenia jego urojonych dolegliwości, ale z drugiej strony pożądał jej i pragnął, czego dowodzić miał rodzaj zawłaszczonych rzeczy,

szczególnie bielizna. Biustonosz Marty, którym Cywiński próbował się masturbować tuż przed śmiercią, w ocenie profilerki nie pozwalał na inną interpretację zdarzeń.

Największą zagadkę stanowiło jednak uprowadzenie Marty przez gangsterów pracujących dla Salpetera. I głowa Karoliny w ich samochodzie. Na foliowej torbie znaleziono, oprócz odcisków palców jednego z porywaczy, również odciski palców Marty, ale uznano, że da się to wyjaśnić samą obecnością Marty w samochodzie i tym, że w trakcie gwałtownego hamowania mogła odruchowo chwytać znajdujące się tam przedmioty. Żaden z gangsterów nie mógł już złożyć wyjaśnień, wszyscy trzej zabrali swoją tajemnicę do grobu. Wielokrotnie przesłuchiowano Salpetera, ale ten uparcie twierdził, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Oczywiście nikt mu nie wierzył, jednak z powodu braku dowodów nie można było postawić mu żadnych oficjalnych zarzutów. Wysznuo kilka teorii. Najbardziej prawdopodobna mówiła o tym, że Salpeter wyłudzał haracze od firm Kruka, Mrozka i Trąbki. Proceder powszechny w latach dziewięćdziesiątych, przetrwał w szczątkowej postaci do dzisiaj. Przypuszczano, że Salpeter mógł pomóc finansowo w zakładaniu firm wszystkim trzem denatom, a potem wymagał od nich spłacania długów w kwocie znacznie wyższej, niż byli na to gotowi. Kiedy odmówili, wykorzystał chorego psychicznie człowieka do załatwienia porachunków, nie brudząc sobie rąk. Wszyscy wiedzieli, że manipulacja i wykorzystywanie słabości innych były cechą szczególną działalności Salpetera. Tylko dlaczego następną ofiarą miała być Marta? Nie prowadziła przecież własnej firmy. Być może wpadła w oko Cywińskiemu przypadkowo, co nie było na rękę Salpeterowi, dlatego w obawie przed wpadką zdecydował się pomóc mu w likwidacji Wolskiej. Albo wprost przeciwnie, porwano ją w innym celu, na przykład po to, by ją przed Cywińskim chronić. Tego śledczy nie byli w stanie wyjaśnić. Nie ustalono również, czy to na pewno Cywiński zabił Karolinę Relich ani gdzie ukryto resztę jej ciała. Zofia nie mogła przeboleć upadku teorii o kobiecie-zabójcy i uparcie utrzymywała, że to właśnie Karolina odgrywała w morderstwach kluczową rolę, będąc *spiritus movens* działań Cywińskiego. Jednak nawet profilerka nie potrafiła znaleźć logicznego uzasadnienia przewożenia odciętej głowy w samochodzie użytym do porwania Marty.

Pytań było więcej niż odpowiedzi, na szczęście Marta, jako ofiara znajdowała się poza gronem podejrzanych. Wszyscy traktowali ją ze współczuciem i nawet Zośka przestała być wobec niej złośliwa.

Wszystko wskazywało na to, że śledztwo posuwało się w korzystnym dla Marty kierunku i przynajmniej o to mogła się na razie nie martwić. Całe szczęście, bo miała pod dostatkiem innych trosk.

Pani Maria wyszła ze szpitala w dobrym stanie i powoli zapominała o włamaniu, ale Marta obawiała się, że ci, którzy szukali jej wnuka, Apolinarego, mogą pojawić się ponownie, jeśli go nie znajdą. A przecież już nikt nigdy nie miał go znaleźć i Marta sądziła, że przynajmniej tę sprawę miała już za sobą. Co za naiwność! Po wszystkim, co spotkało ją w życiu, powinna wiedzieć, że przeszłość rzadko pozwala o sobie zapomnieć. Kim byli włamywacze? I czego szukali u pani Marii? Stawiała na pożywkę dla buławinki. Nieraz zastanawiała się, skąd Apolinary mógł ją mieć. Skomplikowana technologia produkcji grzyba zupełnie do niego nie pasowała i było jasne, że musiał ją komuś ukraść. Albo dostać w jakimś celu, a znając Polika, musiał to być cel kryminalny. Pożywkę przejęła policja i Marta nie wiedziała, co dalej się z nią działo. Biorąc pod uwagę poziom policyjnych laboratoriów, pewnie nic. Prawdopodobnie jakiś mało kompetentny laborant wylał ją do zlewu, nie przypuszczając nawet, z czym miał do czynienia. Albo zapomniał o niej, mroząc ją w jakiejś chłodziarce tak, że teraz nie miała już żadnej wartości.

Część pożywki została w rękach Marka, ale poza nią i Leśniowskim nikt o tym nie wiedział. Część z tej części od dłuższego czasu dojrzewała pod biurkiem Starego. Nie przynosiła jednak spodziewanych efektów i Marta zaczęła podejrzewać, że Markowi, pomimo przechwałek, nie udało się odtworzyć właściwego jej składu.

– Na SOR będzie dziś schodzić doktor Wolska – zakomunikował ordynator podczas porannej odprawy.

Obowiązek ten coraz częściej przypadał jej w udziale, ale nie protestowała, bo pozostałe szykany ustały zupełnie. Stary wpadł w tarapaty i nie miał głowy nawet do anonimów. Doktor Olga Krawczuk odeszła ze szpitala i zawiadomiła Państwową Inspekcję Pracy o mobbingu, którego doświadczała ze strony szefa. Nie był to pierwszy raz, kiedy Starego oskarżano o szykanowanie podwładnych. Kilka lat temu jedna z rezydentek próbowała nawet z tego powodu popełnić samobójstwo. Ale tym razem ordynator trafił na godnego siebie przeciwnika. Olga była Ukrainką i, oprócz mobbingu, oskarżyła Starego również o ksenofobię. To był cios, który potencjalnie mógł wyrządzić Czechowskiemu sporo szkód.

– Tomeczku, dzwonił do mnie znowu ten pismak, co ciebie próbował złapać. – Marta usłyszała któregoś dnia pod gabinetem Starego. Czechowski jak zwykle nie domknął drzwi. W środku z poważną miną siedział ordynator chirurgii, który pełnił nieformalną funkcję przewodniczącego komisji dyscyplinarnej szpitala. – Będą jakiś duży artykuł o tym pisać. Podobno telewizja też się szykuje. Co ci, kurwa, do głowy wpadło, żeby pierdolić takie rzeczy przy świadkach? To się za zamkniętymi drzwiami załatwia. Mało ci było po ostatnim? I co ja mam niby teraz zrobić?

Marta nie miała wielkiej nadziei na to, że Stary poniesie karę. Zawsze kończyło się tak samo. „Świetny naukowiec i oddany lekarz, uwielbiany przez pacjentów. Dużo wymaga od innych, ale jeszcze więcej od siebie. Błędów nie popełniają tylko ci, którzy nic nie robią” – takie przesłanie płynęło po każdej aferze, w którą umoczony był Czechowski. Ale cieszyła ją, że miał problemy i zajęty był dla odmiany czymś innym niż niszczenie jej życia.

Dlatego zeszła na SOR bez słowa skargi.

W drodze powrotnej, już na schodach usłyszała krzyki dobiegające z oddziału zakaźnego. Prawdopodobnie na pododdział zamknięty przyjmowano nowego pacjenta. Niektórzy z nich bywali pod wpływem środków odurzających i w przeszłości zdarzało się, że potrzebna była interwencja ochrony lub nawet policji.

Otworzyła drzwi na oddział. Na korytarzu zebrał się spory tłum gapiów, głównie pacjentów, zasłaniając widok na tę jego część, z której dobiegały hałasy. Przedarła się przez zbiegowisko i osłupiała. Przed wejściem do głównej dyżurki lekarskiej Stary z obłędem w oczach skakał na jednej nodze, licząc każdy podskok. Dwóch lekarzy próbowało go unieruchomić, ale Stary wyrывał się, głośno krzycząc, całując ich po rękach i kontynuując podrygi. Niektórzy z tłumu gapiów nagrywali całe zajście za pomocą telefonów. Marta otworzyła drzwi dyżurki i pomogła wepchnąć ordynatora do środka. Ktoś inny przyniósł z gabinetu zabiegowego leki przeciwpsychotyczne, które podano Czechowskiemu.

– Na litość boską, co to było? – spytała Marta, kiedy ordynator pochrapywał już w fotelu, a wezwany psychiatra był w drodze na ich oddział.

– Nie wiem. Może nie wytrzymał napięcia. – Doktor Kurek wzruszył ramionami. – Nie sądziłem, że Stary może cokolwiek się przejmować, ale widocznie każdy ma jakieś granice.

– Możecie opisać jego zachowanie? – spytał Piotr Kępiński, psychiatra, kiedy wyjaśnili mu, co się stało.

– Lepiej, żebyś sam zobaczył – odparł Kurek. – Widziałem, że Lisiak z piątki nagrywał. To mój pacjent. Poproszę, żeby udostępnił mi to nagranie. – Kurek wrócił po kilku minutach. Puścił film Kępińskiemu, a potem wysłał go do wszystkich lekarzy zgromadzonych w dyżurce. – No co, i tak za chwilę ktoś umieści to na jakimś TikToku czy innym YouTube. – Przewrócił oczami, widząc pełną potępienia minę doktor Koreckiej.

Czechowski został umieszczony na obserwacji na psychiatrii.

Marta wykorzystała zamieszanie panujące na oddziale, by wejść do gabinetu szefa i odkleić filc z jego biurka. Porastał go ciemny kożuch grzyba. Marek Leśniowski był jednak świetnym mykologiem, niepotrzebnie wątpiła w jego kompetencje. Zwinęła filc w ciasny rulon, który zgięła jeszcze na pół i wyrzuciła do czerwonego worka. Za kilka godzin powinien wylądować w spalarni odpadów medycznych, razem z innymi niebezpiecznymi śmieciami.

Czy to był koniec kariery Starego? Czy nadchodziły lepsze czasy dla niej? Jeszcze za wcześniej, by się cieszyć. Pamiętała, jak po aferze lekowej kilka miesięcy temu wszyscy wieścili kres ordynatora, tymczasem on wrócił na swoje stanowisko jak gdyby nigdy nic.

Dzisiejszy dzień nappełnił ją jednak nadzieją, dlatego z lekką głową wracała po pracy do domu. Po drodze zrobiła spore zakupy. Zamierzała ugotować coś dobrego i zorganizować romantyczny wieczór dla siebie i Michała. Taki z dwudaniową kolacją i winem. Już dawno tego nie robiła.

– Dzień dobry, miło panią widzieć – przywitał ją obcy głos, kiedy weszła do własnej kuchni.

Krzyknęła i upuściła torbę z zakupami.

Za stołem siedział Salpeter, pijąc parujący napar z jej ulubionego kubka.

– Nie chciałem pani przestraszyć – wyjaśnił tonem, który wskazywał na coś przeciwnego. – Doceniam, że zachowała się pani dyskretnie, przychodząc do mnie, postanowiłem odwdziżyć się tym samym. – Zrozumiała aluzję. – Niech pani siada. – Odsunął dla niej krzesło. – Mną proszę się nie przejmować, sam się rozgościłem. Pyszna kawa. Widzę, że jest pani smakoszką, tak jak ja. – Wskazał ręką na opakowanie kawy

kopi luwak, które leżało na blacie, wyjęte z otchłani kredensu. Nienawidziła kopi luwak – idea picia czegoś, co przeszło przez przewód pokarmowy innego ssaka, budziła w niej obrzydzenie.

– Czego pan ode mnie chce? Proszę stąd wyjść!

– Niech się pani zdecyduje. Mam wyjść czy powiedzieć, czego chcę. – Jego usta roześmiały się, a oczy pozostały zimne i bez wyrazu, jak u trupa.

– Niech pan wyjdzie! Wiem, kim pan jest i co pan zrobił!

– W to nie wątpię. Dlatego tu jestem. Kiedy zobaczyłem panią pod moim domem, wiedziałem, że nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali. Wysłałem nawet kierowcę i dwóch konsjerżów, ale chyba nie wywiązali się zbyt dobrze ze swojego zadania...

– Mówi pan o tych zbirach, którzy mnie porwali i chcieli zabić?

– Nie chcieli pani zabić.

– Tak jak nie chcieli zabić tej kobiety, której głowę policja znalazła w samochodzie?

– Przyznaję, nie wiem, co odpowiedzieć. Ta sprawa jest dla mnie zagadką. Na razie – dodał ostrzegawczym tonem. – W każdym razie... Proszę potraktować nasze dzisiejsze spotkanie jako rewizytę.

– Słucham. Niech pan mówi, o co chodzi. A potem proszę stąd wyjść. I nigdy więcej tu nie wracać!

– Słuchaj, mała pipo... – Salpeter podniósł się gwałtownie z krzesła i doskoczył do niej, odchylając jej głowę do tyłu i przygniatając do ściany. – Nie lubię, kiedy ktoś się do mnie zwraca takim tonem. Pójdę, kiedy skończę, i wrócę, jeśli będzie taka potrzeba. Przestań mnie wkurwiać i posłuchaj, co mam do powiedzenia. Zrozumiałaś? – Marta zamruwała oczami. Nic więcej nie mogła zrobić.

Salpeter puścił ją, usiadł na swoim miejscu i upił kawy z jej kubka. Miała nadzieję, że proszek, który Salpeter sobie zaparzył, został źle oczyszczony i składał się głównie z odchodów cywet.

– Masz coś, co należy do mnie. Coś, co twój ojciec ukradł mi dawno temu i czego nigdy nie odzyskałem.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Spojrzała na niego z nienawiścią.

– Wiem, że nie wiesz. I wiedziałbym, gdyby było inaczej. Obserwuję cię bardzo długo. Szukałaś odpowiedzi, ale przestałaś. Widocznie cię przeceniłem. Myślałem, że będziesz

bardziej wytrwała i nie odpuszczisz. Przynajmniej ty. Twoja siostra zawiodła mnie już dawno temu.

– Nie mieszaj w to mojej siostry – syknęła.

– Ależ ona już jest zamieszana. Siedzi w tym po uszy. Myślisz, że jakim cudem dostała pracę w najlepszej kancelarii w Warszawie? Za ładną buzią? Fakt, Werner może i napalił się na początku, że sobie porucha, ale była niedotykalska. Ekstragratisy dorzucać musiałem, żeby jej nie wyjechał. A jak ona się odwdzieczyła? Zaciążyła z tym swoim fagasem od produkcji dachówek i zaszyła się w jakiejś dziurze. Tatuś i jego historia zupełnie jej nie interesowały. Teraz czas na drugą córeczkę.

Marta stała nieruchomo. Już dawno powinna przyzwycząć się do tego, że życie dawało jej popalić za każdym razem, kiedy wszystko zaczynało się układać. Na taki cios nie była jednak gotowa.

– Widywałem cię w szpitalu – ciągnął Salpeter. – Specjalnie po to tam chodziłem, żeby przyjrzeć ci się z bliska. Myślałaś, że dla Czechowskiego? To pionek, prawdziwe interesy załatwiam z konsultantem krajowym, nie wojewódzkim. Chodziło mi o ciebie. Podobało mi się, co widziałem. Nadal mi się podoba. – Chwytał palcami jej brodę i uniósł ku górze. Po chwili puścił ją i znów uśmiechnął się swoim trupim uśmiechem. – Wierzę w ciebie. Masz znaleźć moją własność. Dokończyć robotę, którą zaczęła twoja babka.

Marta zamarła.

– Co, nie wiedziałaś, prawda? Nic ci nie powiedziała? Myślałem, że szybko sobie poradzi. Tymczasem ona gnuśniała. Groziłem, straszyłem, zachęcałem. Bez efektu. Na koniec odpuściłem jej w chwili słabości. Sądziłem, że naprawdę nie wie, gdzie on to ukrył. Że przypadło na zawsze. Aż któregoś dnia dowiedziałem się, że kłamała. Że cały czas drążyła, aż dotarła tam, gdzie powinna. Tylko nic mi nie powiedziała. Nie zdradziła tego nawet wtedy, kiedy boleśnie o to poprosiłem. Można powiedzieć, że oddała życie za tę tajemnicę. Czy była tego warta? Zostało jej parę lat życia, mogła je spędzić, bawiąc prawnuki. Wybrała inaczej... O tym też nie wiedziałaś? Myślałaś, że zmarła ze starości? Wiem, tak właśnie miałaś myśleć... Ale od teraz masz znać prawdę. Masz zacząć się mnie bać. I znaleźć moją własność.

Wstał i otrzepał spodnie z niewidzialnych okruszków.

– Cieszę się, że szczerze sobie z panią porozmawiałem i że wyjaśniliśmy sobie różne kwestie sporne. – Delikatnie uściskał jej dłoń, której wcale mu nie podała. – Mam nadzieję, że nie będzie pani żywić do mnie żadnej urazy. Wkrótce wyślę swojego konsjerżę, żeby wręczył pani notatki babuni. Proszę uważnie je przestudiować, bo pomogą pani w dotarciu do tego, na czym mi zależy. Te, które zostały w mieszkaniu, to kupa śmieci, proszę nie tracić na nie czasu. Już je przejrzałem.

Ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę z tego, że jestem bardzo poważną osobą, wiele wiem i jeszcze więcej mogę. Jak wiele? Na to pytanie musi pani sobie odpowiedzieć sama. Aha, proszę pogratulować siostrze kolejnego dziecka. Dziś rano dowiedziała się o tej radosnej nowinie. Jeszcze do pani nie dzwoniła? Na pewno zadzwoni dziś wieczorem. Pewnie czekała, aż wróci pani z pracy. I jeszcze jedno... – Zablokował butem drzwi, kiedy je za nim zamykała. – Ani słowa temu twojemu policjantowi. To pionek, i tak ci nie pomoże. Od teraz twoje życie należy do mnie – wycedził przez zęby i zniknął za zakrętem klatki schodowej.

Przez chwilę stała oparta o drzwi z twarzą schowaną w dłoniach. Nie płakała. Zbierała siły. Zawsze wiedziała, które bitwy należy toczyć, a ta, która nadchodziła, była najważniejsza ze wszystkich i Marta zamierzała wygrać ją za wszelką cenę.

Redakcja: Beata Wójcik

Korekta: Anna Kubik

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Faros Wydawnictwo

wydawca@farosproza.pl

www.farosproza.pl

Wydanie I

Warszawa 2022

ISBN 978-83-964687-1-0

Copyright © by Alicja Horn, 2022

Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo

Warszawa 2022

All rights reserved